

W poszukiwaniu guza
Jazda przez życie bez trzymanki

Krzysztof Łoziński

W poszukiwaniu guza

Jazda przez życie bez trzymanki

Wydawnictwo Libretto

Warszawa 2024

Wydanie I

Tytuł oryginału: W poszukiwaniu guza. Jazda przez życie bez trzymanki
Autorzy zdjęć: Krzysztof Łoziński, Jadwiga Łozińska, Jan Hobrzański,
Piotr Juszcak, Zbigniew Kacuga, Barbara Zygmąńska, Franciszek Spytek,
Stanisław Filipowski, Mira Filipowska, Bożena Jesionkiewicz,
Zuzanna Glinkowska
Projekt okładki: Krzysztof Troszczyński
Skład: Paweł Wimmer
Copyright © Krzysztof Łoziński
ISBN 978-83-68007-13-8
E-mail: prwimmer@libretto.studio
Druk i oprawa:
OSDW Azymut Sp. zo.o., Łódź, ul. Senatorska 31

Spis treści

WSTĘP OD AUTORA	6
SZEŚĆ RAZY NA MINUTĘ	7
KRYSTYNA.....	51
KUNG FU PO POLSKU	69
CIEŻKIE BOJE W DOLINIE CIEŻKIEJ	98
JEDZIE SIĘ!	121
FILAR	149

Wstęp od autora

Oddaję czytelnikom moją piętnastą książkę. Składa się ona z sześciu opowieści z mojego życia. Ta książka jest nieco inna niż większość poprzednich, bo nie dotyczy bezpośrednio polityki. Oczywiście całkiem polityki w moim życiu wyeliminować się nie da, bo przecież nie żyłem w politycznej próżni, a więc parę razy polityka wlała w moje życie brutalnie, z butami. Jednak tym razem koncentruję się głównie na osobistych przeżyciach, a nie na historii.

Sporą część książki zajmuje tematyka górską, co nie powinno dziwić, bo 50 lat z moich dziejów związane było bardzo mocno z alpinizmem. Nie jest to jednak książka o alpinizmie, bo choć sporo jest tu opisów technicznych, to nie o nie tu chodzi.

Pierwsza opowieść, „Sześć razy na minutę”, opowiada o przeżyciach uczestników akcji ratunkowych, które nie są romantyczną przygodą. To naprawdę krew, pot i łzy. A na końcu niekoniecznie order. Chcę przełamać pewien schemat, w którym ratownicy są zawsze szlachetni, ofiary zawsze same sobie winne, a publika klaszcze. Owszem, czasem tak jest, ale czasem bywa też tak, że nie wszyscy chcą pomóc, że niektórzy ludzie i różne siły chcą coś dla siebie ugrać, a ratujących spotyka hejt.

Opowieść „Krystyna w czerwonym płaszczyku” jest o wydarzeniach marca 68, ale opisanych inaczej, niż to zrobiłem w książce „Życie pod wiatr”. Sporo jest tak samo, bo dotyczy tych samych wydarzeń, ale tym razem opis jest bardziej osobisty. To los dziewiętnastolatka, który traci przez politykę swoją pierwszą w życiu miłość i od razu zderza się ze światem brutalnym, skutkującym śmiercią najbliższej osoby.

Nie chcę tu streszczać książki, ale wspomnę jeszcze o opowieści „Jedzie się” opisującej szalony czas wielkich przemian politycznych i społecznych początku lat 90 – tych dwudziestego wieku. Lat, które mój nieżyjący już przyjaciel Anatol Lawina określił jako „taniec wariatów na ruchomych piaskach”. Rzeczywiście, szoferowanie ciężarówkami w fatalnym stanie technicznym po drogach w jeszcze gorszym stanie technicznym, z niewydolną i skorumpowaną policją, ale za to z bardzo skutecznym bandytyzmem drogowym, to było naprawdę coś!

Całe moje życie uzasadnia tytuł: „W poszukiwaniu guza”. Rzeczywiście, jakimś sposobem nie mogłem spokojnie chodzić na ósmą do pracy, jeść obiadu z rodziną, a w niedzielę chodzić z żoną do kina, tylko zawsze pakowałem się w kłopoty. Ale przynajmniej mam co wspominać.

Życzę ciekawej lektury.

Sześć razy na minutę



Opuszczanie rannego w toboganie. Fot. Krzysztof Łoziński

Pochyliam się nad twarzą dziewczyny, przytykam wargi do jej ust. Usta są sine i leci z nich krew. To nie pocałunek, to pompowanie powietrza w płuca umierającej kobiety.

Mam 17 lat, byłem na polu namiotowym przy Hali Gąsienicowej. Poderwała nas informacja o wypadku w Pańszczycy. Dobiegliśmy pierwsi, bo byliśmy najbliżej. GOPR jedzie samochodem z Zakopanego, drogą od Brzezin. Dziewczyna spadła z Orlej Perci do Doliny Pańszczycy. Podobno jeden dowcipniś rzucił w nią śnieżką z jakiegoś płotka letniego śniegu i uskoczyła, straciła równowagę i poleciała, około sto metrów upadku. Wypadek nie mógł się zdarzyć w gorszym miejscu. Zawsza daleko. Wtedy, w latach 60-tych, nie mieliśmy w górach radiotelefonów, a telefony komórkowe miano wynaleźć za prawie 40 lat. Uczestnicy wycieczki musieli dojść do Krzyżnego i do Pięciu Stawów,

by powiadomić o wypadku. To byli turyści, zejść z grani do Pańszczyce nie umieli. Szybko zbiegać po turystycznych szlakach też nie umieli. Minęło sporo czasu.

Czuję, że słabnę. Trzydzieści uciśnieć, dwa oddechy, trzydzieści uciśnieć, dwa oddechy... Reanimacja to, poza innymi „atrakcjami”, spory wysiłek.

– Niech mnie ktoś zmieni – mówię, ale nikt się nie rusza.

Fajnie się opowiada dziewczynom: „byłem na akcji ratunkowej”. Ratownicy górscy są otoczeni aureolą, jak ułani i kosynierzy. Fajny szpan, ale przyłożyć usta do krwi i patrzeć z bliska w zapadające się oczy umierającego człowieka, to co innego, to nie takie łatwe.

Jeszcze chwila i jest Tadek Figus, ratownik z Murowańca. Zmienił mnie. Kole-dzy stoją. Dochodzi GOPR. Lekarz stwierdza zgon.

Znosimy ciało w bambusie. To moja druga akcja. Pierwsza była prosta – sprostowanie ze Świnicy turystów, którzy utknęli po zmroku, bo nie mieli latarki.

Sześć razy na minutę to górski sygnał wezwania pomocy. Sześć okrzyków „na pomoc” lub błysków latarki, minuta przerwy i znowu. Dziś jest łatwiej. Są telefony komórkowe i dobre radiotelefony o dużym zasięgu. Ale w górach z łącznością jest różnie. Nie wszędzie jest zasięg, więc ten sygnał obowiązuje do dziś.

Wspinałem się 50 lat. Nie miałem żadnego wspinaczkowego wypadku. Nigdy nie wzywałem pomocy dla siebie, nikt mi pomocy nie udzielał. Jedyne urazy, jakiego doznałem w górach, to zwichnięcie nogi, ale nie na wspinaczce, tylko w potoku. Udało się ją nastawić o własnych siłach. Owszem, zdarzyło mi się kilka poważnych lotów, po 10–20 metrów, ale w powietrze, zawisłem na linie nie uderzywszy w nic. Zaliczyłem też poważny lot z lawiną, ok. 300 metrów, ale też nic mi się nie stało.

Alpinizm nie jest „samobójstwem”, „kapliczką straceńców”, nic z tych rzeczy. Znacznie częściej ulegają wypadkom w górach turyści i narciarze. Wypadki taternicze są natomiast bardziej sensacyjne dla mediów i każdy jest omawiany w każdej telewizji. Setki połamanych motocyklistów, narciarzy, przejechanych rowerzystów, utopionych pływaków amatorów, to żadna sensacja. O tym, mówi się rzadko. Jeśli „znowu słyszymy o wypadku w górach”, to pamiętajmy, że mowa o niemal wszystkich wypadkach we wszystkich górach z całego świata. Pamiętajmy, że polscy alpiniści to bardzo duża grupa ludzi.

Tym razem zamierzam opowiedzieć o kilku akcjach ratunkowych, w których brali udział alpiniści (bez zawodowych ratowników), albo ratownicy z dużym udziałem alpinistów.

Wielki Mięguszowiecki 1971

Mam 23 lata.

Wspinamy się zimą na najdłuższej drodze taterniczej Tatr Polskich, na Północnym Filarze Mięguszowieckiego Szczytu Wielkiego. Droga autorstwa Tadeusza

Orłowskiego i Wawrzyńca Żuławskiego, według wyceny, nie jest specjalnie trudna. Zaledwie IV-V, duże partie zupełnie łatwego terenu. Ale to, co jest łatwe latem, niekoniecznie jest łatwe zimą. Droga ma 880 metrów przewyższenia i ok. 1300 metrów długości. Zimą droga miała wcześniej tylko jedno przejście jednodniowe – Czesław Momatiuk i Józef Nyka w 1961 roku.

Moim partnerem jest Krzysztof Dubilis. Przez dolne partie drogi przechodzimy bardzo szybko. Wieczorem jesteśmy pod kopułą szczytową i zakładamy biwak. Wszystko wygląda optymistycznie. Mamy płachtę biwakową i kurtki puchowe. Podgrzewamy na „Juvlu” puszkę soku pomarańczowego, zjadamy na pół puszkę mielonki. Biwak jest wygodny i noc spokojna. Mamy szansę na bardzo dobry czas przejścia. Doszliśmy pierwszego dnia wyżej, niż wszystkie inne zespoły tej zimy, nawet zespół gwiazd: Andrzej Skłodowski i Janusz Kurczab.

Rano wsuwamy po paczce herbatników i do góry! Około dziewiątej rano jesteśmy zaledwie dwa wyciągi od szczytu. I w tym momencie prowadzący akurat ten ostatni trudny, trzeci od góry wyciąg, Krzysiek Dubilis, poleciał. Widziałem, jak staje na czymś, co wyglądało jak duży stopień pokryty śniegiem, ale niestety okazało się być nawisem śnieżnym przyklejonym do skały. Nawis urywa się i Krzysiek leci około 30 metrów wyrывая dwa przeloty. Po drodze dwa razy uderza o skały. Zawisa na linie jakieś dwa, może trzy metry pod moim stanowiskiem.

Szarpięcie było potężne. Jeden z haków stanowiskowych, łyżka, pęka. Zostaje tylko jeden stary klincał zostawiony tu pewnie jeszcze przez pradziadów (dawno już nie używa się takich haków). Szarpięcie rzuciło mnie na skałę. Mocno uderzyłem lewym bokiem, barkiem i biodrem, ale nic mi nie jest. Boli, ale mogę się ruszać. Po powrocie stwierdziłem tylko dwa wielkie siniaki.

Sytuacja jest poważna. Zablockowałem linę i mam swobodę ruchu, ale Krzysiek wisi poniżej stanowiskowej półki i jęczy z bólu. Dobijam dwa dodatkowe haki. Teraz muszę jakimś cudem wciągnąć go na półkę. To nie takie proste. Teren uniemożliwia założenie fachowego flaszencugu. Wymyśliłem taki patent: zakładałem na linę jumara połączonego długą pętlą ze stanowiskiem. Wiem, że choć jestem bardzo silnym fizycznie człowiekiem, to wyciągnięcie partnera rękami za linę jest niemożliwe. Chwyć za cienką linę, opór na krawędzi półki i ponad 60 kilogramów wagi partnera. To się nie da zrobić.

Pomysł jest taki: zakładałem drugiego jumara wyżej niż pierwszy, krótszą pętlę przez plecy i ramię, kucam pod liną i wstaję. Taki przysiad z dużym ciężarem, jak na treningu ze sztangą. Ale działa. Unoszę partnera jakieś 30 centymetrów i blokuję go na dolnym jumarze. Powtarzam to ok. dziesięciu razy i w końcu mogę już wciągnąć go na półkę za ubranie. Ogromny wysiłek, ale udało się.

Staramy się ustalić, jakie ma obrażenia. Wyraźnych złamań nie widać, ale czy nie ma połamanych żeber albo obrażeń wewnętrznych, nie wiadomo. Nie jest w stanie stać o własnych siłach.

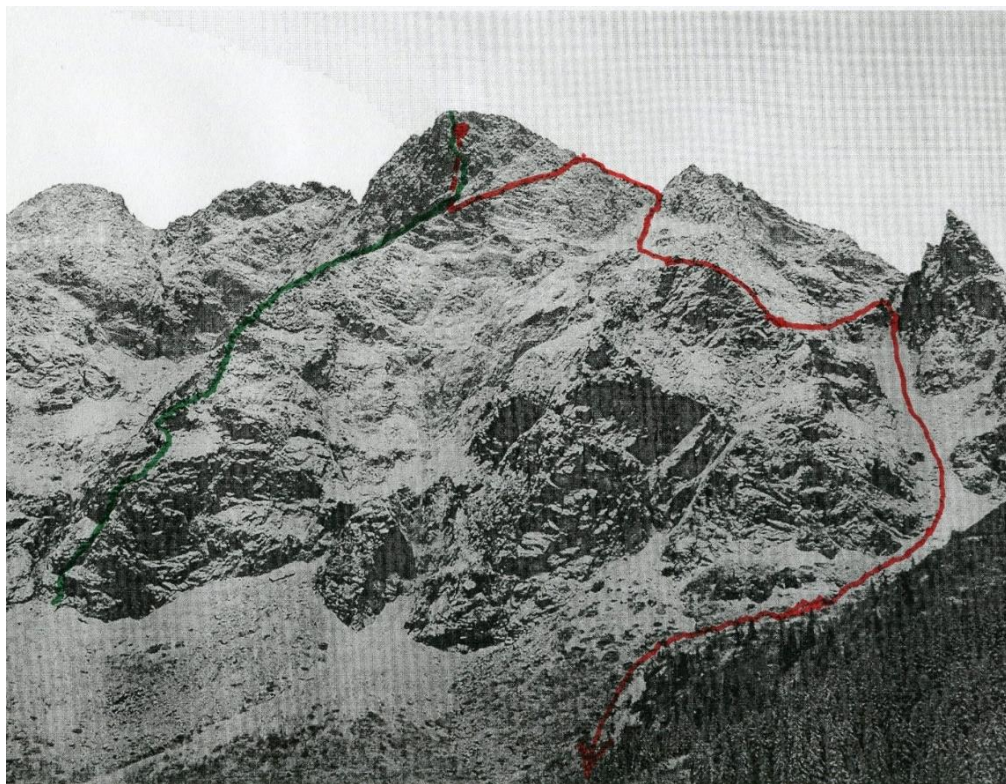
Musimy radzić sobie sami. Jest dopiero nieco po dziewiątej rano. Nie mamy jak wezwać pomocy. Wołanie z tej odległości nie ma sensu. Do schroniska w linii prostej

jest prawie dwa kilometry. Blżej nikogo nie ma. Latem na szlakach są turyści, ale nie zimą. Czekanie do zmroku wykluczone. Stan rannego będzie się pogarszał.

Opuszczam Krzyśka na linie do miejsca, gdzie może siedzieć lub leżeć i nie obciążać liny. Pytam, czy się nie obsunie. Mówi, że nie, ale nie jest w stanie założyć stanowiska. Zjeżdżam do niego, zakładam stanowisko, ściągam linę i powtarzam całą operację. Krzysiek, mimo silnego bólu, pomaga mi tyle, ile może. Pytam, gdzie go boli.

– Właściwie wszędzie – mówi.

Okolo południa dostajemy się pod kopułę szczytową. Opuszczanie dalej nie ma sensu. Do podstawy ściany jest jakieś 700 metrów różnicy wysokości. Jesteśmy na dolnym z dwóch zachodów prowadzących pod kopułę szczytową w prawo do grani lub w lewo do Bandziocha. Ale Bandzioch (Wielki Kocioł Mięguszwiecki) to lawinowe pole minowe. Śmierć w oczach.



Mięguszwiecki Szczyt Wielki od północy. Droga Tadeusza Orłowskiego i Wawrzyńca Żuławskiego Północnym Filarem (linia zielona). Miejsce wypadku (czerwony punkt), linia zjazdów i transportu rannego (linia czerwona). Fot. Archiwum autora

Planowałem zabezpieczyć tu Krzyśka i samemu iść po pomoc, ale nagle widzę dwie postacie wyłaniające się z północnej ściany Mięgusza. To Michał Wroczyński i Witek Fedorowicz, którzy przeszli większość północnej ściany i wyszli na siodełko w filarze. Wołam do nich i idą w moim kierunku.

Szybko ustalamy plan działania. Musimy przeprowadzić rannego zachodem na grań, stamtąd do Hińczowej Przełęczy i przez Galerie Cubryńskie do Mnichowego Żlebu, którym opuścimy go nad Morskie Oko. Tylko to wszystko jest cholernie daleko.



Kopuła szczytowa Mięgusza. Widać dwa zachody biegnące nieco w górę i w prawo u jej podstawy. Fot. Barbara Zygmąńska

Jeden z nas cały czas podtrzymuje Krzyśka, który musi wykrzesać z siebie resztkę sił i przejść z naszą pomocą ok. dwustu metrów i nieco pod górę. Jeden go podpira i pomaga, dwaj na końcach liny asekurują. Sprawę komplikuje to, że jeszcze w czasie wspinaczki Krzysiek zgubił czekanomłotek. Zostaliśmy z jednym czekaniem i jednym młotkiem. Gdy szliśmy do góry, dawaliśmy sobie radę. Przekazywaliśmy sobie sprzęt. Prowadzący miał czekan i młotek, a drugi linę z góry i jakoś to szło, ale teraz brak jednego czekana bardzo nam utrudnia zadanie. Ranny Krzysztof jest cały czas przez nas ubezpieczany, ale my trzej prawie cały czas jesteśmy bez asekuracji na bardzo stromym i osypującym się śniegu nad 700 metrowym luftem. Śnieg jest typu „cukier”. Nie ma żadnej spójności.

Najtrudniej jest pod koniec zachodu, gdy trzeba podejść na grań jakieś dwadzieścia metrów prosto w górę. Michał podpycha Krzyśka. Ja stoję na grani i ciągnę za linę z całej siły. Na grani istny wygwizdów. Jest siarczysty mróz i dość silny wiatr. Gdy Krzysztof wreszcie dociera na grań jestem niemal sztywny z zimna. Jest ponad 20 stopni mrozu i wiatr.

Po południowej stronie grani docieramy do Hińczowej Przełęczy. Robimy coś w rodzaju toboganu z płachty biwakowej i naszych kurtek puchowych. Ranny musi mieć ciepło, a my możemy co najwyżej dygotać. Robi się ciemno i zaczynam dawać latarką sygnały sześć razy na minutę, ale nie widzę odzewu.

Szybko opuszczamy go żlebem na Wielką Galerię Cubryńską. Tu niestety stromizna jest niewielka i musimy ten nasz pseudotobogan ciągnąć. Ja oprócz własnego plecaka mam jeszcze plecak Krzyśka, a za plecak wetknięty zbędny na płaskim czekan, który uwiera mnie w plecy jak cholera. Przez Małą Galerię docieramy do Mnichowego Żlebu. Tu znowu opuszczanie w stromym terenie, ale mamy to już przećwiczone. Chłopcy obsługują stanowisko, a ja rannego.

Docieramy do Hali pod Mnichem. Tu znowu płasko, znowu ciągniemy. I ostatnie opuszczanie nad Morskie Oko. Na tafli zamrożonego stawu stoi cały tłumek ludzi, ale nikt nie podszedł nawet metra do góry.

– Macie tobogan? – pytam.

– Nie

– To co wy tu kurwa robicie! – wybucham.

Na szczęście mają radiotelefon. Za dziesięć minut jest tobogan. Nasza rola skończona. Pytam, która godzina.

– Dwudziesta trzecia.

Nasza akcja trwała od wypadku 14 godzin. Wlokę się do schroniska niemal na miękkich nogach. Podjeżdża karetka z Zakopanego.

Następnego dnia pytam o dziwne zachowanie kolegów z dołu. Czemu nam do cholery nie pomogli? Okazuje się, że wszystko widzieli tylko źle interpretowali. Widzieli przez lornetkę nasz wycof z kopuły szczytowej, ale nikomu nie przyszło do głowy, że coś nie tak. Uznali, że po prostu wycofujemy się zjazdami. Czemu nikt nie skojarzył, że nikt zdrowy i cały nie wycofuje się zjazdami będąc kilkadziesiąt metrów od szczytu. Dalszy nasz odwrót interpretowali tak, że po prostu schodzimy. To fakt, że z tej odległości nawet przez lornetkę niewiele widać. Ale czemu nikt nie ruszył tyłka do góry, gdy dawałem sygnały latarką? Jakoś nikt mi nie dał przekonującej odpowiedzi.

Kazalnica 1972

Mam 24 lata.

Północna ściana Kazalnicy ma 600 metrów wysokości i jest bezdyskusyjnie najtrudniejszą ścianą Tatr Polskich. Akcje ratunkowe w tej ścianie są zawsze niezwykle trudne.

Jest lato, sierpień. Na drodze Łapińskiego i Paszuchy wspinają się dwa zespoły, jeden nad drugim. To już jest błąd. Nie powinno się wchodzić w ścianę, jeśli na naszej drodze już ktoś jest. Niestety, jest to błąd dosyć częsty.

Pierwszy zespół, Zbigniew Grabowski i Henryk Walkowiak, jest już w połowie wysokości ściany, na tak zwanej „Ścianie Problemowej”, czyli na najtrudniejszym wyciągu drogi. Drugi zespół, dwaj bracia Jurek i Staszek Bajorkowie, znajdują się w szerokim, kruchym kominie wyprowadzającym właśnie pod ową „Ścianę Problemową”. W pewnym momencie prowadzący z pierwszego zespołu niechcący strąca kamień, który spadając trafia w prowadzącego Staszka. Staszek spada i zawisa na linie poniżej stanowiska Jurka. Kamień, który go uderzył, odbił się i uderzył także w Jurka, łamiąc mu nogę. Staszek wisi na linie nieprzytomny. Poleciał ok. 60 metrów.

Chłopcy z pierwszego zespołu zjeżdżają do nich i zabezpieczają rannego Jurka oraz Staszka. Stwierdzają, że Staszek nie żyje. Więcej sami zrobić nie mogą.

Szczęściem w nieszczęściu jest przypadkowa obecność pod ścianą grupy młodych ratowników GOPR, którzy mieli właśnie odbywać szkolenie. Szkolenie, to nie znaczy, że dopiero się uczyli ratownictwa. Ratownicy, nawet doświadczeni, stale się szkolą.

Kilku ratowników szybko wspina się od dołu do poszkodowanych, ale poza zabezpieczeniem ich nic więcej nie mogą zrobić. Potrzebny jest Gramminger i więcej ludzi.

Zestaw Grammingera, inaczej zestaw alpejski, to system urządzeń do opuszczania ratownika i rannego w specjalnych szelkach na linie stalowej. Składa się z wciągarki (ręcznej, bez żadnego silnika), bębnow z linką stalową w odcinkach po sto metrów. Wciągarka, wbrew nazwie, służy głównie do kontrolowanego wypuszczania linki i łączenia jej kolejnych odcinków, a po akcji do zwinięcia linki z powrotem.

Problemy są dwa, a stwarza je miejsce wypadku. Po pierwsze mamy nie jednego, lecz dwóch poszkodowanych, z których jeden nie żyje, a stan drugiego nie do końca jest znany. Opuszczanie ich pod ścianę za pomocą lin alpinistycznych trwałoby kilka godzin (w najlepszym wypadku). Drugi problem, to jak tam dotrzeć z ciężkim sprzętem. Bęben z setką linki waży wiele kilogramów. To nie plecak na wycieczkę.

No i to jest ściana Kazalnicy, wielka i pionowa. Można oczywiście łatwo dotrzeć ponad jej zerwy, ale stamtąd trzeba by ratownika opuszczać na linie długości ponad 500 metrów! To nie tylko trudne, ale i ryzykowne. Ostatni segment linki o średnicy kilku milimetrów byłby obciążony siłą ponad 300 kilogramów (dwóch ludzi i 500 metrów linki). W dodatku nie sposób uniknąć strącania kolejnych kamieni, a nawet niewielki kamień spadający z takiej wysokości ma energię pocisku. Kamienie może strącać też sama linka, którą na tak długiej drodze trudno kontrolować.

W dodatku psuje się pogoda. Zaczyna padać deszcz i robi się późno. Grozi prowadzenie akcji po ciemku. Nie pamiętam, czy ratownicy mieli ze sobą zestaw Grammingera, ale na pewno nie mieli takiego zapasu linki stalowej. Tak, czy owak, część sprzętu trzeba donieść z dołu.

Informacja o wypadku bardzo szybko dociera na obozowisko taternickie. Pakujemy sprzęt i ruszamy biegiem pod Kazalnicę. Wprowadzie akcję prowadzi GOPR, ale każde ręce mogą się przydać. Gdy docieramy pod ścianę, jest już wstępny plan akcji. Trzeba dostać się ponad miejsce wypadku do „Nyży ze Świeczką”. To taka spora nyża

(rzeczywiście ktoś kiedyś zostawił tam świeczkę i została na lata) nad „Ścianką Problematyczną”. Jest w niej spora, wygodna półka pod okapem, dogodna na stanowisko zestawu Grammingera. Ale ta nysa jest dość wysoko w ścianie. Dojście od dołu wykluczone. Trzeba wtrawersować do niej z boku, od strony drogi Korosadowicza. Łatwo się mówi, trudniej zrobić. Zwłaszcza że nikt wcześniej takiego wariantu nie przechodził.

Rzeczywiście od prawej strony do „Nysy ze Świeczką”, przecinając komin na drodze Korosadowicza, prowadzi pas znacznie łatwiejszego terenu. Łatwiejszego, to nie znaczy sympatycznego i bezpiecznego. To głównie kruche skały i bardzo strome trawki. Każdy kto chodził po górach wie, co to są strome trawki w ulewnym deszczu i w ciemności. Trudno się na tym asekurować i omsknąć się jest bardzo łatwo.

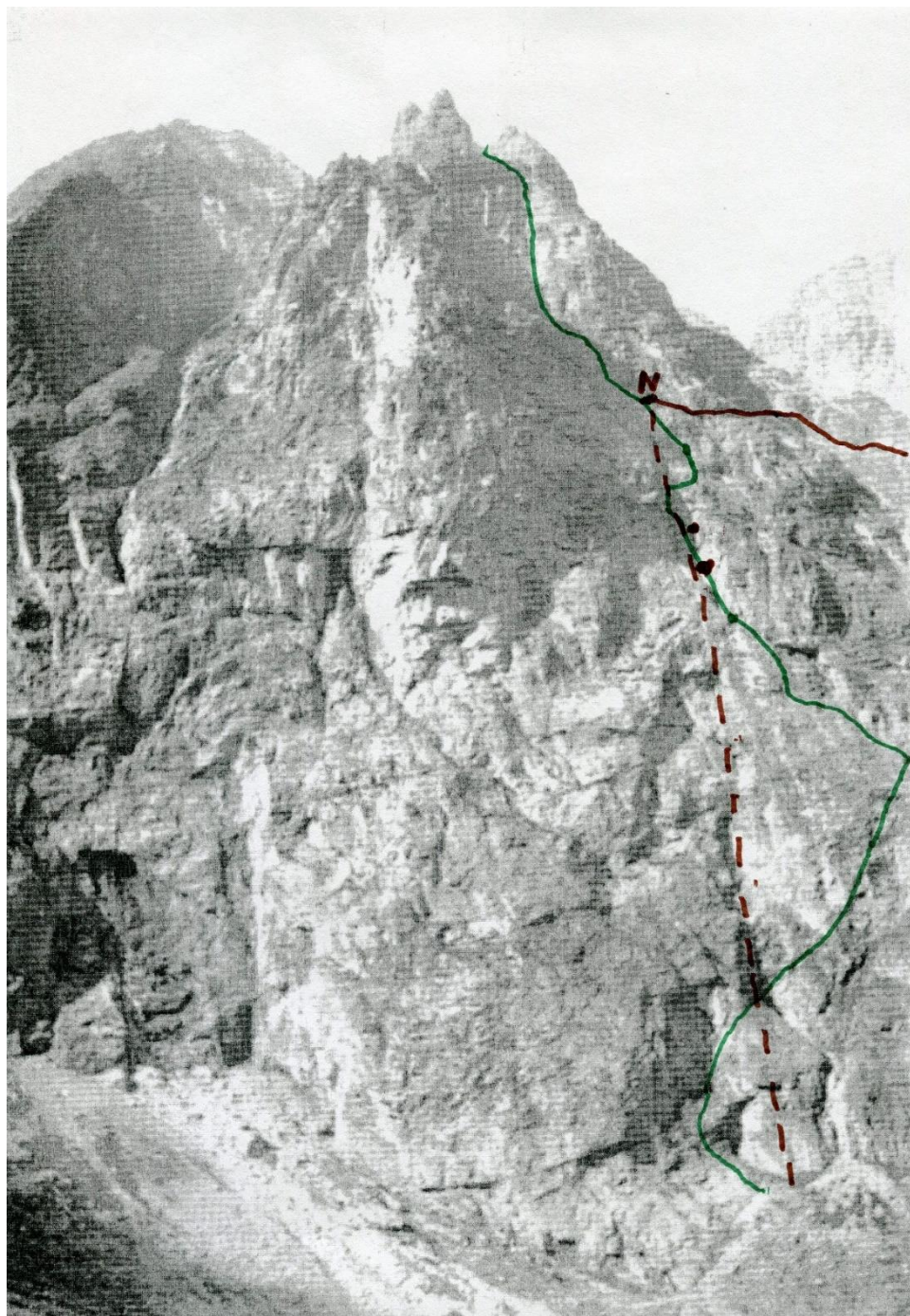
Chcę uświadomić czytelnikom, co to znaczy. Nie mówimy o jakiejś bardziej stromej łączce, tylko o trawiastym zboczu o nachyleniu rzędu 60-70 stopni, nad trzystumetrowym luftem. Trzeba wbijać palce w ziemię i czujnie wybierać stopnie. Pół biedy, gdy jest się blisko skały i jest w co wbijać haki do asekuracji. Gorzej, gdy trzeba przejść bez żadnego przelotu 20 czy 30 metrów ryzykując ogromny lot. Ale ktoś musi jako pierwszy to zrobić i założyć dla innych poręczówkę. A jest deszcz, ciemność i chwytty tylko za ziemię i trawę. W dodatku kominem Korosadowicza, który trzeba przeciąć, płynie niemal wodospad.

Pamiętam taką scenę, gdy jeden z ratowników trzy razy wspinał się po trawkach w kierunku skały i trzy razy osuwał się dobre 30 metrów, zawisając na linie asekuracyjnej, po czym ponawiał próbę. Dopiero za czwartym razem założył poręczówkę.

Za oświetlenie służą, oprócz latarek, pochodnie. Ówczesne latarki na płaską baterię 4,5 V świeciły dość krótko. Najwyżej nieco ponad godzinę. Stąd używanie przez GOPR pochodni. Pamiętam taką scenę, niczym w stopklatce, Jak Zbyszek Skierski, niosąc ciężki ładunek po bardzo stromym zboczu, jedną ręką trzymał się poręczówki, a w drugiej trzymał płonąca pochodnię. Nie był do poręczówki niczym przypięty. Po prostu trzymał się jej ręką.

W ciemnościach i ulewnym deszczu docieramy do „Nysy ze Świeczką”. Kilkunastu ludzi w fatalnych warunkach porusza się niemal lub zupełnie bez asekuracji nad trzystumetrowym luftem. W dodatku taszcząc bardzo ciężkie ładunki.

W końcu jest stanowisko Grammingera. Ale pomocy wymagają już także chłopcy z pierwszego zespołu. Tkwią od dobrych paru godzin na deszczu przy zmarłym i poszkodowanym. Są zestresowani, przemoczeni i wyziębieni.



Północna ściana Kazalnicy Mieguszwieckiej. Droga Czesława Łapińskiego i Kazimierza Paszuchy – linia zielona. N – Nyża ze Świeczką. Droga wejścia w ścianę ratowników – linia czerwona. Położenie uszkodzanych – czerwone punkty. Górny – Jerzy Bajorek, Linia przerywana – zjazdy Grammingerem. Fot. Krzysztof Łoziński

Sześć razy na minutę

Pierwszy zjeżdża Grammingerem ratownik Czesław Bednarz. Zapada decyzja, by zwieść jednocześnie ciało zabitego Staszka Bajorka i znajdującego się z nim Zbigniewa Grabowskiego. Chodzi o czas. Zrobi się za chwilę już zupełna noc, stan rannego się raczej z czasem nie poprawia. Długość zjazdu, według danych GOPR, wyniosła 260 metrów. Drugi zjeżdża Maciej Gąsienica, zwożąc Jurka Bajorka. Przebywającego z nim Henryka Wąkowiaka wpiął do alpinistycznej liny podciągowej. Wyciągnęliśmy go do góry. Łatwo się mówi: wyciągamy. Trzeba ciężar ok 70 kilogramów wyciągnąć 80 metrów do góry za cienką 8 milimetrową linę. Na szczęście jest do tego sporo rąk.



Ściana Kazalnicy z profilu. Fot. Krzysztof Łoziński

Niby akcja jest zakończona, ale trzeba jeszcze sprowadzić po tych wariackich trawersach wyziebionego kolegę, zlikwidować stanowisko i stargać tę całą kupę sprzętu na dół. Harujemy jeszcze parę godzin. Jesteśmy wszyscy zmęczeni (to łagodne określenie), przemoczeni i wymarznięci.

Następnego dnia w Gazecie Krakowskiej ukazał się histeryczny artykuł, nie wiem co za pacan to napisał, o tym jak to „woda zalewała usta ratownikom”, „rozmiękle od deszczu skały kruszyły się pod palcami” itp. bzdury. Takie histeryczne teksty na pewno nam ani GOPR-owcom nie pomagają. A swoją drogą to pierwsze słyszę, by granit rozpuszczał się w wodzie.

Himalaje, Kaszmir 1979

Mam 31 lat.

(Obszerniejszy opis tej akcji zamieściłem w książce „Ślady na śniegu”, w rozdziale Himalaje Koszmaru. Została też ona opisana w książce Krystyny Palmowskiej „Zaklętym w górski kamień”)

Tym razem musieliśmy zmagać się nie tylko z górami, ale i z ludźmi, dla których różne interesy były ważniejsze niż ratunek. Do akcji ratunkowej włączyła się polityka.

Jestem kierownikiem wyprawy w Himalaje Kaszmiru, w Indiach. Wyprawa organizowana była przez Oddział PTTK w Koszalinie i zatwierdzona przez Komisję Turystyki Górskiej PTTK. Wbrew temu, co się wielu wydaje, nie tylko Polski Związek Alpinizmu może być organizatorem wypraw w góry wysokie.

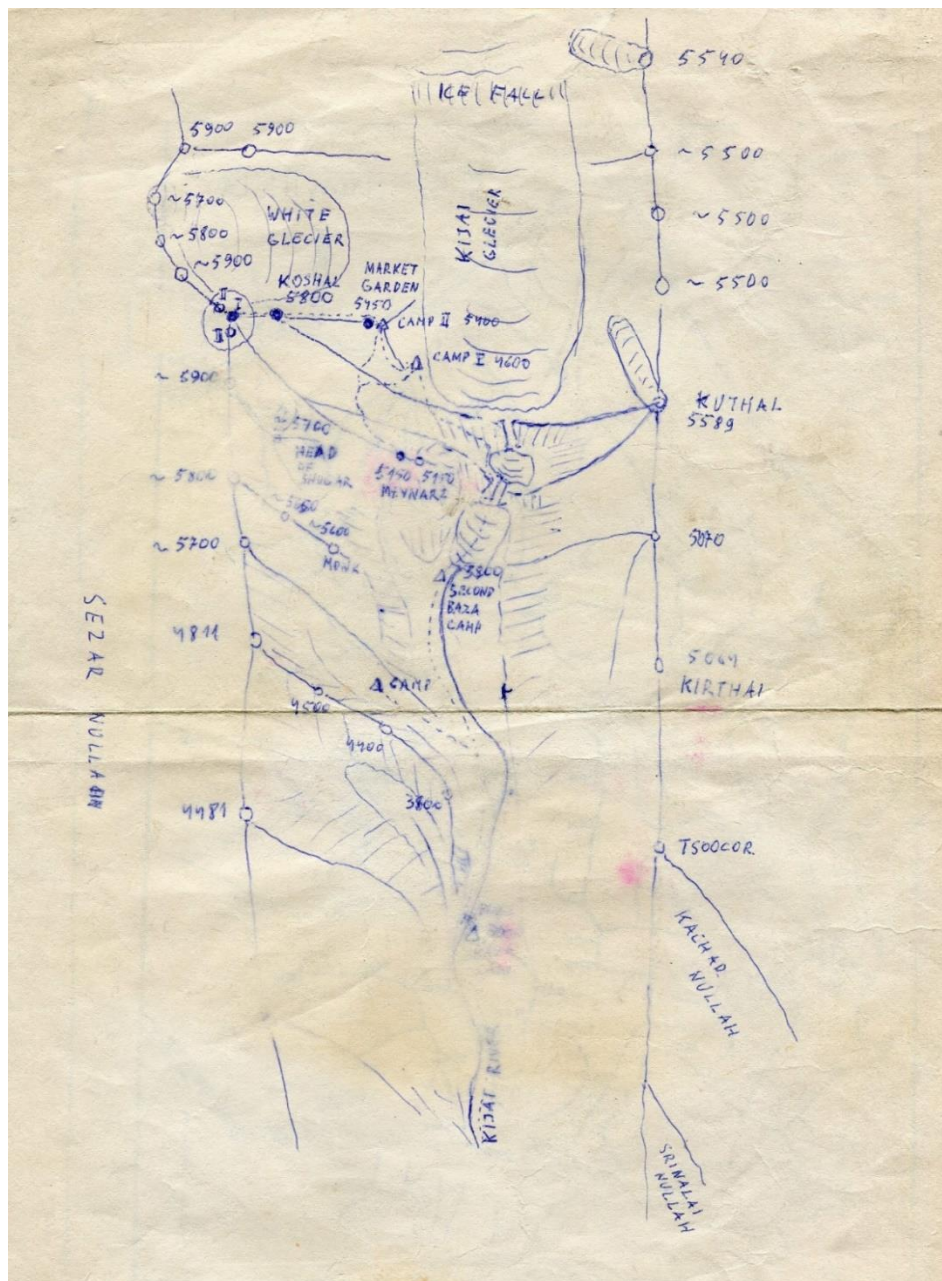
Działamy w dolinie Kijaj, w której przed nami nie było jeszcze żadnej wyprawy. Już samo dojście do doliny było potężnym problemem ze względu na wyjątkowo trudny teren, Przejście przez poprzednią dolinę Sung Lai i trawersowanie dwóch grzbietów górskich, w tym ogromne przewyższenia, nawet 1900 metrów. W dodatku teren dolnych partii doliny i zboczy, które trzeba pokonać, porośnięty jest gęstym lasem, utrudniającym marsz i ograniczającym widoczność. Nawet sam marsz doliną, w której nie ma żadnej ścieżki, to realnie trawers po stromym zboczu nad płynącą dnem doliny wartką rzeką. Do atrakcji terenu należą na przykład strome płyty pokryte igliwem i trawersy po wąskich gzymsach nad ponadkilometrowym luftem. Do tego bardzo trudna orientacja w terenie. Bardzo łatwo zabłądzić.

Dosłownie w dniu założenia bazy, od wyprawy odłączyły się trzy osoby: Jan Oficjalski, jego żona Barbara Oficjalska i Jacek Szczepański. Jak ustaliliśmy później, od początku planowali oni oddzielną działalność, a nasza wyprawa potrzebna im była tylko do wyjechania z Polski i dotarcia w góry.

Rozłam w wyprawie jest rzeczą przykrą, ale trzeba wyjaśnić, że uczestnictwo w wyprawie jest dobrowolne, a kierownik nie ma żadnej realnej władzy, poza lojalnością koleżeńską. Niestety, nie mogłem w tej sytuacji nic więcej zrobić niż tylko uznać fakt i próbować nakłonić ich do zmiany decyzji. Bez skutku.

Sześć razy na minutę

Od tego momentu działamy oddzielnie. Rozmowa z Jankiem, który teraz określa się jako „kierownik osobnej wyprawy” była trudna. Janek nazywa nas „turystami”, a naszą wyprawę „turystyczną”. Ja według niego „opóźniam”, bo „teraz w Himalajach chodzi się w stylu alpejskim”. Spór ma jednoznacznie podtekst ambicjonalny.



Jedyna „mapa”, jaką dysponujemy, narysowana na kartce długopisem przez Chrisa Boningotna, z naniesionymi później przeze mnie obozami drogi na szczyt P-6013

Najpierw o faktach. Janek i Jacek są sprawnymi taternikami, ale nigdy nie byli w górach wysokich. Wspinali się w Tatrach i jeden sezon w Alpach. Mają za sobą po 6 sezonów wspinaczkowych. Barbara nie wspina się wcale. Pojechała na wyprawę jako żona Janka. W moim przypadku, „turysty”, mam właśnie dziewiętnasty sezon górski. Jest to moja czwarta wyprawa. Mam już w dorobku wejścia w Hindukuszu na Koh-e Awal (5800 m, solo), Koh-e Jarm (6000 m, solo), Koh-e Tez (7015 m, solo) i Tirich Mir (7706 m, z wyprawą brytyjską). Mam też znacznie lepszy od Janka (nic mu nie ujmując) dorobek tatrzański. Drugi raz kieruję wyprawą.

Co więcej, Janek wspinał się ze mną i dobrze mnie zna (on i Basia byli moimi kolegami ze studiów na Wydziale Fizyki). Zrobiliśmy razem, między innymi, pierwsze przejście „Superdirettissimi” Mniszka. Janek wie również, że w składzie wyprawy jest „Kuba” (Stanisław Gorgoń), który też ma staż górski nawet większy od mojego.

Moja wyprawa musi teraz działać w uszczuplonym składzie, bez dwóch sprawnych wspinaczy, na których liczyłem. Oprócz mnie i Kuby Gorgonia pozostają ze mną Józef Mąkinia, Stanisław Pelcarski, Janusz Marczak i Wiktor Szląpacki. Żaden z nich nie ma doświadczenia w górach większych niż Tatry.

Cóż, gdy grają ambicje, rozum śpi. Żądam od Janka oświadczenia na piśmie, że z własnej woli odłączają się od wyprawy. Janek pisze oświadczenie, w którym nazywa naszą wyprawę „turystyczną”. Cała trójka się pod tym podpisuje. Janek mówi: „my będziemy wspinać się na Arjunę, a wy na jakieś mniejsze szczyty”.

Arjuna (6225 m) była jednym z ostatnich niezdojanych sześciotysięczników Himalajów Kaszmiru. Problem w tym, że nikt nawet nie wiedział, jak wygląda, bo w tej dolinie nie było przed nami żadnego alpinisty. Nikt nie zrobił nawet jej zdjęcia. To jest 1979 rok. Nie ma jeszcze zdjęć satelitarnych. Nie ma nawet porządnej mapy. Dysponuję tylko szkicem, który narysował mi długopisem na kartce z zeszytu Chris Bonington, na podstawie tego, co widział z innego pasma z dużej odległości. Praktycznie działamy w zupełnie nieznanym terenie. Wiem tylko, że w dolinie są jeszcze trzy sześciotysięczniki, niezdojane szczyty P-6013, P-6002 i Brammah II (6450 m) zdobyty z innej strony, ale bez polskiego wejścia.

Nie wiemy jednak jeszcze, jak duże trudności musimy pokonać, zanim w ogóle dostaniemy się w pobliże gór, które nas interesują. Możliwość dalszego marszu w głąb doliny po tej stronie rzeki się skończyła (stąd baza w tym miejscu). Musimy przeprawić się przez rzekę. Musimy zwalić kilka drzew i zbudować z nich prowizoryczny most, a za mostem pokonać „pionową ziemię” (formacja powstająca po podcięciu moreny lodowcowej przez wodę, pionowa ściana z gliny i kamieni). Dalej teren jest miejscami porządnie trudny. Szybko orientujemy się, że zwierzęta, o których słyszeliśmy w czasie rekonesansu od indyjskich myśliwych (niedźwiedzie himalajskie, pantery, tygrysy, koby i pytony) realnie tu są, w tym lesie, w którym mamy bazę.

Na wtórne zyczenie
odłącam się od wyjazdu
turystycznego do Indii
w roku 1979 zorganizowanego
przez oddział Klubu PTTK
Koszelin

Janek
Bohryalski
Jacepanki

Dokument o odłączeniu się od wyprawy podpisany przez Jana Oficjańskiego, Barbarę Oficjańską i Jacka Szczepańskiego. Naszą wyprawę nazwał Janek „wyjazdem turystycznym do Indii”



Dno doliny Kijai. Nie ma żadnej ścieżki, trudny teren porośnięty gęstym lasem i górską rzeką z silnym prądem. Fot. Krzysztof Łoziński

Ważne, że dzień marszu dalej w głąb doliny założyliśmy bazę wysuniętą, a grupa Janka przeniosła tam swoją bazę. Aby dotrzeć do podstawy właściwych gór, musimy

Sześć razy na minutę

jeszcze pokonać niebezpieczny lodowiec i dwa skalne progi, z których pierwszy był poważną przeszkodą (pierwszy wyciąg V A0, dalej łatwiej).



Pierwszy próg w dolinie. Wysokość ok. 80 m. Pokonaliśmy go po skalach z lewej strony wodospadu. Fot. Krzysztof Łoziński

Pierwszy próg przegradzający całą szerokość doliny i lodowiec. Pokonaliśmy go po skałach na lewo od wodospadu. Trudności V A0. Później wisiała tu poręczówka.

Kluczowy dla wypadku, który będzie powodem akcji ratunkowej, był moment spotkania mojej ekipy z Jackiem Szczepańskim i Barbarą, gdy schodziliśmy już do bazy po zakończeniu naszej działalności. Przechodziliśmy obok ich bazy i Jacek z Barbarą do nas podeszli. Pierwsza rozmowa jak z normalnymi kolegami, bez żadnych złośliwości. Jacek mówi, że on i Janek atakowali Arjunę, ale nie dali rady. Wyszli nawet „na grań” (którą?), ale była „ostra jak brzytwa”. Proponuję, by wracali z nami. Nie zgadzają się.

– A wy co zrobiliście? – pyta Jacek.

– Zdobyliśmy cztery szczyty – odpowiadam.

Faktycznie, weszliśmy na dziewicze szczyty P-6013, 5800, 5450 i 5150 m.

Ta rozmowa była chyba kluczem do tego, co działo się dalej. Zagrały ambicje. Oto my, pogardzani „turyści” odnieśliśmy sukces, a oni „alpiniści”, nie.



Staszek Pelcarski na górnym lodowcu nad progami. Jako pierwsi alpiniści świata oglądamy sporą grupę niezdobytą i w większości nawet nie nazwanych pięcio- i sześciotysięczników. Szczyt pośrodku to Arjuna – 6225 m. Fot. Krzysztof Łoziński

Zacytuję tu fragment mojej książki „Ślady na śniegu”:

.....

Przebieg tej rozmowy był bardzo ważny ze względu na późniejsze wydarzenia. Przypomnę więc to, co napisałem o niej w sprawozdaniu tuż po wyprawie, bo po latach pamięć może zawodzić:

„Jacek mówi, że atakowali Arjunę, lecz bez powodzenia. Założyli na lodowcu »składzik«. Próbowali wspinać się przez kocioł i lodowczyk w ścianie szczytu 5600 m (Jacek w inny sposób określił, o który szczyt chodzi. Mając gorszy zestaw map niż my, nie znał wysokości tego szczytu). Wspomina, że załamanie pogody, które ja ze Staszkiem przeczekiwałem na wysokości 5200 m, przebiwakowali na wysokości 5700 m i osiągnęli grań (którą?), ale była zbyt ostra, by się nią wspinać.

W relacji tej jest wiele sprzeczności. Lodowczyk, o którym mówi Jacek, jest złudzeniem, gdy patrzy się z dołu. Dobrze to było widać z naszego obozu II. Naprawdę jest to pozorny ciąg pól lodowych. Lodowczyk ten nie istnieje w terenie, lecz w wyobraźni patrzącego z lodowca Kijai. Wysokości 5700 m nie można w tym rejonie osiągnąć, gdyż szczyt, w ścianie którego wszystko to się znajduje, ma 5600 m. Osiągnięcie jakiegokolwiek grani też jest mało prawdopodobne. Moim zdaniem, podawany przez niego przebieg wspinaczki był wytworem fantazji chłopców, którzy nie mogli się przyznać, że byli tak nisko.

[...]

Jacek mówi, że zamierzają teraz zaatakować jakiś łatwiejszy szczyt, a z Arjuny rezygnują. Zrozumiałem wtedy, że ma na myśli wspomniany już szczyt 5600 m, ale później, gdy analizowałem tę rozmowę szczegółowo, zacząłem mieć wątpliwości. Większość szczytów w otoczeniu doliny nie ma nazw, a z miejsca, w którym rozmawialiśmy, większości z nich nie widać. Mogłem więc źle zrozumieć.

Barbara opowiada, że gdy chłopcy szli się wspinać, siedziała w bazie sama i »dostawała bzika od szumu potoku« (później, już po powrocie do Polski, opowiadała mi, że przez jedną noc leżała sama w namiocie, trzęsąc się ze strachu, podczas gdy w obozie buszowało jakieś zwierzę).

Jacek dziwi się, gdy opowiadam, jak przechodziliśmy progi. Oni trudności pierwszego nie odczuli, bo przeszli po naszej poręczówce, a ominięcia drugiego nie zauważyli i musieli wspinać się techniką hakową, by powiesić linę poręczową."

.....

Sytuacja jest taka: my musimy schodzić, bo praktycznie skończyło nam się jedzenie. Nie możemy czekać na grupę Janka, bo mamy przed sobą dwu- lub trzydniowy powrót w bardzo trudnym terenie, a zostało nam zaledwie kilka konserw na sześciu ludzi. W dodatku ten powrót to nie spacer. W planie jest np. podejście na grań doliny Kijaj (przewyższenie 1900 metrów), bardzo trudne orientacyjnie zejście do doliny Sunglai, kolejne podejście 800 metrów i zejście do wsi Lai.

W dodatku w umówionym dniu nie przyszli tragarze.

.....

Pod datą 16 września, napisałem:

„Przez chwilę rozważam, czy nie powinniśmy zostać w dolinie i czekać na zejście grupy Janka. Jednakże jest to zupełnie niemożliwe, bo nie mamy już żadnej rezerwy

żywności. Musiałbym zostawić sześciu ludzi na kilka dni czekania i ciężką drogę do Lai zupełnie bez jedzenia. Na pewno źle by się to skończyło.

Pocieszam się, że załamanie pogody, które nastąpiło, zupełnie uniemożliwi im wyjście w góry. Musi przecież spaść wiele świeżego śniegu. Aby mieli szansę wejścia na jakikolwiek szczyt, potrzebują co najmniej sześciu dni pogody. Licząc, że dwa dni potrzebne im są na dojście z bagażem do miejsca, gdzie na 26 września umówili się z tragarzami, i dzień na likwidację bazy, pakowanie itp., ponadto dzisiejszy dzień odpada z powodu złej pogody, to wystarczy by padało jeszcze jutro, aby nie mieli już po co wychodzić z bazy. Oczywiście, mogą jeszcze przedłużyć pobyt, ale na to już nic nie poradzę.

Schodząc, zostawiamy poręczówki, z myślą głównie o Barbarze."

I dalej:

„17 września. Pakujemy się i odpoczywamy czekając na tragarzy. Pada deszcz.

18 września. Staje się jasne, że skoro tragarze nie przyszli wczoraj, a dziś mieliśmy już wyjść z karawaną, to znaczy, że nie przyjdą. Z żywności zostało nam zaledwie kilka konserw. Decyduję, że w bazie zostaną Szłapacki i Gorgoń, a my zejdziemy do Lai i przyślemy tragarzy z następną porcją żywności, którą mamy w Lai (też nie jest tego za wiele). Zabieramy na drogę tylko jedną, ale dużą konserwę, a resztę pozostawiamy Szłapackiemu i Gorgoniowi, by mogli jakoś przetrwać kilka dni oczekiwania. Od rana cały czas leje. Pocieszam się, że dotychczasowy grad uniemożliwił już całkowicie Jankowi i Jackowi wyjście w góry. Mają już za mało czasu i napadało tyle świeżego śniegu, że myśl o wspinaczce nie ma sensu, więc nie już im się nie stanie. Nie wziąłem wtedy pod uwagę ambicjonalnego podtekstu sytuacji. Oni nie mogli przejść do porządku nad faktem, że my „turyści", których oni odrzucili jako zbędny balast, zdobyliśmy cztery szczyty, a oni – żadnego. Ich ambicja takiej klęski nie mogła znieść.

Około południa, w ulewnym deszczu, wyruszamy w dół. Dochodzimy do końca doliny i tam nocujemy."

.....

Wówczas nie rozumiałem, dlaczego tragarze nie przyszli. Pojąłem to dopiero, gdy lepiej poznałem Indie. A przyczyna była bardzo prosta. Ja im tłumaczyłem, używając mieszaniny słów z farsy i kaszmiri, że mają przyjść szesnastego września, a oni w ogóle nie znali kalendarza i nie wiedzieli, ani co to wrzesień, ani co to szesnasty.



Widok na dolny lodowiec znad progów. Na jego końcu maleńki żółty punkt. To namiot baza, w którym Barbara czekała na powrót Janka i Jacka. Fot. Krzysztof Łoziński



Silnie powiększony fragment powyższego zdjęcia z żółtym punktem, namiotem Basi, pośrodku. Moim zdaniem te dwa zdjęcia pokazują ogrom tych gór: A to dopiero „regle”. Fot. Krzysztof Łoziński

Znów uciążliwy marsz doliną, tym razem w dół. W dodatku pada deszcz, co nie ułatwia zadania. Skały są śliskie, a na gałązkach gęstej roślinności pojawiła się stała przyjemność tropikalnego lasu: dżugi, czyli małe, wszędobylskie pijawki. Nie sposób się od nich opędzić, bo są wszędzie. Dżuga przysysa się do ciała całkowicie bezboleśnie i można tego w ogóle nie zauważyć. Wydziela jakąś substancję, która z jednej strony znieczula, a z drugiej powoduje, że krew nie krzepnie. Gdy dżuga już się odczepi, z wytworzonej przez nią ranki dalej cieknie krew. Po pewnym czasie marszu przez tropikalny las w deszczu, człowiek jest cały pokrwawiony jak rzeźnik. Dżugi nie są szkodliwe, nie przenoszą chorób, ale są za to wyjątkowo paskudne. Znajduje się je w butach, pod bielizną, pod pachami.

Dochodzimy do końca doliny. Po drodze w paru miejscach przecinamy pasy stromych płyt, po których w tej chwili leci woda. Na trawersie jednego z nich Staszek obsuwa się i zaczyna spadać. Łapie się cherlawego krzaczka kilka metrów niżej i zawisa. Ma sporo szczęścia, bo pod nim jest sto metrów luzu do Kijajowej Wody, a ten krzaczek to dosłownie byle badyl. Aż cud, że wytrzymał. Biwakujemy w lesie w ciągłym deszczu. Biwakujemy na głodno. Naszą jedyną konserwę zostawiamy na później. Przed nami kawał drogi.

„19 września. Rozpoczynamy 1900-metrowe podejście na grań między doliną Kijai a doliną Sung Lai. Po drodze kilkakrotnie bładzimy. Józek zaczyna słabnąć z powodu braku wystarczającej ilości pożywienia. Biorę część ładunku z jego plecaka. Przy Biwaku z Tarantulami zjadamy naszą ostatnią konserwę. Dalej musimy już iść bez jedzenia, aż do Lai. Przed wyjściem na grań trzy godziny błędzenia, mimo że ja przechodzę tędy czwarty raz. Zaczyna słabnąć Staszek. Na wieczór schodzimy do doliny Sung Lai. Jest to bliżej niż spodziewaliśmy się dojść. Cały dzień pada. Przykry, głodny biwak w Sung Lai.



Na trawersach drugiej grani. Zdjęcie z karawany podczas dojścia do bazy. Józef Mąkinia, Wiktor Szlapacki (odwrócony) i tragarz. Fot. Krzysztof Łoziński

Tyle sprawozdanie. Było jeszcze błędzenie w poszukiwaniu początku podejścia. Gdybyśmy nie trafili we właściwy zachód, moglibyśmy się wpakować w jakieś ogromne skalne ściany, których tu nie brak. 1900 metrów podejścia, a właściwie łatwej wspinaczki na żywca i na głodno, to też nie w kij dmuchał. Słabli nie tylko Józek i Staszek.

Słabli wszyscy. To, że pierwszy osłabł Józek, góral z Żywca, człowiek żyła, z gatunku, co to kamieniem nie dobijesz, było dla mnie zaskoczeniem. Ale na głód nie ma mocnych.

Dużo poważniejsze błędzenie miało miejsce na końcu trawersów w kierunku doliny Sung Lai. Przez dobre trzy godziny nie mogliśmy znaleźć początku zachodu, którym się do niej schodzi. Ciągłe różne błędne zachodziki wyprowadzały nas na krawędź ogromnej strefy przewieszanej. Gdy byliśmy już bliscy zwątpienia, wpadłem na pomysł, że po prostu jesteśmy za nisko. I to było właściwe rozwiązanie. Wspiąłem się wprost w górę czwórkowym kominkiem i od razu zauważyłem, że jestem tu, gdzie trzeba. Zwróćcie uwagę: w tym „turystycznym terenie” trudności wspinaczkowe IV.

W Sung Lai rosły orzechy włoskie, ale były jeszcze niedojrzałe. Z głodu próbowaliśmy je jeść i wszyscy poparzyliśmy sobie wargi ich sokiem. Wcześniej zjedliśmy nasz ostatni prowiant: kilkanaście tabletek witaminy C w cukrowej polewie. Potraktowaliśmy ją jak cukierki.

Następnego dnia rano, w powolnym tempie i w ulewnym deszczu, pokonujemy ogromne podejście na następną grań. Wszyscy już są bardzo słabi z głodu i potężnego wysiłku. Ja trzymam się z całego towarzystwa jeszcze najlepiej, co nie znaczy, że dobrze. Mój plecak staje się coraz cięższy, bo biorę od nich część rzeczy.

Po południu wychodzimy na ostatnią grań. Pogoda się nieco poprawia i wraca optymizm. Widać już Lai i wiemy, że dojdziemy, choć nogi mamy już wszyscy jak z waty. Od doliny Kijaj zrobiliśmy na głodno najpierw 1900 metrów podejścia, potem 1200 metrów zejścia i w końcu 800 metrów kolejnego podejścia. Teraz jeszcze kilometr w dół i koniec. To tak, jakby przelecieć się trzy razy z Morskiego Oka na Rysy i z powrotem na gładniaka. Proszę mi pokazać takiego, co nie osłabnie.

Chmury nieco się rozwiały i widać góry. Szczyty w otoczeniu doliny Bela pokryte są grubą warstwą świeżego śniegu. Nękani przelotnymi deszczami szybko schodzimy do Lai. Natychmiast przystępuję do umawiania tragarzy, którzy pójdą po Kubę i Szłapę.

Kuba, prowadzący dziennik, zanotował przebieg pogody tego dnia (20 września) w dolinie Kijai:

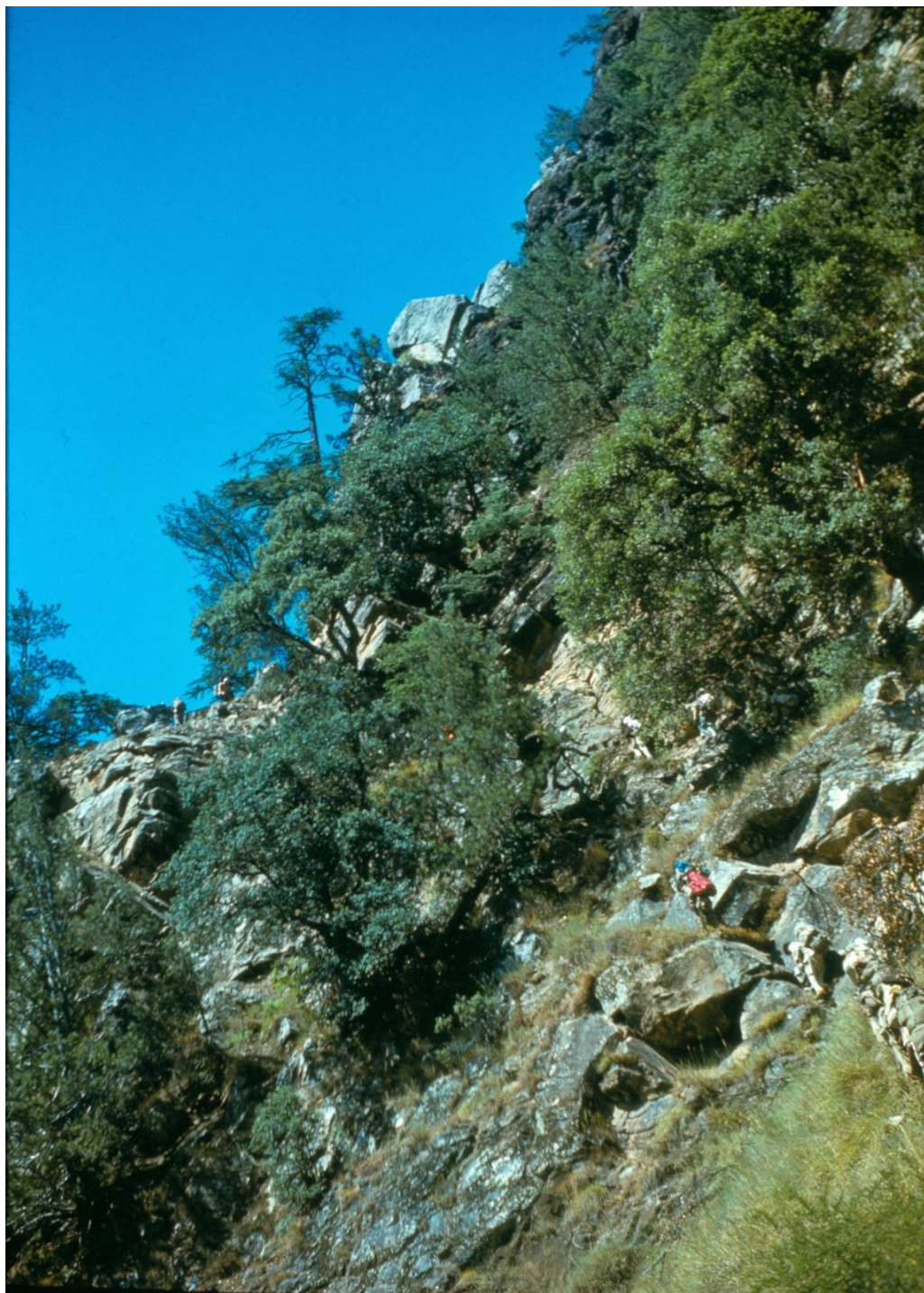
„– rano intensywny ciągły opad do godziny 11.30,

– godzina 13 – ponowny lekki opad,

– godzina 15.10 – opad intensywny do godziny 19.

Później pogoda dobra przez co najmniej tydzień (tyle czasu byliśmy jeszcze w niewielkiej odległości od gór i mogliśmy je widzieć). Śnieg, który spadł, już nie topniał."

Według relacji Basi właśnie tego dnia Janek i Jacek po raz ostatni wyszli w góry, by nigdy już z nich nie powrócić.



Nasza karawana podczas dojścia do bazy na podejściu do pierwszej grani. Fot. Krzysztof Łoziński

Nie wiedzieliśmy wówczas, co dzieje się z trójką, która pozostała w dolinie Kijai. Byliśmy raczej przekonani, że opady śniegu definitywnie zakończyły ich wycieczkę, że nie pozostało im nic innego, niż zwijać interes i wracać. O tragedii i jej przebiegu dowiedzieliśmy się dużo później.

21 września wczesnie rano piątka tragarzy wyszła po Kubę i Szłapę. Zabrali dla nich papierosy i jedzenie. Górale z Lai tak przejęli się naszą opowieścią, że chłopcy nie mają co jeść, że pokonali trasę do doliny Kijai w zawrotnym tempie.

23 września wracają tragarze z Kubą i Szłapą. Umawiamy karawanę mułów na drogę powrotną. Dopilnowuję, by tragarze umówieni z grupą Janka na 26 września po nich wyszli. Wychodzi pięciu tragarzy.

.....

Wracamy do Polski. 8 października lądujemy w Warszawie. Jesteśmy w świetnych nastrojach. Nic jeszcze nie wiemy o wypadku. Tego samego dnia, 8 października, myśliwi z Lai znaleźli przypadkiem kompletnie wyczerpaną i załamaną Barbarę w dolinie Sung Lai, ratując jej życie.

Ale my o tym nie wiemy. Barbarę zaprowadzili do większej wsi Atholi, skąd posłaniec zawiadomił policję w Kisthwar. Tam był najbliższy telefon, ale policja w Kisthwar kompletnie zlekceważyła sprawę i informacji o wypadku nigdzie nie przekazano.

Ósmego października, dosłownie pięć minut po wejściu do domu dostaję telefon od ojca Barbary, który wyjechał po nią na lotnisko i oczywiście jej tam nie zastał. Ojciec Basi został zawiadomiony o przylocie wyprawy przez moją żonę, która nie miała pojęcia, że nie wracamy w komplecie, i w dobrej wierze do niego zadzwoniła.

Mówię mu o odłączeniu się trójki i o tym, że wrócą zapewne później, bo deklarowali zamiar pozwiedzania Indii. Pyta, czy nie warto by sprawdzić, czy są już w Delhi. Uważam, że sprawdzić nie zawadzi, ale jeśli jeszcze ich nie ma, to może znaczyć, że spokojnie zwiedzają Indie. Podaję numer telefonu i teleksu do ambasady w Delhi.

11, 12 i 13 października ciągle nie ma ich w Delhi. To już zaczyna być trochę za długo, choć ciągle nie wiadomo, czy nie opalają się na Goa, albo nie zwiedzają Benares. Postanawiam działać, mimo że mam wątpliwości, czy nie robię alarmu niepotrzebnie. Zawiadamiam, na razie ustnie, MSZ i PZA. Następnie zawiadamiam rodziców Jacka Szczepańskiego, a ojciec Basi zawiadamia rodziców Janka. Do tej pory nie chcieliśmy ich bez powodu denerwować. Teraz też nie wiemy, czy alarm nie jest bezpodstawny, ale uznajemy, że lepiej zrobić alarm niepotrzebny, niż nie zrobić potrzebnego.

MSZ nie widzi powodu, by cokolwiek robić.

Rozmowa w PZA była dziwna. Dlaczego w ogóle zawiadamiałem PZA? Dziś bym tego nie zrobił, ale wówczas uważałem, że ta organizacja w jakiś sposób reprezentuje środowisko i że mogę liczyć na jej pomoc w ratowaniu kolegów. Naszych wspólnych kolegów. Jedynym rezultatem tej rozmowy było wydanie przez PZA oświadczenia, że „wyprawa nie była zatwierdzona przez PZA”. Zarząd PZA myślał więc tylko o

ratowaniu własnej skóry i wytworzeniu dupokrytki w postaci tego oświadczenia. Wyprawa nie była zatwierdzona przez PZA, bo PZA jej nie organizował i nie miał nawet możliwości jej „zatwierdzać”, nawet gdyby chciał. Była zatwierdzona przez KTG PTTK, czyli organizatora, i była całkowicie legalna. Można również organizować wyprawy prywatne i wtedy nikt nie musi ich zatwierdzać.

PZA nie musiał też w ogóle zajmować w tej sprawie żadnego stanowiska. Było to obrzydliwe odcięcie się od kolegów, którzy być może gwałtownie potrzebowali pomocy w górach (wówczas nie wiedzieliśmy przecież, co naprawdę się stało).

15 października, po dwóch dniach bezskutecznych prób namówienia kogokolwiek do ruszenia tyłka i podjęcia jakiegoś działania, składam w MSZ powiadomienie na piśmie o zaginięciu trzech osób w Indiach. Mam nadzieję, że wobec pisemnego dokumentu urzędnicze ichmoście nie będą mogły dalej udawać, że nic nie wiedzą i stosować taktyki uników.

Zadziało. Ale zadziało na zasadzie, której się nie spodziewałem. Ruch w pokojach wywołało nie tyle moje zawiadomienie, co zawarte w nim nazwisko Szczepański. Jedną z czołowych postaci komunistycznej elity był wtedy wszechwładny szef Radiokomiteu Maciej Szczepański. Nie wiem do dziś, czy Maciej Szczepański jest w jakikolwiek sposób spokrewniony z Jackiem Szczepańskim i nie mam ochoty tej okoliczności dociekać. Wiem natomiast na pewno, że nie podejmował on w tej sprawie żadnej interwencji. Urzędniczą panikę i nadgorliwość spowodowała sama myśl, że ewentualnie mógłby.

Już następnego dnia ambasada zwraca się o pomoc do rządu Indii. Hindusi wysyłają wojskowy helikopter do Atholi (większej wsi w okolicy doliny Kijai), który zastaje tam Baśkę. Tylko Baśkę. Informacja, jaką dostaję z MSZ, jest niezwykle lakoniczna, ale i tak wiem, co to znaczy: „Helikopter armii indyjskiej odnalazł Barbarę Oficjałską w miejscowości Atholi. Poszukiwania Jana Oficjałskiego i Jacka Szczepańskiego trwają bez rezultatu.”

Komunikat mówi o poszukiwaniach, ale dla każdego, kto choć trochę zna góry, jest jasne, że szanse, by żyli, są znikome. Alpiniści nie gubią się w górach, jeśli żyją. Dziś wiem, że informacja uzyskana z ambasady zawierała nieprawdę, bo żadne poszukiwania nie trwały. Minęło 8 dni od odnalezienia Basi i 28 dni od wyjścia Janka i Jacka w góry i nic się nie działo.

Dzwonię do pana Szczepańskiego, ojca Jacka. Powtarzam dosłownie treść komunikatu. Pan Szczepański stara się rozmawiać ze mną spokojnie, choć wiem, że musi go to sporo kosztować. W tle słyszę narastający potworny krzyk matki Jacka. Musiała słuchać przez drugą słuchawkę. Teraz i ja z trudem zachowuję spokój. Ten krzyk będę pamiętał do końca życia. Nikomu nie życzę zawiadamiania rodziców o śmierci ich dzieci.

Wieczorem dowiadujemy się nieco więcej z komunikatu PAP. Chłopcy wyszli w góry 20 września i nie powrócili. Barbara została odnaleziona po 18 dniach przez miejscowych myśliwych i dotarła do Atholi, gdzie znalazł ją helikopter. Dla mnie

wszystko jest już tragicznie jasne. Wyszli w góry 28 dni temu. Nie ma żadnych szans, by żyli.



Pierwsza prasowa informacja o wypadku. „Życie Warszawy” 17 października 1979

Rodzice Jacka nie chcą się pogodzić z tą nieubłaganą logiką. Za wszelką cenę chcą ratować syna. Rodzice Janka przyjmują fakty do wiadomości. Nie chcą się z nikim widzieć, o niczym rozmawiać. Proszą, by zostawić ich w spokoju z tą tragedią.

Przez kilka następnych dni, razem z panem Szczepańskim, gorączkowo staramy się pomóc w poszukiwaniach, które zorganizowała ambasada. W tamtym czasie łączność z Delhi nie była taka łatwa jak obecnie. Nawet zwykły telefon był problemem. Mimo to udało mi się z Wojskowej Agencji Fotograficznej przesłać faksem zdjęcia otoczenia doliny i narysowaną naprędce mapkę.

Dowiadujemy się, że ambasada wysłała do doliny Kijai trzech ludzi, którzy przypadkowo w tym czasie byli w Delhi: grotolaza Chrystiana Parmę i turystów górskich Marka Kaniewskiego i Stanisława Rudzińskiego. W pełni rozumiem szlachetne intencje kolegów, ale mam wrażenie, że rozpoczęto akcję ratunkową od powtarzania błędów ofiar wypadku.

Znowu w dolinie jest trzech ludzi, i to stanowiących zespół jeszcze słabszy, pod względem umiejętności alpinistycznych, niż poszukiwani. Janek i Jacek, mimo wszystkich błędów jakie popełnili, byli jednak całkiem niezłymi wspinaczami. W tej trójce umiejętności alpinistyczne, na w miarę przyzwoitym poziomie, ma tylko Parma, zaś pozostali głównie dobre chęci. Trzy osoby, bez specjalistycznego sprzętu i bez środków łączności, praktycznie nie mogą udzielić żadnej pomocy rannym. Nie są też w stanie przetransportować rannych, a nawet tylko jednego rannego, w rejon łatwiej dostępny.

W całej tej sprawie splotały się motywacje, z jednej strony ludzi władzy, którzy musieli się wykazać, że coś robią, a z drugiej strony ludzi, którym etyka taternicka nie pozwalała odmówić spieszenia na pomoc kolegom, niezależnie od tego, co o celowości akcji myśleli. Pytano mnie później wielokrotnie, dlaczego nie odmówiłem udziału w akcji organizowanej przez ambasadę i MSZ. Przecież nie mogłem. Wyobraźmy sobie, co by było, gdybym odmówił: był kierownikiem wyprawy, od której się odłączyli, a kiedy ulegli wypadkowi, odmówił pójścia na pomoc! Zrobiono by ze mnie niemal mordercę.

Zresztą próbowano. Tuż przed moim wyjazdem do Indii na akcję ratunkową zadzwonił do mnie niejaki Włodzimierz Krzyżanowski ze „Sztandaru Młodych” i koniecznie chciał zrobić ze mną wywiad na temat wypadku (ściślej, zadzwonił do PZA, gdzie przypadkowo mnie zastał). Odmówiłem mu i myślałem, że na tym koniec. Tymczasem tenże pan, nie mogąc uzyskać ode mnie wywiadu, opublikował wywiad zmyślony. Do tego dołączył wypowiedź kogoś z zarządu PZA, o tym, że „wyprawa nie była zatwierdzona przez PZA”, oczywiście przemilczając, iż była zatwierdzona przez KTG, a PZA nie miało tu nic do rzeczy, a na koniec dodał wypowiedź jednego z nestorów GOPR-u cytującego Wawrzyńca Żuławskiego: „przyjaciela nie zostawia się nawet, gdy jest bryłą lodu”. Tenże nestor GOPR, Józef Krzeptowski, swoją drogą bardzo porządny człowiek, kompletnie nie wiedział, o co chodzi i był już starszym panem na emeryturze. Skoro dziennikarz zapytał go, czy można porzucić w górach przyjaciela, to odpowiedział, że nie można. I słusznie. Ja też bym tak odpowiedział. Zresztą sugestia, że ja i koledzy „porzuciliśmy” grupę Janka, była zwykłym kłamstwem i padła w momencie, gdy brałem już udział w organizowaniu akcji ratunkowej. Gwoli prawdy, to przecież zrobiłem wszystko, co mogłem, najpierw by zapobiec wypadkowi, a później, by ich ratować, choć w szansę ratunku nie wierzyłem.

Oczywiście Włodzimierz Krzyżanowski sam na to nie wpadł. Nad tym już pracowały łepki w MSW i wymyśliły, że potrzebna jest publikacja, w której polityczny dysydent organizuje „nielegalną” wyprawę, po czym porzuca w górach przyjaciół na pewną śmierć. Oczywiście redakcja poinformowała czytelników, że trwa akcja ratunkowa („na koszt państwa!”), ale zapomniała poinformować, że biorę w niej udział. Jednym słowem zimny drań, „marcowy komandos” (1968), zwolennik KOR-u, porzuca bez litości, „władza ludowa” na własny koszt ratuje, PZA się odcina, a GOPR potępia.

Prowadzę w MSZ dość jałowe rozmowy i tłumaczę, że szanse znalezienia chłopców żywych są bliskie zera, a może i żadne. Że jeśli już ktoś koniecznie musi robić akcję ratunkową, to niech ona ma chociaż ręce i nogi. W Indiach i w Nepalu jest cała masa wracających wypraw, a więc są alpinisci z prawdziwego zdarzenia, co znają się na rzeczy. Taką akcją powinien kierować alpinista z autorytetem. Takiej akcji trzeba zapewnić odpowiedni sprzęt i łączność... Spotykam się nawet z ministrem i przedstawiam cały referat, co jest potrzebne, a co nie. Przedstawiam też swoją opinię, że zaginionych nie można uratować, bo akcja ratunkowa może do nich dotrzeć najwcześniej w 44 dni, odkąd wyszli w góry. Trzeba więc rozważyć celowość narażania innych ludzi. W odpowiedzi dowiaduję się, że do Indii zostanie wysłany ratownik GOPR Marian Cieślewicz z psem lawinowym. Mam wrażenie, że biorę udział w jakimś tragicznym teatrze absurdu.

Pan Szczepański prosi mnie, bym wziął udział w akcji. Odmówić nie mogę, ale zastrzegam, że nie widzę szans powodzenia. Mówię wyraźnie: moim zdaniem chłopcy nie żyją. Gdyby choć jeden z nich żył, dawno by dotarł do ludzi.

– Znam te argumenty – mówi pan Szczepański – ale nie zaznałbym spokoju do końca życia, gdybym nie zrobił wszystkiego dla ratowania syna.

Krzysztof Łozinski
Warszawa 20.3

MS.Z.

Oświadczenie

Oświadczam, że przystępuję do akcji ratunkowej
w Himalajach. Kierownik jako osoba prywatna
spełniając na prośbę rodzin zaginionych humanitarny
obowiązek ratownika. Moje przystąpienie do akcji
ma charakter zbrojny, bliżej proszę, weteranów
od: woli rodzin zaginionych; decyzji przedstawicieli
rządu PRL w Indiach (Ambasady), bliżej księgi
akcji, ratunkowej; świadków jakże zapewniam Ambasade
PRL i ambasady Indii dla prowadzenia akcji;
ocenę warunków panujących w górach pod względem
bezpieczeństwa grupy ratowniczej i szans na odnalezienie
nie zaginionych; dotychczasowych wyników akcji.
Moje przystąpienie do akcji jest spełnieniem prośby
rodzin zaginionych a nie wyrazem samej mojej
oceny szans odnalezienia poranników.

Moje oświadczenie dla MSZ napisane w biurze ministerstwa. Prosiłem o udostępnienie maszyny do pisania, ale stwierdzili, że ich maszyny są „tajne”. Dostałem tylko kartkę i flamaster

Nagle, wszystko co w PRL-u zawsze było niemożliwe, stało się możliwe. W ciągu zaledwie czterech godzin dostaję nowy paszport, mam załatwioną wizę, kupiony bilet lotniczy i siedzę w samolocie. Zamiast Mariana Cieśliewicza, leci ze mną Franek Spytek z psem Bućkiem.

Franek też uczciwie przedstawia panu Szczepańskiemu i urzędnikom z MSZ, co myśli o celowości tej akcji, a myśli mniej więcej to samo, co ja. Jednak jest ratownikiem GOPR i składał przysięgę, że nigdy nie odmówi niesienia pomocy w górach.

Obaj uważamy, że absurdem jest ciągnięcie w Himalaje psa. Pies może znaleźć człowieka zasypanego lub zaginionego, ale musi mieć jakiś określony kierunek szukania. W tym przypadku nic nie wskazuje na to, że chłopcy zginęli akurat w lawinie. Poza tym pies, tak jak człowiek, potrzebuje aklimatyzacji. Nie można go, ot tak, wysadzić z helikoptera na czterech tysiącach, jeśli dotąd nie przekraczał w swoim życiu wysokości rzędu dwóch tysięcy. W tym przypadku, pies mógłby szukać ludzi najwyżej w dolnych partiach doliny, a jest wyjątkowo mało prawdopodobne, by zaginęli właśnie tam. Decyzję o wysłaniu na akcję psa podjął ktoś w MSZ, a MSZ uważa swoje decyzje za niepodważalne i poza dyskusją. Obaj z Frankiem wiemy, że najwyższa pora, by kierowanie akcją przejął ktoś znający się na rzeczy. Inaczej MSZ za chwilę wyśle na nią pletwonurków, różdkarzy, łódź podwodną albo szybowiec.

W Delhi na lotnisku, jeszcze w strefie tranzytowej, czeka na nas polski konsul, pan Jan Wawrowski. Wychodzimy przejściem dla VIP-ów, praktycznie bez żadnej odprawy. Całe szczęście, bo przy normalnej odprawie mogłoby komuś wpaść do głowy, że pies ma odbyć kwarantannę. Spotykamy się od razu z ambasadorem i dowiadujemy się, że będziemy mieli do dyspozycji wszystko co trzeba, samochody, helikoptery... Na razie zostajemy zakwaterowani w klimatyzowanym apartamencie. Jutro mają przybyć inni uczestnicy akcji, jeszcze nie wiemy kto, oraz ma powrócić grupa poszukiwawcza Parmy.

Następnego dnia przyjeżdżają uczestnicy dwóch wypraw: gdańskiej wyprawy na Daulaghiri i śląskiej wyprawy na Lhotse. Do tego jeszcze parę osób z innych wypraw. Nagle okazuje się, że jest nas cały tłum i wszyscy chcą brać udział w tej akcji. Udajemy się z Frankiem ponownie do ambasadora. Mówię, że taki tłum tu nie jest potrzebny. Wystarczy wybrać kilka naprawdę kompetentnych osób, a przede wszystkim ustanowić kierownika akcji. Proponuję Andrzeja Czoka, alpinistę o wielkim autorytecie, którego nikt nie zakwestionuje, a zarazem człowieka tak zrównoważonego, że pokłócić się z nim może tylko jakiś skrajny furiat. Odbywa się wielkie zebranie, w wyniku którego Andrzej zostaje kierownikiem akcji. Wszyscy też upoważniamy go do wybrania, z tego tłumu, uczestników wyprawy poszukiwawczej.

Andrzej Czok postanawia, że w akcji wezmą udział chłopcy z grupy już działającej w górach (Parma, Kaniewski i Rudziński) oraz Jurek Kukuczka, Tadek Szulc, Franek Spytek, Ania Pietraszek i ja. Daje to razem dziewięć osób. W razie potrzeby mamy w zapleczu sporą grupę naprawdę dobrych alpinistów z obu wypraw, którzy jeszcze przez kilka dni pozostają w Indiach. A jest w Delhi parę prawdziwych gwiazd, jak Wojtek Kurtyka, Walek Fiut, Adam Bilczewski. Ze strony ambasady łącznikiem ma być konsul Jan Wawrowski a ze strony władz Indii pełnomocnik ministra turystyki rządu stanowego w Kaszmirze, pan N.C. Kohli.

Po południu przylatuje z Jammu Barbara. Jest w lepszym stanie niż się można było spodziewać. Przede wszystkim nadspodziewanie dobrze się trzyma psychicznie. A przecież przeżyła prawdziwy koszmar. Dopiero tu, w Delhi poznaję całą historię jej powrotu. Basia mówi, że przeżyła, bo woli walki dodawała jej myśl o zostawionej w kraju córce. Gdyby nie miała dziecka, pewnie wcześniej by się załamała.



Pies lawinowy „Bućko” i ja na terenie ambasady polskiej w Delhi. Fot. Franciszek Spytek



*Grupa Arjuna (6225 m) widziana z obozu II na P-6013. To zdjęcie bezczelnie przerysował „jasnowidz”.
Fot. Krzysztof Łoziński*

Po naszym rozstaniu przez cztery dni panowała fatalna pogoda. Padał śnieg. Później się przejaśniło. 20 września Janek i Jacek wyszli w góry. Powiedzieli Basi, że idą zlikwidować założony na lodowcu składzik, a jeśli poprawi się pogoda, „to może pójdą gdzieś się wspinać”. Zabrali ze sobą żywność na pięć dni i lekki sprzęt biwakowy (płachtę, kurtki puchowe, jedną nogę słonia, karimaty). Basia została sama w bazie. Tylko ona sama mogłaby opowiedzieć, co przeżyła. Ja mogę się tylko domyślać i podjąć próbę rekonstrukcji na podstawie nielicznych znanych mi faktów.

Samotna dziewczyna, z doświadczeniem tylko skałkowym i turystycznym, w ogromnych górach. Chłopcy nie wracają, jeden dzień, drugi, trzeci... Najpierw myśli, że poszli się wspinać, ale z każdym kolejnym dniem narasta niepokój. Basia nie ma w bazie nic do roboty. Ile czasu można sprzątać w namiocie i gotować dla jednej osoby? Z lasu dochodzą porykiwania niedźwiedzi. Ze żlebu Micka Jaggera spadają ciągle kamienne lawiny. Z miejsca, w którym znajduje się baza, widok jest bardzo ograniczony. Górnej partii doliny stąd nie widać. Pewnej nocy jakieś duże zwierzę, prawdopodobnie

niedźwiedź, buszuje po bazie. Zwala namiot, rozwala konserwy. Barbara przerażona leży nieruchomo udając, że jej nie ma. Nawet nie zobaczyła, co to było.



Taki widok musiała zobaczyć Barbara po przejściu drugiego progu. Ściana Arjuna ma blisko dwa kilometry wysokości. Fot. Krzysztof Łoziński

Mijają kolejne dni. Nic się nie dzieje, a jej niepokój narasta. Po ośmiu dniach postanawia działać. 29 września wyrusza na poszukiwanie chłopców. Przechodzi progi na lodowcu po poręczówkach. Pierwszy to nie problem. Pionowy odcinek jest tu krótki. Gorzej z drugim progiem. Barbara nie wie, że można go obejść, tak jak my to robiliśmy. Długi odcinek poręczówki na drugim progu wisi w powietrzu. Basia nigdy przedtem nie podchodziła po linie na jumarach. Obracała się w środowisku alpinistów, jeździła z nami w skałki, więc widziała, jak inni to robią, ale widzieć, a zrobić samemu, to nie to samo. Coś tam prawdopodobnie źle zawiązała, bo w pewnym momencie odcepił jej się pierśsiowy jumar i zawisła tylko na nożnym. Niejeden wspinacz by w tej sytuacji zgłupiał. Basia była jednak tak zdeterminowana, że dała sobie radę.

Wchodzi na górny lodowiec i po raz pierwszy widzi właściwe góry. Nie wie nawet, która góra jest która. Może zidentyfikować tylko Arjunę i Brammah II, bo to najwyższe szczyty w okolicy. Zapada wieczór. Góry są przeraźliwie puste. Nikt nie odpowiada na wołanie, po zmroku nie widać żadnego światelka. Martwa cisza.

Następnego dnia rano dochodzi do bariery seraków przecinającej cały lodowiec. Znajduje składzik sprzętu zostawiony przez chłopców. To niemal cud, że go znalazła.

Lodowiec jest ogromny, ma ponad kilometr szerokości, a ona przecież nie miała żadnego opisu, gdzie się ten składzik znajduje. W składziku są trzy konserwy, torebka pierników, kilka torebek zup w proszku, spodnie przeciwwiatrowe i haki lodowe. A więc chłopcy wzięli sprzęt do wspinaczki, która musiała być niezbyt długa (zostawili część żywności). Mogli mieć ze sobą żywność najwyżej na 2-3 dni (wyjściowo mieli na pięć, a część zostawili). Zabrali tylko haki skalne, poszli więc na skalną wspinaczkę. Jest 30 września, dziesięć dni od ich wyjścia w góry.

Analizując te fakty po latach, uważam, że już wtedy sytuacja była tragicznie jasna. Janek i Jacek, mając ze sobą żywność na najwyżej trzy dni i bardzo lekki sprzęt biwakowy, przez dziesięć dni nie zeszli na lodowiec. W końcu września temperatury na wysokości pięciu tysięcy metrów kształtują się na poziomie od -30 do -40 stopni Celsjusza. Gdy lecieliśmy z Frankiem do Delhi, czyli w drugiej połowie października, poprosiłem pilota, za pośrednictwem stewardessy, by zwrócił uwagę, przy schodzeniu do lądowania, jaka jest temperatura na pięciu tysiącach. Otrzymałem odpowiedź: -50 stopni.

Kompletną zagadką pozostaje, gdzie oni poszli, ale gdzie by nie poszli, to gdyby żyli, albo gdyby choć jeden z nich żył, to dawno by dotarł na lodowiec, a nawet do bazy. Jest zupełnie niemożliwe, aby człowiek ranny, bez jedzenia, przetrwał około tygodnia, w dodatku przy tak niskich temperaturach. Zdrowy mógłby przetrwać nawet dłużej, ale zdrowy by dawno zszedł na dół. Do dziś nie wiadomo, co się stało, ale najbardziej prawdopodobne jest to, że obaj spadli w czasie wspinaczki skalnej.

Basia zostawiła w składziku list do chłopców, w którym napisała, że idzie po pomoc, i zaczęła zejście. Na progach znów przeżyła ciężkie chwile. Pierwszy raz w życiu musiała zjechać na linie. Oczywiście teoretycznie wiedziała jak to się robi, ale każdy słuchacz kursu dla początkujących też teoretycznie wie, a mimo to instruktor musi wszystko mu sprawdzić i wręcz wsadzić go w zjazd. Barbarze nie miał kto pomóc. Sama musiała przełamać strach przed wysokością, przed powierzeniem życia linie cienkiej jak ołówek. Aż trudno sobie wyobrazić, jaką próbę dzielności i odwagi musiała przeżyć Barbara. Sama w ogromnych, pustych, mroźnych górach, bardzo daleko od najbliższych ludzi, ze świadomością, że jej mąż niemal na pewno nie żyje.

Dochodząc do bazy przez chwilę miała jeszcze nadzieję, że może się minęli. Może ona poszła do góry, a w tym czasie chłopcy zeszli do bazy. Ale nie, koniec złudzeń. W bazie nie ma żadnych śladów czyjejkolwiek obecności. Każdy przedmiot leży tam, gdzie go zostawiła. Drugiego października zaczyna zejście doliną. Minęło dwanaście dni od ich wyjścia.

Zejście doliną nie jest proste. Do rejonu naszej bazy i mostu są pewne trudności terenowe, ale Barbara przechodziła ten odcinek kilka razy, więc przynajmniej nie błądzi. Dalej jednak zaczynają się problemy. Na odcinku „pionowej ziemi” w pobliżu mostu i na moście nie ma poręczówek. Tragarze, którzy byli z nimi umówieni w tym miejscu, zwinęli liny. Trudno się tym kaszmirskim góralom dziwić. W umówionym miejscu nikogo nie zastali. Nie wiedzieli, że dalej, jeden dzień drogi w górę doliny, Barbara siedzi samotnie w swojej bazie i wyczekuje powrotu chłopców.



Próbka terenu, z jakim musiała się zmierzyć Barbara schodząc samotnie dolinę

Barbara musiała zejść na żywca przez „pionową ziemię”. Pamiętam jaką trudną i delikatną wspinaczkę musiałem odbyć, by ten odcinek zaporęczować. Basia nie miała wyboru. Zaczęła schodzić... i spadła. Spadła około 8-10 metrów i mocno zraniła się w

nogę. Jakiś ostry kamień przeciął jej na głęboko udo na przestrzeni kilkunastu centymetrów. To już była sytuacja naprawdę groźna. Barbara miała przed sobą do pokonania wiele kilometrów bardzo skomplikowanego i trudnego terenu. Nawet gdyby nie błdziła, minimum trzy dni drogi. Tak duża rana nie tylko utrudniała marsz, ale i groziła infekcją, a to byłby już koniec. Gdyby Basia przemierzała drogę powrotną w grupie ludzi, to też by jej nic nie groziło, ale samotna dziewczyna, ranna, w trudnym terenie, w lesie pełnym niedźwiedzi, tygrysów i panter... I zapach krwi...

Barbara zachowała się bardzo rozsądnie. Zagotowała wodę, przemyła ranę, zrobiła sobie najlepszy opatrunek, jaki mogła. Niestety rana na pewno nie ułatwiała jej marszu, a zapach krwi mógł zwabić drapieżniki. Doszła do wylotu doliny i zaczęło się błędzenie na wyjściowych graniach. My też w tym rejonie bładziliśmy, ale nas było czterech silnych i zdrowych chłopów. W dodatku ja szedłem tą drogą czwarty raz. Basia przeszła ten szlak tylko raz i to w przeciwnym kierunku. Była od nas słabsza fizycznie, w dodatku ranna i więcej błdziła. Dotarła do dna doliny Sung Lai i tam utknęła na dobre. Nie mogła znaleźć wyjścia na drugą grań. Miała już z tego miejsca tylko pół dnia drogi do Lai, ale całkowicie zabłądziła. Ósmego października, sześć dni po wyjściu z bazy, została znaleziona przez myśliwych z Lai, którzy natknęli się na nią zupełnie przypadkiem. To był niemal cud.

W Delhi Basia powiedziała mi, że była już zupełnie załamana i „czekała aż umrze”. Myśliwi z Lai zapuszczają się w ten rejon szalenie rzadko, najwyżej raz do roku. Basia miała w tym przypadku wręcz nieprawdopodobne szczęście. Trudno się dziwić, że była załamana. Walczyła samotnie o życie już od osiemnastu dni. Najpierw o życie chłopców, potem już tylko o swoje. Utknęła w Sung Lai, w tym kanionie, w tej skalnej dziurze, gdzie nawet nie dochodzi słońce. Człowiek czuje się w tym miejscu jak pies na dnie studni.

Wylot doliny Sung Lai, w której utknęła Barbara nie mogąc znaleźć dalszej drogi, widziany z drugiego brzegu rzeki Chenab (ogromna rzeka niosąca prawie połowę wód Indusu – jej przekroczenie wpław jest niemożliwe). W tej dolinie znaleźli ją myśliwi z Lai.

Myśliwi prowadzą Basię do Lai i dalej do Atholi. To jest trochę większa wieś, siedziba jakiegoś lokalnego wójta, niedaleko od Lai. Barbara zostaje nakarmiona i ogólnie zaopiekowana. W Atholi nie ma telefonu. Posłaniec zawiadamia policję w Kisthwar, ta jednak, z niewiadomych powodów, nie przekazuje informacji dalej. Swoją drogą, to czy policja w Kisthwar w ogóle wiedziała, że trzeba zawiadomić ambasadę? Wieśniacy z Lai i Atholi samorzutnie organizują poszukiwanie chłopców. Do doliny udaje się kilka patroli złożonych z myśliwych dobrze znających teren. Nie znajdują niczego. Barbara czeka w Atholi na pomoc, nie spodziewając się, że o wypadku ciągle nikt nie wie. Dopiero po kolejnych ośmiu dniach przylatuje helikopter wysłany na skutek mojej interwencji. Piloci samorzutnie wykonują lot patrolowy nad doliną. Nie znajdują żadnych śladów zaginionych.



*Wylot doliny Sung Lai, w której utknęła Barbara nie mogąc znaleźć dalszej drogi, widziany z drugiego brzegu rzeki Chenab (ogromna rzeka niosąca prawie połowę wód Indusu – jej przekroczenie wplaw jest niemożliwe). W tej dolinie znaleźli ją myśliwi z Lai. Dla samotnej dziewczyny musi to być miejsce straszne.
Fot. Krzysztof Łoziński*

Minęło 26 dni od wyjścia chłopców w góry, a dopiero zaczyna się akcja poszukiwawcza. Helikopter znalazł Basię 16 października. Już trzy dni później ląduje w Atholi kolejny helikopter z Parmą, Kaniewskim i Rudzińskim wysłanymi przez ambasadę na poszukiwania. Ich akcja trwa siedem dni.

Według pisemnej relacji Chrystiana Parmy: „W wyniku akcji spenetrowany został lodowiec, przepatrzone przez lornetę zbocza doliny wokół głównego lodowca oraz widoczne części bocznych lodowczyków, stwierdzono, iż w magazynku sprzętu i żywności (założonym przez zaginionych), usytuowanym u podnóża bariery seraków, znajdował się zestaw sprzętu i żywności zgodny z opisem podanym przez Barbarę Oficjalską, która była tam ostatni raz 30 września (zostawiając list do zaginionych). Nie znaleziono żadnych śladów bytności zaginionych (stwierdzono warstwę 15 centymetrów świeżego śniegu).

Mur skalny długości 5-7 kilometrów i przewyższeniu do około 2 kilometrów jest bardzo rozczłonkowany, eksponowany, bardzo trudny technicznie, zaś brak śladów i informacji co do zamierzeń zaginionych uniemożliwił poszukującym precyzyjne wytypowanie rejonu poszukiwań.

W wyniku akcji zespół doszedł do wniosku, że poszukiwani nie zeszli z gór na lodowiec, nie dotarli do własnej bazy, ani w głąb doliny Kijai.

Dnia 19 października odbył się 50-minutowy lot patrolowy helikoptera, w którym wzięli udział dwaj piloci, miejscowy przewodnik i Chrystian Parma. Spenetrowano lodowiec z wysokości kilkudziesięciu metrów oraz mur skalny z różnych wysokości (maksymalnie ok. 5800 metrów, a według pilota z około 6300 metrów). Nie znaleziono żadnych śladów zaginionych.

Przed akcją wysłano patrol miejscowych myśliwych (kolejny), którzy weszli w górne piętro doliny, penetrowali otoczenie dolnej części lodowca."

Jedziemy do Jammu. Ja z Frankiem i oczywiście z psem, oraz Ania Pietraszek samochodem z ambasady. Reszta samolotem. 28 października odbywamy w Jammu naradę. Wszyscy zgodnie stwierdzamy, że w takiej sytuacji nie ma żadnego sensu angażowanie w poszukiwania psa.

Pies nie jest w stanie przejść trawersów grani na drodze do doliny. Trzeba by go przenosić (Bućko waży 35 kilo). Trzeba by też wciągać go na linie przez progi (łącznie ok. 300 metrów). W dolinie pies byłby w dużym niebezpieczeństwie ze względu na dzikie zwierzęta. Skąd ma wychowany w Zakopanem Bućko wiedzieć, jak się zachować wobec tarantuli lub kobry?

Franek uważa, że po opadzie świeżego śniegu nie ma szans, by pies znalazł stare ślady sprzed ponad miesiąca, a według relacji Parmy żadnych nowszych śladów nie ma. Zespół Parmy nie znalazł też żadnych śladów lawin, więc pies lawinowy zupełnie nie ma tu pola do popisu.



Barbara Oficjalska w Tatrach. Fot. Krzysztof Łoziński

Prowadzimy rozmowy z pilotami. Twierdzą oni, że nie ma możliwości lądowania helikoptera na górnym lodowcu, a nawet w części doliny poniżej progów. Na wysokości lodowca, która według nas wynosi 4200 metrów, a według pilotów i ich przyrządów 4700 metrów, helikopter musi lądować jak samolot, na płozach, bo nie jest w stanie utrzymać się w zawisie dłużej niż kilkanaście sekund. Na nierównej, poszczelinionej i pokrytej głazami powierzchni lodowca jest to niemożliwe. Rozważamy pomysł desantowania się ze śmigłowca. Kłopot jednak w tym, że te helikoptery nie są przystosowane do ratownictwa. To są maszyny wojskowe. Mają karabiny maszynowe, ale nie mają wciągarki. Przez pół godziny studiujemy z Andrzejem budowę Alouetty, by stwierdzić, że nawet nie da się z niej zjechać na linie, bo nie ma liny do czego przywiązać. Kabinka z pleksi, aluminiowe rurki, plastikowe siedzenia, wszystko w sumie może mocne, ale punktowo wszędzie słabe. Na przywiązanie liny po prostu do silnika piloci nie chcą się zgodzić. Grozi to wpłątaniem liny w rotor.



Janek Oficjalski w Tatrach. Fot. Krzysztof Łoziński



Jacek Szczepański. Fot. Krzysztof Łoziński

Dyskutujemy inny pomysł. A gdyby tak helikopter wolniutko przeleciał kilka metrów nad lodowcem? Andrzej, Jurek i ja gotowi jesteśmy wyskoczyć, ale i tym razem piloci nie zgadzają się. To zbyt ryzykowne. Jeden przypadkowy podmuch wiatru może skończyć się katastrofą. Mówię, że w Alpach, francuscy piloci, na takich samych Alouettach, robią takie rzeczy. „Alpy są o dwa i pół kilometra niższe, tu są Himalaje” replikuje indyjski pilot.

Nasz pomysł krytykują też inni: „Skakanie z kilku metrów na piargi to wariactwo, połamiecie nogi”. „Wszystko co robimy w górach to wariactwo” odpowiada Jurek. Ale pomysł i tak upada wobec oporu pilotów. Cóż nam zostaje? Lądować w Atholi i zasuwąć do doliny na piechotę, czyli tak samo, jak grupa Parmy. Tylko czy to ma w ogóle sens? Jeżeli oni niczego nie znaleźli, to jakie są szanse, że my znajdziemy cokolwiek więcej?

Robimy kolejną naradę. Moja opinia, zapisana w protokole była następująca:

„Druga grupa poszukiwawcza dotarłaby do rejonu, w którym nastąpił wypadek, po 44 dniach od wyjścia zaginionych na wspinaczkę (zaginieni posiadali żywność na 5 dni i niewystarczający sprzęt biwakowy). Rozległość terenu ewentualnych poszukiwań, trudności techniczne i orientacyjne, dają bardzo małe szanse natrafienia na jakikolwiek ślad. Nie ma żadnych szans by poszukiwani żyli do tej pory.”

Opinia Andrzeja Czoka:

„Przypuszczam, że najprawdopodobniej nastąpił wypadek podczas wspinaczki ścianą, w czasie którego poszukiwani ponieśli śmierć i ewentualna dalsza akcja sprowadzałaby się do poszukiwania zwłok.”

Uznajemy, że jest sens przeprowadzenia dodatkowych lotów patrolowych helikoptera, ale nie ma sensu pchania w góry kolejnego zespołu na piechotę.

W czasie zebrania zdarzył się jeszcze pewien incydent. Faksem, z Polski, przysłano nam rysunek wykonany przez sławnego jasnowidza księdza Klimuszkę, do którego zwrócili się o pomoc rodzice Jacka. Wprawiło to nas wszystkich w zakłopotanie. Z jednej strony nikt z nas nie wierzył w jasnowidzów, z drugiej nie mogliśmy tej opinii zignorować. To „jasnowidzenie” było zwykłym beczelnym oszustwem. Ksiądz jasnowidz po prostu przerysował fragment zdjęcia masywu Arjuna i zaznaczył na nim sylwetki zaginionych połączone liną. Rzecz w tym, że ksiądz jasnowidz nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów gór, które widział na zdjęciu. Jedną sylwetkę narysował na szczycie Tarczy Arjuna, a drugą zatknął, jak w szczelinie, w przełęczy między Katedrami (nazwy szczytów nadane przez nas. Te trzy góry oddalone są od siebie o ok. kilometr). Aby to było możliwe, ludzie musieliby mieć po dwieście metrów wzrostu. Do tego dochodził komentarz słowny, że jeden leży w szczelinie, a drugi na wierzchu. Na całe szczęście ksiądz jasnowidz nie twierdził, że chłopcy żyją. Wiele lat później, przez wizję innego jasnowidza, uruchomiono ogromną akcję poszukiwań kilku osób zimą w Tatrach, po czym okazało się, że rzekomi zaginieni spokojnie balangowali na Słowacji, nie wiedząc, że niemal cały TOPR ich szuka po górach. Nasz jasnowidz był przynajmniej na tyle uczciwy, że nie wpuścił nas w podobny kanał.

29 października odbył się ostatni lot patrolowy w ramach akcji. Parę osób latało jeszcze nad tym rejonem później, ale nie miało to już żadnego znaczenia ze względu na czas jaki upłynął od wypadku. W kolejnych latach w dolinie Kijai działało kilka wypraw, w tym dwie polskie. Do dziś nie znaleziono żadnych śladów Janka i Jacka.

Z uczestników akcji w górach pozostali też na zawsze Jurek Kukuczka, Andrzej Czok i Tadek Szulc. Franek Spytek zmarł w Zakopanem we własnym domu.

Ja straciłem pracę trenera, bo spóźniłem się o trzy miesiące z urlopu.

Wracam do Polski i idę oddać paszport. Wówczas nie było paszportu w domu. Trzeba go było oddać po tygodniu. Odbierający paszport SB-ek urządza mi przesłuchanie. Nie interesuje go to, że dwóch polskich obywateli straciło życie. Wypytuje, „czy oni na pewno nie żyją”, a czy czasem „nie uciekli gdzieś przez jakąś granicę”.

Rok później dostaję dziwne pismo z MSZ (podobne dostał Polski Związek Alpinizmu). Jest to żądanie bym pokrył koszty lotów helikopterów w tej akcji, bo Indie wystawiły rachunek. Kwota 80 tys. dolarów! Muszę przyznać, że w pierwszej chwili powaga mnie zdjęła. Ja zarabiałem wówczas w Teatrze Wielkim 2 tys. zł co stanowiło 20 dolarów. Spotkałem się z kolegą adwokatem i tatarnikiem zarazem, Aleksandrem Kiwerskim. Olek natychmiast sprawę obśmiał. Płacić za cokolwiek może tylko ten, kto taką usługę zamawiał.

– Zamawiałeś taką usługę?

– Nie.

– Masz jakiś majątek? Własne mieszkanie, samochód?

– Nie.

– To czego się boisz? Więzienia za długi nie ma, a w dodatku to nie twój dług, tylko ich. To MSZ zarządził tę akcję wbrew opiniom fachowców. No to niech MSZ płaci. A tobie co zajmą? Skarpetki?

Olek zredagował pismo do MSZ dla mnie i PZA, jako kancelaria adwokacka. Zostało bez odpowiedzi. Sprawa zdechła.

Po latach dowiedziałem się, że rachunek indyjski wynosił 8, a nie 80, tysięcy dolarów. MSZ trochę sobie dopisał. Musieli panowie mieć bardzo głodne kieszenie. W tamtym czasie zwykły obywatel nie miał konta w banku. Musiałbym im te pieniądze przynieść w gotówce. A co by z tym zrobili...?

No cóż, ludzie idący na ratunek poświęcają nie tylko swój czas. Nieraz ryzykują nawet życie. Jednak mimo to czasami ktoś próbuje dla jakiś mętnych celów zwać na nich winę za wypadek albo coś przy okazji ugrać.

W akcji ratunkowej w Kaszmirze udział wzięli (alfabetycznie):

- Andrzej Czok
- Marek Kaniewski

- Jerzy Kukuczka
- Krzysztof Łoziński
- Chrystian Parma
- Anna Pietraszek
- Stanisław Rudziński
- Franciszek Spytek
- Tadeusz Szulc
- Piloci armii indyjskiej
- Myśliwi z Lai.

Oraz:

- *Jan Wawrowski* (konsul PRL w Delhi)
- *N.C. Kohli* (pełnomocnik ministra turystyki rządu stanowego w Kaszmirze).

Ale tak naprawdę, to akcję ratunkową rozpoczęła Barbara Oficjalska samotnie wyruszając na poszukiwanie zaginionych. Wykazała się ogromną odwagą i pokonała trudności, którym nie podołałby niejeden silny mężczyzna. To ona jest największą bohaterką tej akcji.

Podsumowanie

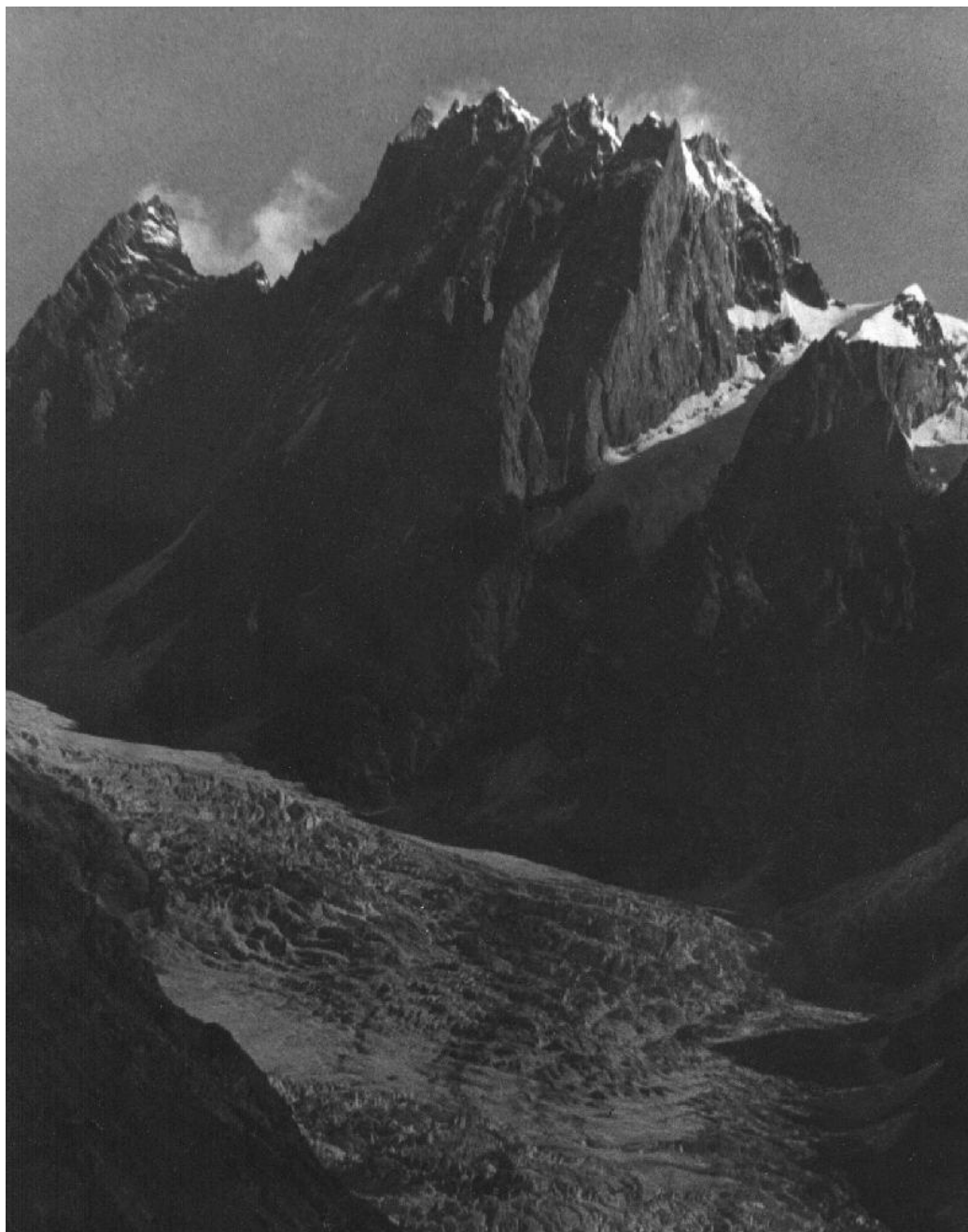
Na koniec wypada wyjaśnić jakie błędy zostały popełnione w trzech omawianych tu wypadkach.

W wypadku na Mięguszowieckim, Krzysztofa Dubilisa, nie było błędu żadnego. Po prostu wypadek losowy – urwanie się śnieżnej platformki, która wydawała się solidna.

Wypadek na Kazalnicy. Błędem było wspinaranie się jednocześnie dwóch zespołów na tej samej drodze, w dodatku w bardzo kruchym terenie.

Kaszmir. Janek i Jacek popełnili, moim zdaniem, trzy błędy. Niepotrzebne odłączenie się od wyprawy. Nawet jeśli chcieli wspinać się gdzie indziej, to nie musieli izolować się od reszty zespołu. Drugim błędem była zbyt duża pewność siebie, trzeci, najważniejszy, to niezostawienie żadnej informacji, gdzie idą i kiedy planują powrót. Zostawianie takiej informacji jest elementarną zasadą bezpieczeństwa w górach. Może nie zdołalibyśmy ich uratować, ale przynajmniej i my, i Barbara, wiedzielibyśmy, gdzie szukać.

W teście używam nazwy GOPR, bo dzisiejszy TOPR do 1990 roku nazywał się Grupa Tatrzańska GOPR.



Arjuna (6225 m). Marzenie Janka i Jacka. Fot Krzysztof Łoziński

Krystyna



Pamiętacie film Stevena Spielberga „Lista Schindlera”? Jest w nim scena pędzenia na śmierć ludzi z krakowskiego getta. Film jest czarnobiały, ale w tej scenie jest jedna kolorowa postać. Mała dziewczynka w czerwonym płaszczyku. Później widzimy ją na stosie trupów po zagazowaniu. Dzięki temu zabiegowi Spielberg zwrócił uwagę na to, że losy mas ludzkich składają się z losów pojedynczych osób. To nie „masy” ginęły, nie liczby, tylko ludzie, którzy mieli imiona, nazwiska i twarze.

Opowiem historię z mojego życia z taką refleksją: nie trzeba aż Hitlera czy Putina. Wystarczy, że rządzą tacy ludzie jak Gomułka czy Kaczyński, by każdy człowiek mógł stać się ofiarą zbrodni. Tak, jak ta dziewczynka.

Od najmłodszych lat musiałem przeżywać emocjonalnie paskudne okoliczności – polityczne represje wobec moich rodziców i mojego dziadka jako AK-owców. To były lata do 1956 roku. Później było spokojniej, ale od roku 1968 znowu musiałem się zmierzyć z dwoma paskudnymi zjawiskami: kampanią politycznej nienawiści i antyse-

mityzmem. Antysemityzm nie dotyczył osobiście mnie, bo ja jestem Polakiem z pewnym tatarskim pochodzeniem, ale dotyczył dziewczyny, którą kochałem i wielu moich przyjaciół.

W 1967 roku miałem 18 lat. W maju zdałem maturę, w lipcu, 13-go, zostałem przyjęty na studia, na pierwszy rok fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. 16 lipca skończyłem lat 19. W październiku rozpocząłem studia. Razem ze mną dostał się na studia na fizyce mój kolega szkolny Michał Gołaszewski.

W starym budynku Wydziału Fizyki na Hożej największą salą wykładową była sala SDD, czyli Sala Duża Doświadczalna. Na pierwszym roku wszystkie wykłady odbywały się w tej Sali, z prostego powodu: na roku było ponad 300 osób. Na drugim roku już mniej niż 50.

Do sali SDD wchodziło się po schodach, na których przed wykładem, przed zamkniętymi jeszcze drzwiami, kłębił się tłum studentów. Każdy chciał wejść jak najszybciej, by zająć dobre miejsce w miarę blisko wykładowcy. Moja znajomość z Krystyną zaczęła się od tego, że dostając się na salę zajmowałem dla niej i jej koleżanki Ewy dobre miejsca.

Początkowo była to zwykła studencka znajomość, ale z czasem zaczęliśmy za uważać, że coraz więcej nas łączy. Krystyna, podobnie jak ja, była taterniczką z Klubu Wysokogórskiego. Coraz częściej w przerwach między zajęciami na wydziale chodziliśmy na kawę albo do „Miodka”. To była taka mała knajpka, chyba na Koszykowej, w której serwowano miód pitny. Najpierw chodziliśmy tam w większym towarzystwie, bo gdy mieliśmy na przykład godzinę przerwy między ćwiczeniami a wykładem, to gdzieś trzeba było się podziać. Ale z czasem coraz częściej chodziliśmy do „Miodka” tylko we dwoje. Innym razem Krystyna odprowadzała mnie na przystanek trolejbusu 56 na ulicy Chałubińskiego, który jeździł przez Miodową, gdzie mieszkalem, albo ja odprowadzałem ją pod dom na Rakowieckiej. To był dłuższy spacer, zwłaszcza, że dla mnie zupełnie nie w tą stronę.

Ostatecznie, już świadomie zostaliśmy parą w Sylwestra 1968 roku. Byliśmy parą zakochanych dzieciaków. Spędzaliśmy razem całe dni, ale w tamtych czasach o wspólnym mieszkaniu tak młodych ludzi nie było mowy. Efektem ubocznym było to, że zawałem egzamin z analizy matematycznej.

Ale byliśmy szczęśliwi, aż wtargnęła w nasze życie polityka.

Koleżanka Krystyny, Hanka Szymanko, wówczas narzeczona mojego kolegi z gór, Henia Mierzejewskiego, była sąsiadką Jacka Kuronia na warszawskim Żoliborzu. Właśnie przez nią, zupełnie przypadkowo, wkroczyłem na pół życia w świat polityki.

Wokół Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego tworzył się wówczas nieformalny krąg młodych ludzi, których później propaganda komunistyczna nazwała „komandosami”. Byliśmy jednymi z najmłodszych z tego kręgu. Działalność tej grupy polegała początkowo na gorących dyskusjach w prywatnych mieszkaniach oraz cichym kolportażu nielegalnych wydawnictw, głównie paryskiej Kultury.



Legitymacja studencka ze stemplem wskazującym miejsce w ramach getta ławkowego, 1936 r.

Wydarzenia nabrały tempa pod koniec lutego, kiedy to cenzura zdjęła z afisza „Dziady” Mickiewicza grane w Teatrze Narodowym. Poszliśmy niemal wszyscy na ostatnie przedstawienie i urządziliśmy na nim demonstrację, klaszcząc i gwiżdżąc w odpowiednich momentach. Później poszliśmy pod pomnik Mickiewicza. Ktoś przełaził przez barierkę i złożył pod pomnikiem kwiaty. Chcieliśmy się już rozejść, ale wokół pełno było milicji i tajniaków. Szliśmy więc Krakowskim Przedmieściem, a glina nas stopniowo wyłapywała. Mnie i Krystynie jakoś się upiekło, ale parę osób zgarnęli. Ci zgarnięci dostali później tak zwane „kolegium” i musieli zapłacić jakieś znaczne grzywny. Zrobiliśmy na nich zrzutkę.

Kilka dni po ostatnim przedstawieniu „Dziadów” braliśmy oboje udział w akcji zbierania podpisów pod listem protestacyjnym do Sejmu. Tego listu z podpisami było wiele egzemplarzy, a część z nich była pisana przeze mnie na maszynie do pisania moich rodziców. Zanosiliśmy te listy z podpisami do mieszkania Jacka Kuronia. Część tych listów musiała później SB-cja zniszczyć. Oglądałem później te oryginalne listy z 1968 roku w muzeum Uniwersytetu Warszawskiego. Listów z podpisami zbieranymi przez Krystynę nie ma. Nie ma też listów z podpisami, które zebraliśmy w Klubie Wysokogórskim.



Ulotka z okresu międzywojennego

Skąd ja to wiem? A stąd, że zawsze osoba zbierająca podpisy najpierw sama podpisywała się na górze, by nie dawać komuś do podpisu zupełnie pustego egzemplarza. Bo przecież ludzie zwyczajnie się bali. Komunizm to taki system, w którym za napisanie listu do władz idzie się do więzienia. W muzeum UW jest list z podpisami zaczynającymi się ode mnie, jest zaczynający się od Magdy, mojej siostry, a nie ma zaczynającego się od Krystyny (na pewno taki istniał). Nie ma też żadnych listów z nazwiskami większości moich kolegów taterników. A przecież w Klubie Wysokogórskim zebraliśmy ze setkę podpisów, więc powinno być co najmniej pięć listów z samymi nazwiskami taterników – nie ma ani jednego.

Trzeciego marca spotkaliśmy się prawie wszyscy w mieszkaniu Jacka Kuronia. Gomułka przedstawił później to spotkanie w jednym z przemówień jako niemal naradę sztabową spisku. Tymczasem było to zwykłe spotkanie dyskusyjne. Nikt nie przypuszczał wówczas, co się stanie pięć dni później.

Na ósmego marca zaplanowany był wiec na dziedzińcu uniwersytetu. Ten wiec miał być zakończeniem akcji zbierania podpisów pod listem do Sejmu. Miał zamknąć temat „Dziadów”, miał upomnieć się o relegowanych ze studiów Adama Michnika i Henryka Szlajfera i o ile wiem, nic więcej nie miało się dziać. Przyszliśmy z Krystyną nieco spóźnieni, gdy wiec już trwał. Irena Lasota właśnie czytała rezolucję, jaką wiec miał uchwalić.

Na dziedziniec wjeżdżają autokary i wysypuje się z nich tłum cywilów, partyjniaków, ormowców – „aktyw robotniczy”, jak to później określił Gomułka. „Grupki

wichrzycieli podjudzane przez politycznych bankrutów i polityków zaatakowały aktyw robotniczy na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego” – podało wieczorem Polskie Radio. Co „aktyw robotniczy” robił na Uniwersytecie?

„Aktyw robotniczy” otoczył nas kordonem. Wszyscy usiedliśmy na ziemi. Wtedy zaczęli nas wynosić, ale wyraźnie nie mieli instrukcji, co dalej. Mnie przenieśli z jednego trawnika na drugi, dwadzieścia metrów i zostawili. No to wstałem i z powrotem dołączyłem do pozostałych. Inni wyniesieni zrobili to samo. Przeszliśmy pod rektorat. Ciągłe otaczał nas kordon tajniaków. Domagaliśmy się wycofania milicji z uniwersytetu. Do rektora poszła delegacja.

Pamiętam taką scenę chaosu na dziedzińcu przed biblioteką uniwersytecką. Tłum był już większy, ale jakiś taki luźny, przemieszany z tajniakami. Dochodziło do chaotycznych bójek, przepychanek. Tajniacy próbowali wciągać ludzi do autobusów, a myśmy ich wyciągali.



Wiec na UW. Zdjęcia SB

W pewnym momencie wydawało się, że wszystko już się kończy. Ruszyliśmy z Krystyną w stronę bramy, by iść do domu. Byliśmy jakieś pięćdziesiąt metrów od bramy, gdy wybiegło z niej co najmniej stu milicjantów w długich, zimowych płaszczach, w hełmach i z długimi pałami. Zaatakowali tłum na dziedzińcu bez żadnego ostrzeżenia, bijąc na oślep. Zaskoczeni studenci rzucili się do ucieczki, ale nie bardzo było dokąd uciekać.

Uniwersytet Warszawski zbudowany był w ten sposób, że brama główna jest właściwie jedynym dużym wyjściem z jego terenu. Istnieją jeszcze pewne przejścia przez budynki, ale na ogół są pozamykane, a przynajmniej wówczas były. Tak duży tłum, około tysiąca osób, mógł się wydostać właściwie tylko przez bramę główną, ale tę bramę blokowała milicja (od strony Powiśla uniwersytet był odgradzony murem, którego dziś nie ma). Część studentów, w tym my, przedostała się na mniejsze podwórko na tyłach Wydziału Geografii. Musieliśmy przebiec w tym celu przez wąskie przejście między budynkami, w którym ustawiły się dwa szpalery tajniaków z pałkami. Biegliśmy przez te szpalery i obrywaliśmy z obu stron. Później takie przepędzanie ludzi między szpalerami pałujących milicjantów nazywano „ścieżkami zdrowia”, ale wówczas nie było jeszcze tej nazwy.

Z tego małego podwórka praktycznie nie było wyjścia. Jedyna brama była zamknięta na kłódkę, a w drzwiach Wydziału Geografii stała milicja. Próbowaliśmy się przebić, ale z gołymi rękami przeciw 80-centymetrowym pałom nie mieliśmy szans. Po pewnym czasie z budynku Wydziału Geografii wybiegła jakaś kobieta z kluczem i otworzyła bramę. Wydostaliśmy się na Krakowskie Przedmieście tuż obok Kościoła Wzytek.

Krystyna nie miała jednego buta. Ja straciłem czapkę. Na Krakowskim Przedmieściu, pod bramą uniwersytetu i pod Pałacem Staszica trwała uliczna bitwa. W tym czasie, gdy jeden oddział milicji zaatakował uniwersytet, inny ruszył przeciw ludziom na ulicy, gapiom, przechodniom. Ta bitwa była dość jednostronna. Milicja pałowała, a ludzie skandowali „gestapo, gestapo” lub „Gołędzinów do domu” i rzucali śnieżnymi pigułami. Słowem Gołędzinów określano wówczas oddziały zwarte milicji (nie było jeszcze nazwy ZOMO, albo jej nie znano). Gołędzinów to peryferyjna dzielnica Warszawy, w której mieściły się koszary milicji. Może bym się i włączył do tej bitwy, bo młody człowiek jest zapalczywy, ale miałem dziewczynę w jednym bucie, a jeszcze miejscami leżał śnieg. Poszliśmy na przystanek i pojechaliśmy autobusem do mnie, na Miodową.

Pierwsza myśl: co się dzieje? Dowiedzieć się czegoś, nawiązać kontakt z innymi. Jak zawsze w podobnej sytuacji, miasto huczało od plotek. Dowiadujemy się, że milicja zaatakowała też Politechnikę i akademiki na placu Narutowicza oraz Riwierę, ale wszędzie została odparta. Plotka głosi, że studentom na pomoc pospieszyli kolejarze (dlaczego akurat kolejarze?). Podobno przed bramą ASP milicja zatłukła na śmierć studentkę w ciąży. Wymienia się nawet jej nazwisko, więc plotka brzmi prawdopodobnie. Później prawie wszystkie te wieści okazały się nieprawdą.

Kompletujemy jakoś obuwie Krystyny i jedziemy do Kuronia. Jacka nie ma. Został aresztowany już rano. Poza nim także Karol Modzelewski, Adam Michnik i Henryk Szlajfer. Może ktoś jeszcze, ale na razie nie wiadomo. Gajka (Grażyna Kuroniowa) jest dziwnie opanowana, ale tak naprawdę, to nikt nie wie, co robić. Wpadam na pomysł, by porozklejać ulotki w dzielnicach robotniczych. Gajka obiecuje załatwić ulotki. Używamy się na jutro.

Na wszystkich warszawskich (i nie tylko warszawskich) uczelniach trwał strajk okupacyjny i nieustający festiwal wiecowania, uchwalania różnych rezolucji, tworzenia piosenek, pisanie ulotek... W salach wykładowych siedzą studenci i przepisują ręcznie przez cztery kalki teksty ulotek dyktowane przez jedną osobę. Po chwili ktoś zbiera teksty i zanoszą na bramę, do ludzi. Więc nowy papier, kalki i jeszcze raz. I jeszcze. Co pewien czas piszący się zmieniają, ale ludzki powielacz pracuje non stop.



A pod bramą bijatyka. Ludzie do bramy, milicja na nich, tłum z bramy po drugiej stronie na milicję. Co chwila zmiana kierunku. Między tymi szarpaninami i bijatykami trwa normalny uliczny ruch: jeżdżą autobusy, taksówki, samochody. Ściany budynków uniwersytetu oblepione plakatami, transparentami: „Prasa kłamie”, „Czytajcie Świerszczyk, on jeszcze nie kłamie”, „MOczar do MOskwy”, „Nie uczta się na błędach, tylko na uniwersytetach”.

Jesteśmy wszyscy w jakimś amoku, psychozie, działamy jak w gorączce. Bici, ścigani, aresztowani zachłystujemy się wolnością. Nareszcie mówimy, krzyczymy, piszemy na murach i w ulotkach to, co chcemy! Nareszcie jesteśmy wolni! Żadnego zastanowienia, żadnej refleksji, czym to się może skończyć. Młodzieńczy zapał i brak wiedzy o konsekwencjach powszechnie się myli z odwagą.

Wpadłem na pomysł, by porozlepieć ulotki w dzielnicach robotniczych i przemysłowych, jak Wola i Służewiec. Gajka Kuroniowa obiecała dostarczyć ulotki. W sobotę, 9 marca, w drugi dzień rozruchów jadę rano do Gajki i dostaję plik ulotek. Jestem

rozczarowany ich treścią. Spodziewałem się jakiegoś większego tekstu, a tu na wąskich paskach papieru zaledwie kilka słów, pracowicie przepisane na maszynie: „Robotnicy! Gołędzinów bije w waszym imieniu. Protestujcie”. Razem z Jankiem Chałupczyńskim, kolegą z podwórka, jedziemy to rozklejać. Najpierw na Wolę, do Skali, Kasprzaka, Nowotki, potem na Służewiec Przemysłowy. Naklejamy te wąskie paski papieru na przystankach, na bramach fabryk. Nikt nam nie przeszkadza. O pierwszej musimy skończyć. Janek jest robotnikiem. Pracuje w Skali i musi zdążyć na drugą zmianę.



Uliczna bitwa na Krakowskim Przedmieściu. Fot. SB

Wpadam na chwilę do domu, na Miodową. Obok, pod wejściem do Szkoły Teatralnej, milicyjna suka. Wyprowadzają chłopaka w kajdankach. Jestem umówiony z Krystyną w Harendzie, w najbardziej idiotycznym miejscu, w środku ulicznej bitwy. Harenda to kawiarnia na Krakowskim Przedmieściu między uniwerkiem a Pałacem Staszica. Przedtem mam wpaść do dziekanatu, nie wiem po co. Ktoś stamtąd dzwonił, że bym przyszedł.

Podaję nazwisko, a panie z dziekanatu starannie zamykają drzwi na korytarz.

– Mamy polecenie skreślenia pana z listy studentów. Dziekan radzi, by pan sam zrezygnował ze wsteczną datą, to nie będzie śladu w papierach.

Jest w tym sens. Semestr i tak mam zawalony, bo nie zdałem analizy matematycznej. Tak, czy tak, wylecę. Ale jeśli zostanę skreślony z polecenia SB, to mogę już nigdy na studia nie wrócić. Zgadzam się i piszę podanie o skreślenie mnie „z powodu rezygnacji ze studiów”. Stawiam wsteczną datę.

Dziś bym się na taki układ nie zgodził. Powiedziałbym: nie, niech mnie skreślą. Ale wtedy nie miałem jeszcze żadnego doświadczenia politycznego. Nikt z nas nie miał.



Gomułka: „...a taki Paweł Jasienica, krwawy watażka, pomocnik Łupaszki spod Białegostoku... I tacy ludzie nazywają mnie ciemniakiem”

Idę do Harendy. Krystyna wylicza mi długą listę aresztowanych. Kilka wydziałów jest rozwiązanych. Oficjalnie wyrzucono ze studiów tylko sześć osób, ale później dowiemy się, że takich jak ja było kilkuset, takich co niby sami zrezygnowali, albo na rozwiązanych wydziałach, po wznowieniu zajęć pojawiły się nowe, odchudzone listy studentów i tych ludzi już na nich nie było. Niby nie zostaliśmy otwarcie wyrzuceni ze studiów. Zostaliśmy z nich zrezygnowani albo zniknięci.

Mam dwa problemy. Po pierwsze mogę spodziewać się aresztowania. Po drugie, jestem w wieku poborowym, a już nie jestem studentem. Mogą mnie wziąć do wojska. Problem pierwszy zostaje pozornie rozwiązany. Przez kilka dni się ukrywam, ale jakoś nikt mnie nie szukał, ale nie wracam do domu. Najpierw ukrywa mnie na strychu Witek Fedorowicz, ale to nie jest dobre miejsce, sąsiedni dom od Uniwersu. Za dużo milicji dookoła. Na ostatni dzień przenoszę się na Dantyszka, do domu rodzinnego braci Mierzejewskich.

Z drugim problemem jest większy kłopot. Rodzice załatwiają mi przyjęcie do wieczorowej szkoły, pod szumną nazwą Policealne Studium Elektroniki. Nie jest to wyższa uczelnia, formalnie nie chroni przed wojskiem, ale zwyczajowo nie brano ludzi do wojska, jeśli się uczyli, nawet na takich pseudouczelniach.

Jest to jednak szkoła dla pracujących, więc muszę być zatrudniony. Dostaję pracę w Fabryce Podzespołów Radiowych „Elwa” na Służewcu. Chodziłem do tej szkoły i do tej pracy bardzo krótko, niecały miesiąc. Na początku kwietnia dostałem kartę powołania do wojska. Nic mi ta szkoła nie pomogła.

Do „Marca 68” nie istniał dla mnie temat antysemityzmu, ani nawet temat narodowości niektórych moich kolegów. Nawet nie wiedziałem o tym, że ktoś jest Żydem

i wcale mnie to nie obchodziło. Podobna obojętność do tego tematu, lub nawet nieświadomość jego istnienia dominowała wśród większości moich kolegów.



Od pierwszych dni marcowych rozruchów w prasie i w radiu (telewizor wówczas mało kto posiadał) rozpętuje się antyinteligencka i antysemitcka nagonka. „Aktyw robotniczy” odwiedza zebranie w Związku Literatów i używa „długich, elastycznych argumentów”. Gomułka trzęsie się na mównicy i pieni: „a taki Szlajfer, ni to pies ni wydra ... a taki Paweł Jasienica, krwawy watażka, pomocnik Łupaszki spod Białegostoku ... i tacy ludzie nazywają mnie ciemniakiem!” Gomułka nie może przeboleć, że Stefan Kisielewski nazwał jego władzę „dyktaturą ciemniaków”. Pojawia się określenie „syjonisci”. Studenci to „bananowa młodzież”. Z łamów gazet leje się szambo.

Za tą nagonką słowną, w której przodują Ryszard Gontarz i Kazimierz Kąkol, idą czyny. Ludzie wyrzucani są z pracy, profesorowie z uczelni, oficerowie z wojska. Wyjątkowo brutalne, chamskie przemówienie wygłasza sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR Józef Kępa. To przemówienie to sygnał do ataku. Tabuny młodych, partyjnych karierowiczów ruszają na wysokie stanowiska. Ale te stanowiska nie są wolne, więc trzeba wykryć „syjonistów” i otworzyć drogę do własnej kariery. Gomułka stwierdza publicznie, że jeśli ktoś chce wyjechać do Izraela, to państwo mu to umożliwi.



To jest hasło do kolejnej akcji – wyrzucenia masy ludzi z Polski. W następnych miesiącach tysiące ludzi otrzymało „dokument podróży” – paszport w jedną stronę. Tylko pozornie te wyjazdy były dobrowolne.

Oto nagle dowiaduję się, że moja dziewczyna jest Żydówką. Pierwsza reakcja: no to co? A bądź sobie Żydówką, Murzynką, Chinką, czym chcesz, co mnie to obchodzi? Ale szybko okazuje się, że mnie to obchodzić musi.

Wychodzę z pracy po pierwszej zmianie, czyli o czternastej i przed bramą widzę Krystynę. Jest zapłakana, roztrzęsiona. Dłuższą chwilę nie mogę jej uspokoić. Co się stało? Wczoraj jej matkę wyrzucili z pracy. Zostały bez środków do życia (ojciec od dawna nie żyje). W nocy było jakieś walenie do drzwi. Bały się otworzyć. Rano znalazła gówno pod drzwiami, a na drzwiach gwiazdę Dawida nasmarowaną kałem. Chce wyjechać, ma dosyć tego kraju.

A w prasie pełno tego szamba. Przemawia „poseł Ozga–Michalski (poeta)”. A przemawia tak: „Nasz orzeł biało-czerwony obrastał stalowymi piórami od Lenino do Berlina, a teraz chcą go syjoniści oskubać!” W każdej gazecie, w każdym przemówieniu, wszystkiemu winni są „syjoniści”. A swoją drogą to poezja przednia pana „posła, w nawiasie poety”.

Dzieją się tysiące dramatów. Ludzie wyrzucani są z kraju, który uważali za własny. Tu się urodzili, tu mieszkali przez całe życie, żadnego innego kraju nie znają. Mówią tylko po polsku i nagle zostali wykluczeni z narodu, którego językiem mówią. Mogą zabrać ze sobą tylko część majątku (jakże to typowe). Zerwane miłości, rozdzielone rodziny...

W pracy, w fabryce Elwa, w połowie pierwszej zmiany wzywają nas wszystkich na stołówkę. Wszędzie stoją transparenty. Partyjniacy wtykają je zaskoczonym ludziom w ręce. „Syjoniści do Syjamu”, „Literaci do pióra, studenci do nauki”, „Jesteśmy z wami towarzyszu Wiesławie”, „Ukarąć rewizjonistów i syjonistycznych wichrycieli”. Na podwyższeniu ktoś nas filmuje.

Na salę wchodzi Józef Kępa w mocnej obstawie. Przemawia butnym tonem. Płaszcz rozpięty, nawet go nie zdjął, ręka w kieszeni.

– Zdejmij łapę z rewolweru! – krzyczy ktoś z sali.

Tajniacy rzucają się w tamtą stronę. „Wiesław, Wiesław” – skandują partyjni. Reszta milczy.

Wracamy na wydział. W milczeniu. Czujemy się zgwałceni, zbrukani, dziewczyny płaczą. Snujemy się w milczeniu. Wszyscy patrzą gdzieś w dół, pod nogi. Nikt nie rozmawia.

Na Krakowskim Przedmieściu już nie ma starć. Na uczelniach już nie ma strajków. Gęste patrole milicji. „Życie się normalizuje” – pisze Trybuna Ludu. 2700 osób siedzi w więzieniach i aresztach. W tym moi koledzy: Janek Lityński i Janek Walc. Ja nie mogę już pokazać się w pracy, bo mnie zgarną. Dziewczyna z kadr czekała na mnie przed bramą. Mówi cicho:

– Pytała o ciebie milicja.

Ponieważ SB-cja nie może mnie znaleźć, wpadają na szatański pomysł. Wysyłają mi wezwanie do stawienia się na komisję poborową. Za to, że SB nie umie mnie znaleźć, nie można mnie skazać, ale za niestawienie się do poboru można dostać dwa lata. Mam kłopot.

Jedziemy oboje do Gajki, Grażyny Kuroń, by poradzić się co robić. Gajka wpada sprytny na pomysł.

– Nie idź tego dnia, na który masz wezwanie, bo będą na ciebie czekać. Idź dzień wcześniej.

Wpadamy też na pomysł, bym mówił, że chcę zdawać na WAT, wojskową uczelnię techniczną, i dla tego chcę być bliżej Warszawy.

Sierżant w komendzie uzupełnień wysłuchuje moich wyjaśnień, kiwa ze zrozumieniem głową i wypisuje bilet do jednostki. Wychodzę na korytarz i oglądam bilet: jednostka wojskowa nr... i tak dalej, ulica Głowackiego, Kraków. Termin 24 kwietnia. Zaiste, życzliwy ten sierżant.

Mamy dwa tygodnie dla siebie. Dwa tygodnie na miłość fajnie brzmi, jeśli zapomnieć, że to tylko dwa tygodnie i nic więcej. Dalszego ciągu nie będzie. Jedziemy w Tatry, na Halę Gąsienicową. I tu nowy problem. Ja nie mogę zameldować się w schronisku, bo choć na chwilę SB-cję wykiwałem, to jednak nadal jestem poszukiwany. Na szczęście na Hali są nie tylko oficjalnie działające schroniska, Murowaniec i Wyżnie. Ale już Księżówka jest nieczynna. Wspiąłem się po drewnianej ścianie i udało mi się otworzyć okno na pierwszym piętrze. Wieszamy z tego okna kawałek liny i jest to droga wejściowa także dla innych. Bo oprócz nas jest na Hali Gąsienicowej spora gromadka ludzi, którzy się ukrywają. Są też i inne rozwiązania. Na przykład Hanka Szymanko mieszka w domku PAN-u. Poza tym Tatrzański Park Narodowy w swoim szale niszczenia nie zdążył jeszcze rozebrać kilku pasterskich szałasów.

Jest typowa tatrzańska wiosna (kwiecień). Leży jeszcze sporo śniegu, ale jest to śnieg topniejący, miękki i mokry. Na niektórych zboczach w ogóle go nie ma. To dobrze, bo nie mamy raków. Ktoś powie, trzeba było kupić, ale wtedy nigdzie w Polsce nie można było ich kupić. Zresztą za co? Oboje jesteśmy na utrzymaniu moich rodziców. Jedyną rodziną Krystyny jest jej matka, którą wyrzucili z pracy. Stan dochodów – zero.

Próbujemy się wspinać, ale mamy kiepskie minimum sprzętu. Zamiast normalnej liny, używaną podwójnie nylonową zjazdówkę (6 mm). Udajemy, że na „tym” można się asekurować. O ile pamiętam, to zrobiliśmy tylko Żółtą Igłę, Filar Staszla i Setkę na Zadnim Kościelcu.

Zresztą całe to wspinanie to tylko jakieś alibi przed sobą samym, takie udawanie, że coś jest normalnie, podczas, gdy nic nie jest normalnie. Niby jesteśmy razem, ale oboje wiemy, że wisi nad nami termin 24 kwietnia. A co dalej? Kiedy się później zobaczymy? Krystyna zaczyna mówić o emigracji. Do mnie to jakoś nie dociera. Ale realia są twarde. Ona z matką zostały bez żadnych środków do życia. Ja z nią wyjechać nie mogę, nie dlatego, że nie jestem Żydem, tylko przez wojsko i SB. Jak się nie stawię do wojska, będą mnie ścigać jako dezertera. Jak wystąpię o paszport, to mnie zamkną.

24 kwietnia rano wyjeżdżamy pociągiem w stronę Warszawy, przez Kraków. W Krakowie rozstajemy się. Ja wysiadam, Krystyna jedzie dalej. Zabiera mój plecak. Ja zostaję tylko z biletem do jednostki. Mamy kilka minut na pożegnanie, tyle, co pociąg stoi na stacji. Za resztki pieniędzy biorę taksówkę. Nie znam Krakowa, nie wiem, gdzie jest ulica Głowackiego. Wartownik przy bramie ogląda wezwanie.

– Batalion rozpoznania, tam – i pokazuje kierunek.

Wolność została za bramą.

Przed poborem do wojska nie uratowała mnie szkoła. Bo przed tym poborem nic nie ratowało. Brano równo: chorych, uczących się, jedynych żywicieli rodzin. Władza traktowała wojsko jak zastępcze więzienie. Bo i niewiele ówczesne wojsko różniło się do więzienia. Do przysięgi (6 tygodni) żadnych przepustek. Pierwsza po przysiędze, ale na następną czekałem pół roku. Wszechobecne chamstwo. Człowiek wychowany w kulturalnej, inteligenckiej rodzinie raczej nie jest przyzwyczajony, by zwracano się do niego per „kurwa wasza mać” i odczuwa pewien dyskomfort. Ale to jeszcze nie jest najgorsza rzecz, do której trzeba szybko się przyzwyczaić.

Kompletne zniewolenie. Nawet po korytarzu nie można poruszać się bez pozwolenia. W tak zwanym okresie unitarnym o samodzielnym wychodzeniu z budynku nie ma mowy. Do tego poniżenie, głupota, władza prymitywów o jakich inteligent nie przypuszczał, że w ogóle istnieją. Jest wiele sposobów gnojenia młodych ludzi: zbiórki kompanii na drzewie, meldowanie się do pieca, mycie kibli szczoteczka do zębów, wiórkowanie podłóg żyłką. Kaprał wywala kopniakiem wiadro z wodą. Trzeba zebrać tę wodę z powrotem sznurowadłem i mieć nadzieję, że nie kopnie znowu. Bo co mu tam?

Dla komisji poborowej wszyscy byli zdrowi. Można było nie mieć nogi i też by wzięli. Powstał wtedy ponury dowcip:

Staje poborowy przed komisją lekarską. Lekarz nie podnosząc wzroku mówi:

– Zdolny!

– Ale panie doktorze, ja nie mam jednej nogi...

Lekarz patrzy uważniej.

– Co wy mi tu poborowy pierdolicie, że nie macie jednej nogi, jak ja na was patrzę i widzę, że macie jedną nogę!

Krystyna przyjeżdża do mnie w niedzielę. Kawał drogi z Warszawy do Krakowa. Ale to jedyna możliwość spotkania. Siedzimy w zatłoczonej kantynie, żadnej intymności. Ja nie mogę wyjść poza jednostkę. Nawet na wyjście do tej kantyny muszę mieć zgodę dyżurnego. Niewiele to się różni od widzenia w więzieniu.

Przy każdym kolejnym spotkaniu robi się między nami jakby chłodniej. Nie wiadomo o czym tu rozmawiać.



Rasistowskie napisy na cmentarzu żydowskim (w Polsce, teraz)

Po przysiędze, w początku czerwca, pierwsza przepustka. Mogę pojechać do Warszawy. Muszę być w mundurze, przebrać się w cywilne ciuchy nie wolno. Na dworcu jakiś chłopak mówi do mnie:

– Czerwony beret, jak ja ci zazdroszczę.

– Ty durniu – myślę, ale nic nie mówię.

Nocuję w rodzinnym domu, na Miodowej. Rano spotykam się z Krystyną na przystanku przy Placu Defilad. Jest jakaś oschła. Mówi, że wyjeżdża, i że musi wyjść za mąż za jakiegoś chłopaka z TSKŻ, bo jako małżeństwo mogą zabrać więcej rzeczy. Bagaż jest limitowany. Bardzo szybko się ze mną żegna.

Plączę się po domu, nie wiem co robić. W dziewiętnastoletniej głowie kłębią się najgłupsze pomysły. W końcu zakładam cywilne spodnie i kurtkę na mundur. Tylko wojskowe buty wyglądają z tym dziwnie. Jadę do Krystyny. Drzwi zamknięte, nikogo nie ma. Zostawiam jej kartkę, że czekam codziennie o 17-tej w takim barze naprzeciwko Kuronia, na Żoliborzu. Nie wracam do jednostki i znów się ukrywam. Tym razem u Bożeny Jesionkiewicz, koleżanki z SKT, w piwnicy.

Na czwarty dzień Krystyna zjawia się w tym barze. Tłumaczę jej, że mam taki pomysł, że ja przeprawię się do niej przez zieloną granicę.

– Przez ile granic?

– Tyle co trzeba.

– Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, Bułgaria, Grecja, Turcja, Liban – wylicza.

Rozmawiała z moimi rodzicami. Znaleźli kontakt z kimś z wojska. Jeśli teraz wrócę do jednostki, to dostanę symboliczną karę, jak nie wrócę, to mogę dostać dwa lata więzienia. Na razie traktują to jako „samowolne oddalenie”, a nie dezercję. Mówi twardo, że z nami koniec.

Wracam do jednostki. Dowódca kompanii mówi, że zostanę ukarany przez sąd koleżeński. „Sądzą” mnie koledzy z kompanii. Dostaję symboliczną karę: cztery dni aresztu za cztery dni nieobecności.

Jestem w psychicznym dole. Krystyna mnie zostawiła, wyjechała do innego kraju, nawet nie wiem, do którego. Nie mam nawet jej zdjęcia. No i gdzie ja jestem? W jakim strasznym otoczeniu? Nasz romans trwał krótko, ale był szalenie intensywny. Byliśmy razem codziennie, bez przerwy, od rana do wieczora, a tu wystarczyło półtora miesiąca, by mnie rzuciła.

Wszyscy chłopcy, którzy poszli ze mną do wojska mieli dziewczyny lub żony. Po roku nie miał żaden. Nie jestem wyjątkiem, ale czy musiała mnie porzucić tak szybko? Nie mogę się z tym pozbierać. Człowiek zdradzony, w warunkach pozbawienia wolności nie może przestać cierpieć, dokąd jej nie odzyska. Gdyby był wolny, doszedłby do siebie po kilku miesiącach.

Pół roku później jestem oddelegowany na szkolenie łączności do Białobrzegu koło Zegrza, tuż koło Warszawy. Gdy mam już po tym szkoleniu wracać do Krakowa, nagle zostaję aresztowany. Okazuje się, że SB ciągle mnie szukała i nie wpadła na pomysł, że jestem w wojsku. Żołnierze WSW wiozą mnie do Warszawy. Areszt Śledczy Warszawa Mokotów, ul. Rakowiecka 37A, trzeci pawilon (w przyszłości będę tu jeszcze ładował).

Po trzech miesiącach prokurator umarza postępowanie. Uzasadnienie: „i tak jest w wojsku”. Wychodzę, mam wracać do jednostki. Idę ulicą Rakowiecką koło domu Krystyny. Wchodzę na pierwsze piętro, gdzie mieszkała. Nie wiem po co, bo przecież tam jej nie ma. Stoję bezradnie pod drzwiami. Z dołu po schodach wchodzi jakiś mężczyzna i wyciąga klucz.

- Pan tu teraz mieszka? – pytam.
- Tak, a bo co?
- A wie pan kto tu wcześniej mieszkał?
- Jakieś Żydówy, chuj im dupę – i znika za drzwiami.

Wyszedłem z wojska. Zacząłem już zapominać o Krystynie. Spotykałem inne kobiety. Prasa podała, że na lotnisku w Tel Awiwie trzech Japończyków, terrorystów z Japońskiej Frakcji Czerwonej Armii, otworzyło ogień do tłumu w hali odlotów. Zginęło kilkanaście osób, zanim napastników zastrzelono. Większość ofiar stanowili Portorykańczycy, ale zginęli też Żydzi.

"	51. Salaterki	3
"	52. Talerze z wzorami	3
"	53. " szklane/kryształy	6
"	54. Półmisek mały	" 1
"	55. Miseczki do komp.	" 4
"	56. Filizanki ze spodu	4
pud.	57. Miski fajansowe malowane	2
"	58. " czarna siwka	1
szt.	59. Filizanki do cz. ka-	-

Zatwierdzony przez SB zestaw przedmiotów, które pozwolono wywieźć emigrującym Żydom

Ot, taka wiadomość. Jakiś czas później spotkałem przypadkowo dawną koleżankę Krystyny. Powiedziała mi, że ona zginęła w tym zamachu. Nie uwierzyłem, uznałem za fantazję.

Pewnego dnia przeglądałem kupione przez ojca włoskie czasopismo „Epoka”, ze zdjęciami zrobionymi po tym zamachu na lotnisku. Nie było już na nich ciał ludzi, ale była krew i, jak to zwykle w takich przypadkach, różne pogubione, rozrzucone przedmioty: buty, parasolki, torebki. Patrząc na jedno ze zdjęć i nagle... jej torebka. Nie ma wątpliwości, że ta sama, którą znam. Polska, skórzana torebka, tak zwana konduktorka. Musiałem mieć dziwną minę, bo ojciec spytał, czy coś się stało. Powiedziałem, że nic.

30 maja 1972 roku na lotnisku w Tel Awiwie, z samolotu wysiada trzech Japończyków: Kozo Okamoto, Tsuyoshi Okudaira i Yasuyuki Yasuda, członków Japońskiej Frakcji Czerwonej Armii, sponsorowanej przez Związek Radziecki organizacji terrorystycznej. Wyjmują ukryte w futerałach od wiolonczeli karabinki automatyczne SaVz58 (czechosłowacka wersja Kbk AK-47) i otwierają ogień do tłumu na lotnisku.

Zaskoczona ochrona reaguje za późno. Pierwszy z terrorystów zostaje zastrzelony, drugi jest ciężko ranny po wymianie ognia, trzeci sam wysadza się granatem. Ale zdołali zabić 26 osób i 80 ranić. Organizatorką zamachu była Fusako Shigenobu, która nie była na miejscu, została w Japonii. Poszukiwano jej przez wiele lat. Została aresztowana dopiero 8 listopada 2000 roku i skazana na 20 lat więzienia. Została zwolniona 28 maja 2022 roku, po odbyciu całej kary. Niemal dokładnie 50 lat po zamachu. Sowieccy organizatorzy kampanii antysemitckiego terroryzmu nie zostali osądzeni nigdy.



Jedno ze zdjęć prasowych po zamachu w Tel Awiwie. Nie ma już ciał zabitych, jest krew i rozrzucone przedmioty. Zdjęcia z torebką po latach nie znalazłem

Krystyna nie była jedyną znaną mi osobą, wyrzuconą wówczas z Polski. Wyjechała lekarka, znajoma mojej matki, Irena Herbst wraz z dziećmi Ewą i Michałem. Ja wcześniej z tymi dziećmi jeździłem na wakacje. Żyje tylko Ewa. Mieszka w Szwecji. Wyjechał kolega z klasy, a także z pierwszego roku fizyki, Michał Gołaszewski. Moi koledzy ze szkolnej klasy odprowadzali Michała na pociąg bez powrotu, o ironio, na Dworzec Gdański, niecałe 500 metrów od Umschlag Platz, z którego wywożono

warszawskich Żydów do komór gazowych. Do Michała Gołaszewskiego dotarła jedna z moich danych koleżanek szkolnych. Mieszka w Australii, jest profesorem fizyki. Ma taki uraz do naszego kraju, że nie chciała rozmawiać po polsku.

Do dziś nie wiem na pewno, czy Krystyna rzeczywiście zginęła. Może ta torebka była tylko podobna, może miał ją przy sobie ktoś inny. Może tylko była ranna. Odkąd wyjechała z Polski nie nawiązała kontaktu z nikim, kto został. Próbowałem dorzeć do listy ofiar, ale niewiele to daje. Żydzi wyrzuceni wówczas z Polski po przyjeździe do Izraela często zmieniali imiona i nazwiska. Kobiety w ogóle zmieniają nazwiska po wyjściu za mąż.

Gdy kilka lat temu, w związku z założeniem KOD-u, opublikowałem swój życiorys i wspomniałem o dalekich tatarskich przodkach, w jednej z PiS-owskich gadzinówek napisano o mnie: „ma niepolskie korzenie”, a „Gazeta Warszawska” (paskudna gadzinówka) nazwała mnie „niemieckim folksdojczem”.

Kilka dni temu, minister w rządzie PiS, Anna Moskwa, mówiła publicznie, że „zwróci się do ministra Ziobry, by znalazł rozwiązanie prawne” pozwalające odbierać paszporty przeciwnikom politycznym.

Mentalność z Umchlag Platz, jak widać w formie.

Zastanawiałem się, czy chciałbym się spotkać z Krystyną, gdyby żyła. Bo przecież nie mam pewności, czy zginęła. Nie wiem. Co właściwie mielibyśmy sobie powiedzieć? Dwoje dziś starych ludzi, którzy przeżyli oddzielnie niemal całe i zupełnie inne życie?

Mówi się, że czas leczy rany. Nie wszystkie.

Kung fu po polsku



Trening na obozie letnim. Stanisław Filipowski (w skoku) i Krzysztof Łoziński. Fot. archiwum K.L.

Mam 76 lat. Chodzę o kulach, źle oddycham. To taki straszliwy życiowy kontrast do tego, kim byłem przez niemal całe wcześniejsze życie. Coraz bardziej mam wrażenie, że pora z tego życia zdawać raport.

Jakie to życie było? Ciężkie, tragiczne, radosne, ciekawe...? Wszystkim było po trochu. Wcale go nie żałuję. Wręcz przeciwnie, uważam, że życie ludzi od razu urodzonych w dobrobycie, bezpieczeństwie, spokoju, było po prostu nudne. Gdy oglądałem

serial „Żony Hollywood”, i widziałem te puste lale, które miały wszystko, to sobie myślałem, że życie wiejskich kobiet, które nosiły wodę ze studni, rąbały drzewo na opał i pasły krowy, było znacznie bogatsze, niż tych bogatych lal.

Widzę mieszkania młodych zamożnych ludzi, dobrze ustawionych, teoretycznie dobrze wykształconych. Mieszkania bez ani jednej książki i twarze z zerową ciekawością świata. To też nie moja bajka.

Ja nie miałem nic danego od losu. Wszystko musiałem zdobywać, a świat mi raczej przeszkadzał a nie pomagał. Ten świat, w którym żyłem – PRL. I dlatego, otaczająca mnie rzeczywistość nauczyła mnie walczyć, nie poddawać się, nie narzekać, pięści zacisnąć i do przodu.

Młodość chmurna i durna

Mam 16 lat, chodzę do Liceum Czackiego na Karowej w Warszawie. Od czterech lat moją pasją jest wspinaczka, choć głównie jeszcze na podwarszawskich bunkrach, latem w dolinkach regłowych, na Małym Giewoncie, na Nosalu. Mam 16 lat i właśnie powtarzam dziewiątą klasę (drugą licealną), bo miałem w zeszłym roku 148 dni nieobecności nieusprawiedliwionych. Przez 148 dni roku szkolnego szkolilem się, ale nie w szkole, tylko w Czosnowie na bunkrach stanowiących część zewnętrznego pierścienia umocnień carskiej Twierdzy Modlin. W nowej klasie szybko zarażam swoją pasją kolegów: Braci Wroczyńskich – Michała, Krzysztofa i młodszego Piotra. Wkrótce niemal pół klasy gości co niedzielę na czosnowskich bunkrach.

Ale mnie właśnie odbiło w nowym kierunku. Przypadkowo poszedłem na wargi do kina, na film „Tygrys lubi świeże mięso” (francusko-włoski film Charbola z 1964 roku). Ten przypadkowy film, którego już nigdy później już nie znalazłem, zaważył na znacznej części mojego życia. Występował w nim brytyjski komandos, który gdzieś na wschodzie nauczył się tajemniczego „uderzenia karatem”. Ten tajemniczy „karat” zupełnie mnie zafascynował. Zachciałem nauczyć się tej tajemniczej sztuki walki. Kłops jednak w tym, że w Polsce nikt wówczas o karate nie słyszał. Chyba nawet nikt nie znał tej nazwy. Wśród młodzieży podwórkowej krążyły mity o ciosie „karatem”, czyli kaniem dłoni w szyję, który to cios miał być niezawodnie śmiertelnym. Była jeszcze wersja „zamkniętego karata”, czyli uderzenia bokiem pięści jak młotem.

Tu trzeba wspomnieć o pewnej subkulturze młodzieżowo-podwórkowej. W tamtym czasie, na Starówce, Mariensztacie i Powiślu, nie można było nie umieć się bić. I trzeba było wiedzieć, którędy chodzić, a którędy nie, bo lokalne młodzieżowe gangi zbierały „placowe”. My z Miodowej mieliśmy na pieńku z tymi z Kamiennych Schodków. A oni z nami. Na przykład, gdy wchodziłem na Mariensztat, wyrastał przede mną dużo starszy chłopak i pytał:

– Kogo znasz?

– Jasiona.

– Git. Nie mam żalu!

I mogłem iść. Ten Jasion nie był żadnym żulem, tylko kolegą ze szkoły, ale mieszkał na Mariensztacie. I to wystarczyło. Ale gdy się nikogo nie znało, to trzeba było albo oddać wszystkie pieniądze (placowe), albo się bić, albo szybko biegać. Jakiś czas później, podobno, porządek na Mariensztacie zaprowadził młody jeszcze zapaśnik Andrzej Supron, który chodził do szkoły na Bednarskiej i był w jednej klasie z moją siostrą Magdą.

Tak więc miałem dodatkową motywację, by uczyć się walki, zwłaszcza że byłem mniejszy i lżejszy od większości rówieśników. Przyspieszyłem ze wzrostem dopiero później.

Czytelnik może odnieść wrażenie, że żyłem głównie na podwórkach i ulicach. Prawda jest inna. Żyłem na granicy dwóch światów, świata intelektualnych elit mojej rodziny i świata rówieśników ze Starówki. W naszym domu bywali malarze Marian Bogusz, Jacek Sienicki i Alfred Lenica, profesorowie Tadeusz Orłowski i Władysław Bartoszewski, tak że ja, nawet po skończeniu studiów prosty astrofizyk niepraktykujący, czułem się malutki. W dodatku, jak mówiła moja mama, profesor medycyny, zamiast pomnażać tytuły doktorskie rodu „fikam koziołki” (tak moja mama określała uprawianie sportu).

Shorinji Kempo

Chciałem zapisać się na judo. Poszedłem do klubu AZS Osiedle Przyjaźń na Jelonkach (był tam kiedyś akademik). I tu nagle okazało się, że nie mogę. Bo mam 16 lat i wiekowo pasuję do grupy starszej, a wagowo do grupy młodszej, bo ważę 54 kilogramy, a grupa starsza jest od 55 kg. Dziś wiem, że mogli mnie przyjąć, tylko pewnie uznali, że taki mały, to pożytku nie będzie. Po prostu mnie spławili.

Ale przy okazji dowiedziałem się, że jest taki Japończyk, który prowadzi coś dziwnego, „szori coś tam”, czort go zna, co to jest. Japończyk okazał się bardzo miłym człowiekiem i mnie przyjął.

– To, że jesteś mały, nie szkodzi. Tego, że urośniesz w górę, nie mogę ci obiecać, ale w barach urośniesz na pewno.

I tak, od przypadku, zaczęła się moja przygoda, z chińską sztuką walki. Trwała 46 lat.

Muszę tu wyjaśnić parę pojęć. Chińska sztuka walki, licząca co najmniej siedem tysięcy lat, za pomocą której walczono na wojnach, nazywa się na prawdę *wu shu*, co znaczy dosłownie *sztuka obrony*. Ale na Zachodzie przyjęła się błędna nazwa *kung fu*. Tę błędną nazwę w dużym stopniu rozpropagował amerykański aktor grający w filmach walki – Bruce Lee. A skąd się ona wzięła? Pierwszy raz w zachodnich mediach opisał ją brytyjski oficer, który zauważył mężczyznę ćwiczącego formy na placu i zapytał tłumacza co to jest. Tłumacz chyba źle zrozumiał pytanie i odparł: *kung fu*, to znaczy *dobrze to umie* lub *dobrze to robi*. Zwrot *kung fu* znaczy dosłownie *dobra umiejętność* i wymawia się to *gonk fu*. (w zapisie pin in literę g czyta się jako k, a k jako g). *Wu shu* nazywane też było *chińskim boksem*, przez skojarzenie z powstaniem związku Yiheguan (I He

Chuan – Pięści Sprawiedliwości i Pokoju) na przełomie XIX i XX wieku, które w literaturze europejskiej widnieje jako Powstanie Bokserów.



Zawodniczka chińska wykonuje formę modliszki. Mistrzostwa świata w stylu Hung Gar w Warszawie, 2004 rok. Fot. Krzysztof Łoziński

Wu shu jest najstarszą orientálną sztuką walki, z której wywodzą się wszystkie inne: ju jitsu i judo, karate, aikido, taekwondo, viet vo dao, indonezyjski pencak silt, a nawet odmiany malajskie, tajskie (muai thai, inaczej boks syjamski), kambodżańskie i wiele innych. Jest sztuką całościową, obejmującą nie tylko walkę wręcz, ale i wiele rodzajów broni, takich jak kij, miecz, szabla, włócznia, halabarda i wiele innych.

Dzisiejsze wu shu dzieli się na dwie odmiany Południową Pięść (Nan Quan) i Długą Pięść (Chang Quan). Nie ma natomiast czegoś takiego jak Północna Pięść, no chyba że w filmach. Style południowe, Nan Quan, wywodzą się z Klasztoru Shaolin, a style Cheng Quan z klasztoru Wu Dang.

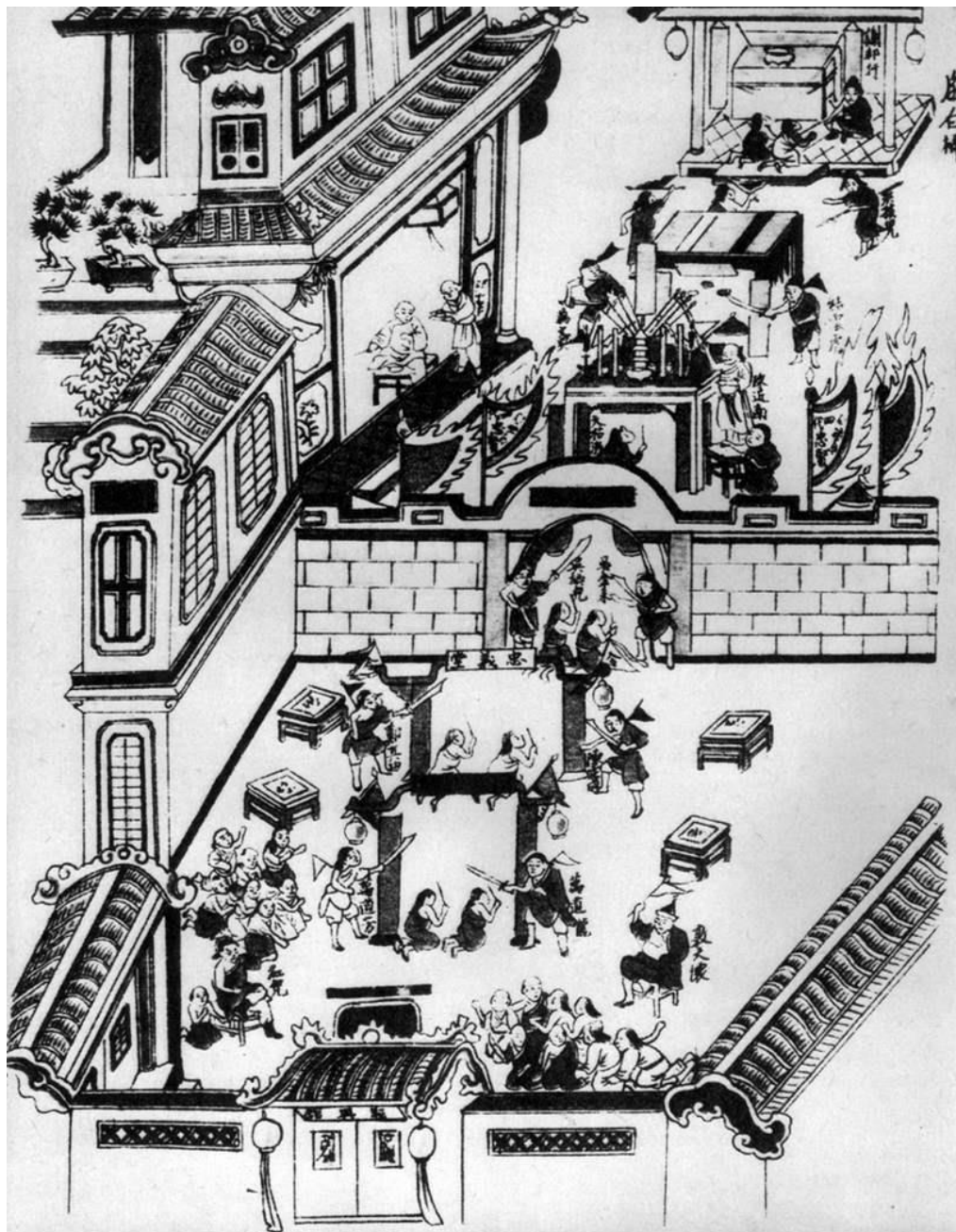


Ćwiczenia wu shu (kung fu). Ilustracja z okresu dynastii Han (206 r. pne – 220 r. ne)

Zostawmy na chwile teorię. To, co zacząłem ćwiczyć u Japończyka, było japońską odmianą stylu Shaolin (Shaolin Shu), jednego ze stylów południowych i po japońsku nazywa się Shorinji Kempo. Ta nazwa jest po prostu dosłownym tłumaczeniem nazwy chińskiej na język japoński.

Ale ja wtedy jeszcze tego wszystkiego nie wiedziałem. Ówczesna wiedza Polaków o wschodniej sztuce walki, z wyjątkiem judo, była po prostu zerowa.

Od razu zetknąłem się z paroma rzeczami, które były dla mnie całkowitą nowością. Pierwszą był morderczy trening. W innych dyscyplinach sportu w naszym kraju trenowało się w porównaniu z tym w stylu „luzik i spoko”. Dotąd uważałem, że 10 pompek to dużo, a tu się dowiedziałem, że to bardzo mało i „mniej niż 50 się w ogóle nie robi”. Dotąd myślałem, że tak zwany „dżamp”, albo „żabki” to można przez kilkanaście metrów, a nie dookoła stadionu. I, co ciekawe, wcale mnie to nie odstraszyło. Wręcz odwrotnie, zafascynowało.



Przyjęcie do tajnego stowarzyszenia. Kandydaci przechodzą próby przy kolejnych bramach. XVI wiek

Drugą rzeczą, która mnie zaskoczyła, był stosunek naszego mistrza do bójek. Ja początkowo chciałem nauczyć się bić, a tu się dowiedziałem, że właśnie tego mi nie wolno. Japończyk stawiał sprawę prosto: opanujesz z czasem perfekcyjną sztukę walki,

ale nigdy nie będziesz jej używał inaczej niż na zawodach sportowych. W dodatku zabraniał opowiadania kolegom, że się ćwiczy, przechwalania się, itp. Po raz pierwszy zetknąłem się z buddyjską i taoistyczną koncepcją człowieka. Dowiedziałem się, że „bęben jest głośny, bo jest pusty” a „prawdziwej siły nie widać”. Kilka lat później zadziwił mnie osobliwym postępowaniem. Szliśmy ulicą i wyrósł przed nami bardzo agresywny facet i agresywnym tonem zażądał od Japończyka: „Pożycz pięć złotych”. Oczywiście nie chodziło o żadną pożyczkę, tylko o wymuszenie, a może prowokację do bójki. Mój mistrz, który mógł osobnika znokautować w ciągu sekundy, wyjął z kieszeni pięć złotych i mu dał. Zatkalo mnie. Pytam: czemu mu to dałeś? A on na to: A co? Miałem zmasakrować bezbronnego człowieka, tylko dlatego, że jest tak głupi, żeby się na mnie porwać?

Ja, wychowany w subkulturze podwórkowej, najchętniej bym gościowi przyłożył, ale szybko zrozumiałem, że to błąd. Te zasady ostatecznie przyjąłem za swoje. Efekt był taki, że dysponując później umiejętnościami, których wielu ludzi nie potrafi sobie nawet wyobrazić, przez całe życie nikogo nie pobiłem.

Wyjątkiem były przypadki, kiedy stawałem w czyjejs obronie, ale i wtedy używałem siły bardzo powściągliwie.

Później przekonałem się, że ludzie nieraz sami prowokują bójki, bo zupełnie niepotrzebnie reagują agresywnie. Bywa, że jakiś żul agresywnie domaga się papierosa, albo pięciu złotych. To lepiej mu dać niż ryzykować awanturę, z której nie wiadomo co wyniknie. Naprawdę konsekwencje mogą być poważne i nie warto ich ryzykować dla pięciu złotych. No, ale honor nam nie pozwala! Czyżby? Czy wyceniamy nasz honor na pięć złotych? A poza tym, co to za honor? Według koncepcji taoistycznej, czym bardziej nadęte, tym bardziej puste.

Mój japoński trener nauczył mnie czegoś więcej niż tylko sztuki walki. Nauczył mnie życia. Mówił dość dobrze po polsku i nie kazał mówić do siebie „mistrzu”, „shy fu”, tylko po imieniu – Naoki. Tak samo ja później, dla swoich uczniów byłem po prostu Krzysiek. Żadnego „mistrzu”, „trenerze”, tylko Krzysiek.

Przyszedł rok 1968, wydarzenia marcowe. Wyleciałem ze studiów i trafiłem na prawie trzy lata do wojska. To cała osobna historia, opisałem ją w książce „Życie pod wiatr”. Przerwałem treningi po czterech latach. Miałem już spore umiejętności. Gdy wróciłem, w 1971 roku, mój mistrz już wyjechał z Polski. Był dyplomatą i przeniesiono go na placówkę w innym kraju. Ale nie zapomniał o mnie. Czekał na mnie list, w którym nadawał mi stopień 1 Dan. Pierwszy raz w życiu mogłem założyć czarny pas.

Przez jakiś czas nasza kilkuosobowa grupa jego uczniów ćwiczyła nadal, ale stopniowo się wykruszała. W końcu zostałem sam. Trudno się ćwiczy samemu mistrzu Naoki! Ale po coś nadałeś mi czarny pas. Czas założyć własną szkołę walki.

Kung fu po polsku



Kopnięcie boczne, Wang Tek lub Yoko Geri (jap.) w moim wykonaniu. Ok. 1972 roku. Fot. z archiwum K.Ł.

1976 – mój klub

Od trzech lat jestem nauczycielem. Uczę fizyki w liceum, a jednocześnie jeszcze studiuję równolegle matematykę i fizykę. Ta trzyletnia przerwa w życiorysie na wojsko wszystko mi skomplikowała. W 1972 roku musiałem od początku zdawać egzamin wstępny. Władza wydała represyjny przepis dla takich jak ja, którzy po represjach 1968 roku wracali na studia z wojska lub więzienia. Przepis mówił, że po dwóch latach przerwy wszystkie egzaminy są nieważne. Mnie to trafiło jeszcze łagodnie, bo wyleciałem wówczas z pierwszego roku, ale byli tacy, których wyrzucono z czwartego lub piątego. No i ja trafiłem tylko do wojska, a dwaj moi bliscy koledzy, Janek Lityński i Janek Walc, trafili do więzienia. Ja byłem w trakcie wojska aresztowany tylko przez trzy miesiące. Do więzień trafiło wówczas 2700 osób.

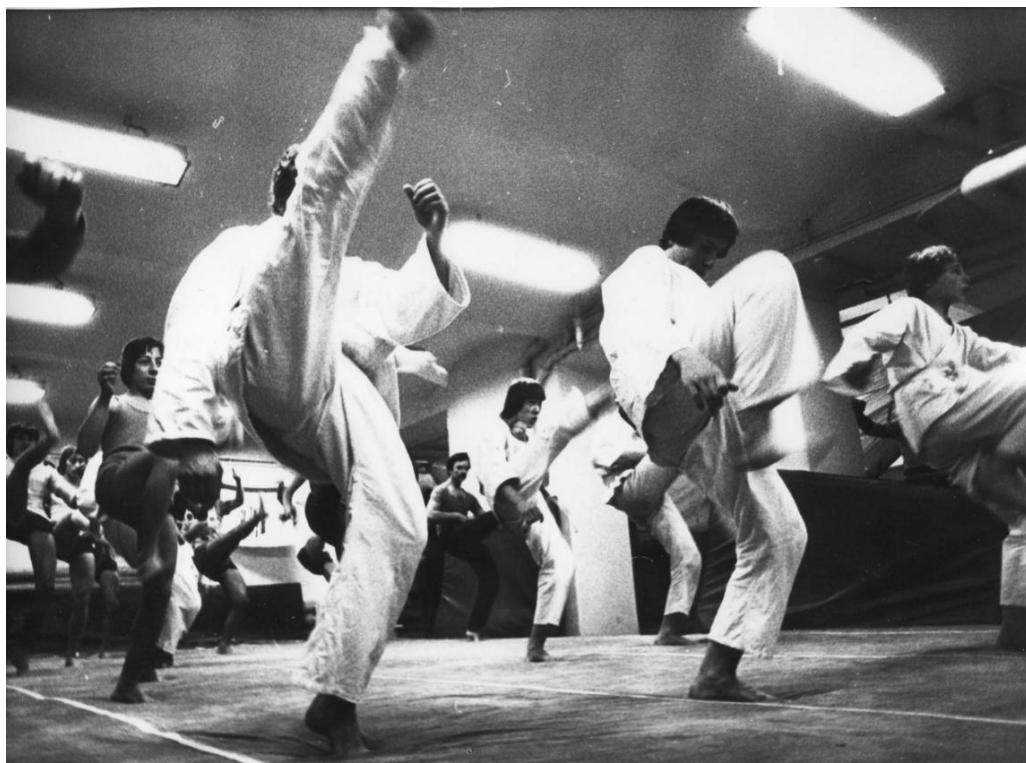
Musiałem nadrobić nie tylko studia, ale i życie. W 1975 roku ożeniłem się i musiałem zacząć zarabiać, stąd praca w szkole. Studia ukończyłem dopiero w 1976 roku. Zrobiło się trochę lżej. Latem mogłem wreszcie pojechać na wyprawę, w Hindukusz. Jesienią założyłem własną szkołę walki.

Nie było to takie proste. Żadne kung fu, ani chińskie, ani japońskie, oficjalnie w Polsce nie istniało. A żyliśmy w kraju, w którym wszystko było państwowe. Założenie, tak jak teraz, prywatnej szkoły walki było po prostu niemożliwe. Wyjściem był TKKF. Na szczęście od pewnego czasu trenowałem równolegle judo w klubie AZS UW, u Romana Kwaterskiego i Staszka Tokarskiego. Miałem od niedawna uprawnienia instruktora judo.

Jeśli ktoś nie może połączyć się w meandrach mojego życia, to go pocieszę: nie jest pierwszy. Moja żona, Miśka, mówiła: Co ty wyprawiasz? Wspinasz się, studiujesz, uczysz, trenujesz dwa sporty walki, fotografujesz... Może kup sobie kozę? Rzeczywiście cały jeden pokój naszego mieszkania na Miodowej zamieniony był w ciemnię, bo właśnie zaczynałem eksperymentować z fotografią barwną, a w drugim pokoju walały się hantle, sztangi, liny i czekany. Rzeczywiście, jak w żydowskim dowcipie, tylko kozy brakowało.

Wracajmy do kung fu. Założyłem w TKKF „sekcję samoobrony”, bo tak się to musiało nazywać, by mogło istnieć. Sekcji kung fu założyć nie mogłem, bo wedle władzy takiej dyscypliny nie było. Sekcji judo też nie mogłem, bo musiałbym mieć błogosławieństwo PZ Judo, a na to musiałbym mieć stopień mistrzowski w judo, którego jeszcze nie miałem. A samoobrona to właściwie nikt nie wie, co to jest. I tym sposobem, pod pozorem sekcji samoobrony, powstał pierwszy klub kung fu w Warszawie.

Tu muszę wyjaśnić, czym się różni klub od „sekcji”, czy „kursu”. Tym, że do klubu się należy niezależnie od tego, czy ma się wyniki, czy się ćwiczy, czy ma się przerwę, czy ma się 60 lat i już się nie da rady. To nie jest tak, jak na „kursie” – zapłaciłeś za, kurs się skończył i do widzenia.



Trening w salce TKKF przy ul. Górczewskiej w Warszawie. 1976 rok. Fot. z archiwum K.L.

Wówczas nie wiedziałem, że nieco wcześniej Grzegorz Ciembroniewicz założył w Krakowie pierwszy klub kung fu w Polsce, tak więc mój był drugi. Różnica była jednak taka, że Krakowiaczy złożyli klub, sprowadzili z Kanady trenera i dopiero zaczęli się uczyć, ja zaś miałem już 1 Dan w Shoriji Kempo i dobre parę lat praktyki.

Dziwne to były czasy. Władza rozumiała sport jako coś, czym można się chwalić na defiladach i paradach i zdobywać medale ku chwale systemu. Ale nie, żeby tam jakieś prywatne fanaberie. Władza w dodatku bała się społeczeństwa i bardzo niechętnym okiem patrzyła na spontaniczne rozwijające się sporty walki. A w tym czasie, równoległe do nas pojawiły się pierwsze kluby karate. W Warszawie prowadzili takie kluby Aleksander Trofimow i Marek Stefaniak. Władza co raz wpadała na pomysły, by nas wszystkich rejestrować jako potencjalnie niebezpiecznych dla systemu. No i co raz wpadała na pomysły, by nasze kluby pod jakimś pretekstem rozwiązać.

„Jak student rzuca w milicjanta kamieniem, to sobie poradzimy, ale żeby student jakiś karaty ćwiczył, to na to władza ludowa zgodzić się nie może!” – miał ponoć grzmieć Towarzysz Urbanowicz. Zresztą o tym, jak władza myślała o sporcie i o wolności świadczył pewien incydent.

W „Życiu Warszawy” ukazała się notatka, że na Polu Mokotowskim wieczorami ktoś biega, z sugestią, że jest to coś niebezpiecznego. Kilka dni później kolejna notatka:

tajemniczego biegacza złapano!!! Okazało się, że to docent z Politechniki, który biega dla zdrowia.

TKKF pozwolił mi założyć sekcję, ale nie miał zamiaru mi płacić za pracę trenera. Zresztą ja wcale pieniędzy za swoją działalność nie oczekiwałem. Moimi pierwszymi uczniami byli głównie uczniowie ze szkoły, w której uczyłem fizyki i ich koledzy. Od początku ustanowiłem takie zasady, jakich nauczył mnie mistrz Naoki. Żadnego przechwalania się, żadnych napisów kung fu na torbach, żadnych bójek. I naprawdę za złamanie tych zasad twardo z klubu wywalałem.

Początkowo treningi odbywały się w budynku TKKF przy ulicy Górczewskiej, w dwóch małych salkach, z których jedna wyłożona była matą, ale nie porządną matą tatami, tylko gimnastycznymi materacami przykrytymi plandeką. Warunki więc były spartańskie. Poza treningiem kung fu prowadziliśmy też zajęcia z judo (dla tych samych grup). Judo prowadziłem ja i Jurek Bielenin, który był zawodowym trenerem judo i, tak jak ja, taternikiem. Na tym etapie używaliśmy japońskich nazw technik walki, bo prawdę mówiąc chińskich jeszcze nie znałem (w shorinji kempo używa się nazw japońskich).

Wkrótce okazało się, że te małe salki na Górczewskiej są niewystarczające, bo chętnych do ćwiczeń przybywało. Zaczynała się moda na orientalne sztuki walki. Zaczynaliśmy wynajmować szkolne sale gimnastyczne, załatwiane po znajomościach, bo na płacenie za wynajem nie mieliśmy pieniędzy. Treningi prowadziłem tak, jak się nauczyłem. Pot lał się po ścianach.

Brak własnego obiektu, własnej Sali, owocował tym, że jednego dnia miewaliśmy treningi w dwóch lub trzech miejscach i prowadzący musieli się szybko przemieszczać. Najczęściej służył do tego Fiat „Maluch” jednego z kolegów. Kiedyś pobiliśmy swoisty rekord. W jednym „Maluchu” upchnęliśmy się w sześciu, plus kije, halabarda, włócznia i dwie szable.

O nienormalności tamtych czasów świadczy taki fakt. Klub Judo AZS UW „Asahi”, w którym ćwiczyłem, starał się o porządną matę tatami, bo też, jak u mnie na Górczewskiej, ćwiczyliśmy na gimnastycznych materacach. Władze AZS powiedziały Staszкови Tokarskiemu, że tatami dostaniemy, jak pójdziemy w judogach na pochód pierwszego maja. Nie, jak będziemy mieli wyniki, tylko jak pójdziemy na pochód. Zimno było jak cholera, dziewczyny nam się pozaziębiały, ale tatami dostaliśmy. PRL był takim krajem, w którym coś normalnego było ekstra wydarzeniem.

Trudne czasy

Już w drugim roku działalności pojawiły się kłopoty. Najpierw z kierownikiem ośrodka TKKF, który miał, delikatnie mówiąc, inne podejście do sportu, niż ja. Po pierwszym roku działania klubu oświadczył mi nagle:

– Wie pan co? Mam inną propozycję. Tę sekcję zamkniemy, a pan poprowadzi gimnastykę dla kobiet. To bardziej dochodowe i będzie pan miał ładne dziewczyny...

– Ładnych dziewczyn mi nie brakuje, nie idę na to.

– No to pana zwalniam.

Odwołałem się do „wyższej instancji” i wygrałem. Ja zostałem, a kierownik nie. Ale to była dopiero przygrywka.

Nagle dostaję wezwanie do prokuratury Warszawa Wola. Myślałem, że chodzi o politykę, bo przecież byłem podpadziochem z marca 68, a ostatnio zacząłem się angażować w kolportaż „Biuletyny Informacyjnego” KOR (Komitetu Obrony Robotników). Ale nie o to szło.

W gabinecie było dwóch mężczyzn. Jeden przy biurku, a drugi z tyłu na krześle. Zaczął ten pierwszy:

– To, ile wy na tym zarabiacie?

– Nie wiem jacy „wy”, bo ja jestem jeden i mówi się do mnie „proszę pana”.

– Wy mi się tu kurwa nie stawiajcie!

– Jak chce pan rozmawiać z kurwą, to proszę ją wezwać, a do mnie się mówi na „pan”.

Drugi facet, widząc, że ten styl nie ma sensu, przerwał:

– Spokojnie towarzyszu – i do mnie – Ile pan na tym zarabia?

– Tyle co każdy nauczyciel w liceum, dwa tysiące (ciągle jeszcze uczyłem fizyki w szkole).

– Nie o to chodzi, O te treningi. Ile pan na tym zarabia?

– Nic.

– Jak to nic?

– Tak, że nic.

– To za darmo pan pracuje?

– Za darmo.

– Ale uczestnicy za zajęcia płacą.

– Płacą ognisku TKKF, a nie mnie.

– To po co pan to robi?

– Bo lubię. Lubić chyba wolno.

Facet zamilkł na chwilę.

– Bo wicie, my mamy doniesienie, od komisji do spraw karate.



Podczas ćwiczeń na siłowni. Ok. 1975 r. Fot. Jadwiga „Miśka” Łozińska

Przyznam, że zbaraniałem. Jakiej komisji? Co ma wspólnego ze mną jakaś komisja do spraw karate? Jakie doniesienie?

Okazuje się, że pięciu panów, Andrzej Drewniak, Janusz Gutkowski i Jacek Grochowski z karate Kyokushin, Leszek Drewniak z karate Shotokan oraz dziennikarz sportowy Janusz Świerczyński, założyli sobie Komisję do Spraw Karate, ciało doradcze przy zarządzie TKKF i ta komisja „wybrała style karate, które wolno w Polsce ćwiczyć”. Oczywiście te, które sami ćwiczyli. To nic, że jakaś komisja doradcza przy TKKF uzurpuje sobie kompetencje sejmu i uważa, że może ustanawiać prawo, zupełnie jakby pięciu panów przy piwie ustaliło, że zielonymi samochodami jeździć nie wolno, bo oni jeżdżą czerwonymi. Ale co ma do mnie komisja karate? Ja nie trenuję karate, tylko kung fu. Okazuje się, że wiedza tych panów na temat sztuk walki była tak głęboka, że nie odróżniali kung fu od karate. Ale było i drugie dno. Ja byłem dysydentem, a oni byli partyjnomilicyjni po uszy. Andrzej Drewniak był judoką z Wisły Kraków (Gwardyjski Pion Sportowy MSW) i oficerem milicji, Leszek Drewniak brał udział w bojówce ZMS-u, która

napadła na mieszkanie Jacka Kuronia bijąc Adama Michnika i Henryka Wujca. Janusz Świerczyński był zaś dziennikarzem sportowym z Dziennika Telewizyjnego, redakcji niemal ręcznie sterowanej z KC PZPR.

Problem był więc poważny, bo choć to gremium miało władzę wyłącznie na zasadzie uzurpacji, ale przez powiązania z partią i bezpieką mogło dużo. Sytuacja wymagała ode mnie bardzo zręcznego manewrowania. To przesłuchanie skończyło się niczym. Prokurator w końcu odpuścił. Donos o „nielegalnej sekcji TKKF” nawet jemu wydał się absurdalny. Ale to był dopiero początek.

Wkrótce szkoły zaczęły nam wypowiadać sale treningowe. Załatwialiśmy następne, ale zawsze przy takiej zmianie adresu wykruszała się część ludzi.

Przykładowy manewr tej „komisji” wyglądał tak: Wynajmowaliśmy salę należącą do domu dziecka przy ulicy Mostowej. Tę samą salę, w innych godzinach, wynajmowała sekcja Kyokushin Janusza Gutkowskiego. Dyrektor domu dziecka „został powiadomiony”, że nasza działalność jest „nielegalna”. Zwrócił się z pytaniem do zarządu TKKF. Zarząd TKKF skierował pytanie do w/w komisji, a w jej imieniu odpowiedział dyrektorowi Janusz Świerczyński. Tą metodą donos był weryfikowany przez tych samych ludzi, którzy go złożyli. Oczywiście salę straciliśmy.

Konflikt był nie tylko na poziomie walki o sale treningowe, których był deficyt. Różniliśmy się skrajnie w sprawach podstawowych. Ja zabraniałem przechwalania się i popisywania. Podobnie postępowali Alek Trofimow i Marek Stefaniak. Natomiast narracja głoszona przez ludzi Kyokushinu była wręcz odwrotna. Słyszeliśmy, że ich mistrz Masutasu Oyama wszystkich pobił, wszystkich zabił, że pokonał w walkach na śmierć i życie wszystkich mistrzów, wszystkich stylów i tym podobne bzdury. Miał ponoć być w Chinach i pokonał wszystkich mistrzów kung fu. Na mój gust mistrzów kung fu jest w Chinach jakieś pięć milionów lub więcej, więc musiał się biedny Oyama napracować.

Ale była i rzecz gorsza. To środowisko było agresywne. To była nowość, bo dotąd nikt nikomu nie bruździł. Z Alkiem Trofimowem byłem nawet zaprzyjaźniony. Natomiast od ludzi z Kyokushinu cały czas słyszeliśmy, jak to oni wszystkich pobili i niemal zabili, a w ogóle to u nich są „najlepsze techniki”, zaś inne style są nic nie warte. To był oczywisty absurd, bo techniki walki nie są lepsze i gorsze, tak jak w gimnastyce, lub tańcu, nie ma lepszych i gorszych ruchów. Zresztą techniki Kyokushinu są dokładnie te same, co we wszystkich stylach karate.

Pod koniec lat 70. Alek Trofimow sprowadził do Kina Polonia na jednorazowy pokaz film z Brusem Lee „Wejście smoka”. Na pokaz zwałił się taki tłum młodych ludzi, że wezwane do ochrony kina ZOMO poległo i zwało. Dopiero połączone siły naszych klubów opanowały sytuację (kilka lat później ten film wszedł normalnie do kin). Zaczęła się moda na kung fu.

Tu wyjaśnienie pewnego mitu. Bruce Lee nie był „mistrzem kung fu”, „Twórcą kung fu” (miałby żyć od paru tysięcy lat) i nie „zginął od ciosu, który sam propagował”, jak głosili niektórzy. Bruce był obywatelem USA, amerykańskim aktorem grającym w filmach walki. Trzeba przyznać, że wykonywał techniki bardzo dobrze i szybko.

K u n g f u p o p o l s k u

Ale to wszystko. Nie zginął też od żadnego ciosu, tylko zmarł z powodu alergicznej reakcji na leki. A tytułowanie go „mistrzem kungfu z Hong Kongu” to typowe (i niestety powszechne) mylenie fikcji filmowej z rzeczywistością. Z Hong Kongu była wytwórnia filmowa, a Bruce mieszkał w Hong Kongu i USA.



Technika „Latający smok uderza ogonem” w moim wykonaniu. Ok. 1979 r. Fot. Stanisław Filipowski



Kadr z filmu Janusza Kijowskiego „Kung Fu”. Na pierwszym planie Stanisław Tokarski. W głębi my. Ja pośrodku w czarnym stroju

W 1979 lub 1978 roku dostałem kolejne wezwanie do prokuratury. Tym razem usłyszałem „zarzut”: „podważanie mecenatu państwa w sporcie”. Zapytałem, jaki to artykuł kodeksu karnego. Usłyszałem, że „działanie na szkodę PRL”. Przez pewien czas nic się nie działo, aż przyszło lato 1980 roku. W całej Polsce zaczęły się strajki. Sprawa, jak to się mówi, zdechła. Ani nie została umorzona, ani nie była kontynuowana. Pomyślałem, że strasznie słaby ten PRL, skoro sport może go „podważyć”.

To wezwanie było krótko po tym, gdy Staszek Tokarski i ja, z moimi uczniami, wystąpiliśmy w filmie Janusza Kijowskiego „Kung Fu”. Ten film wcale nie był o kung fu, tylko o ludziach przeciwstawiających się władzy, ale były w tym filmie przerywniki z naszych ćwiczeń. Dokładnie pierwsze ujęcie tego filmu, to moja twarz podczas treningu.

Film miał początkowo mieć tytuł „Samoobrona”, ale nie zgodziła się cenzura, więc Janusz Kijowski zmienił tytuł na „Kung Fu” i przeszło, bo cenzor nie wiedział co to jest.

W latach 1976–1979 zaliczyłem w międzyczasie cztery wyprawy w góry wysokie. Dwie pierwsze w Hindukusz Afgański, trzecią brytyjską (byłem jedynym Polakiem) na Tirich Mir w Pakistanie, czwartą w Himalaje Kaszmiru, którą kierowałem. Wszedłem na tych wyprawach na 7 sześcio- i siedmiotysięczników.



Prowadzę trening w sali baletowej Teatru Wielkiego. 1980 rok. Fot. Mira Filipowska

Sytuacja zmieniła się w 1980 roku. Zostałem działaczem „Solidarności” i otrzymałem wsparcie związku. Przez rok prowadziłem treningi w sali baletu w Teatrze Wielkim. Wynajmowaliśmy też bez problemów sale w szkołach. Wcześniej, w 1989 roku, dałem pokaz naszej szkoły w programie drugim telewizji, razem ze Staszkiem Tokarskim, który zrobił pokaz judo. Wykonałem dwie formy: „Formę Tygrysa” i „Trójkąt Siły”. Dziś żałuję, że nie zadbałem o dokumentację, o nagranie. To gdzieś w archiwach TVP zapewne jest, ale archiwista musiałby bardzo chcieć to znaleźć, bo nie potrafię nawet podać nazwy programu. Wiem tylko, że to był cykliczny program prowadzony przez

kobietę i złożony z kilku oddzielnych zupełnie różnych tematów. Ale jak się nazywał i kiedy (data) był wyświetlony?

Żałuję, bo zrobiłem te formy tak, że widzom szczęka opadła i wiem, że już nigdy nie zrobię tak formy, a teraz to już w ogóle żadnej formy nie zrobię. Ale tak już jest. Człowiek później żałuje, że czegoś nie zapisał, że nie zrobił jakiegoś zdjęcia... Ale nie zrobił, to nie zrobił i po ptokach.

Forma, po japońsku kata, to pewien stały układ technik walki, wykonywany zawsze w tej samej kolejności.

Byłem bardzo zaangażowany w Solidarność i gdy przyszedł stan wojenny kłopoty zaczęły się na ostro. Najpierw ogłoszono całkowity zakaz zgromadzeń, w tym zajęć sportowych. Oczywiście natychmiast straciliśmy wszystkie sale treningowe. Zaczęliśmy „nielegalnie” ćwiczyć na dworze, co nie było zbyt wygodne, bo była dosyć mroźna i śnieżna zima. Kilku naszych chłopców urządziło sobie salkę treningową w piwnicy. Dali się podejść ekipie telewizyjnej „Dziennika”. Reporter udając przyjazny reportaż ich sfilmował, po czym poszło to z komentarzem, jak to „wrogowie ludu” się zbroją i WRON (Wojskową Radę Ocalenia Narodowego) chcą obalić. Zaraz po tym nadano reportaż z treningu sekcji karate Shotokan Leszka Drewniaka pod tytułem „Tacy jak Bruce Lee”.

Ale to były jeszcze pieszczoty. Prowadzenie klubu w takich warunkach wymagało ciągłego kombinowania. Mnie początkowo udało się uniknąć internowania, ale 8 czerwca 1982 roku zostałem aresztowany. Wraz ze mną wpadła grupa podziemia złożona w dużej części z instruktorów kung fu. Klub po prostu rozpadł się na kawałki. Część przejął Staszek Filipowski, drugą część Piotr Osuch i Jacek Świątkowski. Wszyscy trzej mieli już stopnie mistrzowskie.

Ja wyładowałem w areszcie śledczym na 8 miesięcy. Pierwszego dnia, podczas bardzo brutalnego przesłuchania, kapitan oddziałów specjalnych milicji, Jerzy D. (obecnie „ekspert” telewizyjny od terroryzmu, wojny, samoobrony, uprawy truskawek, wypieku ciastek i wszystkiego innego na czym też się nie zna) przystawiał mi do głowy nabity i przeładowany pistolet, grożąc przy tym zastrzeleniem, torturami i wszystkim, co tylko wymyślił. [Gdyby pan kapitan raczył zaprzeczać, to w IPN i aktach sądowych znajdują się stosowne dokumenty]. Ten pan był też bardzo ochoczy i aktywny w rozbijaniu strajków na początku stanu wojennego, o czym dziś bardzo nie chce pamiętać. Czemu ten szczegół wspominam, okaże się dalej.

Po wyjściu z więzienia byłem strasznie słaby. Musiałem przez kilka miesięcy wracać nawet nie do formy, tylko do normalności. Zajęcia prowadzili już Piotr i Jacek. Prawie rok pobytu w pomieszczeniach o wymiarach 6x3 metry i spacerniaku 7x7 metrów, a mur 6 metrów, zrobiło swoje. Kryminalni mówili, że „ten trzeci pawilon w Mokotowie to przejebana instytucja”. I słusznie. „W Mokotowie”, czyli Rakowiecka 37a, bo w Warszawie „w Mokotowie” się siedzi, a na Mokotowie się mieszka. Treningi prowadzili już Jacek i Piotr. Ja nawet w końcu powróciłem do względnej formy, ale zajęło mi to dwa lata.



Tomek Rybotycki wykonuje formę z dwiema Szablami Dziewięciu Obręczy. Mistrzostwa świata w stylu Hung Gar w Warszawie, 2004 rok. Fot. Krzysztof Łoziński

Gdy siedziałem w więzieniu, władza powołała Polski Związek Karate i niemal dekretem, nie pytając nikogo o zdanie, wszystkich nas do niego zapisała, do takiej „Komisji innych sztuk walki”, czy jakoś tak. Oczywiście nie chodziło o to, by nam pomóc, tylko odwrotnie, by mieć nad nami kontrolę.

Pod moją nieobecność Piotr i Jacek przenieśli nasz klub do ogniska „Błyskawica” na Pradze północ, w takiej dzielnicy, że „bez łoma nie wychodzisz z domu”. Staszek Filipowski wyemigrował do Kanady, gdzie mieszka do dziś.

Lokalizacja klubu na Pradze północ miała swoje uroki, takie jak ciągłe kontakty ze środowiskiem praskich meneli, którzy po prostu przejść obok nas spokojnie nie mogli.

Na przykład pewnego dnia dwaj nasi zawodnicy, idący na trening na ul. Namysłowskiej, zostali zaczepieni przez dwóch podpitych jegomości. Jeden był bardzo agresywny, a drugi, trzeźwiejszy, go odciągał: „Jasiu, to są kungfiarze, oni cię strasznie napierdolą”.

Parę razy jakiś menel odgrażał mi się, z pewnej odległości oczywiście:

– Ja cię znajdę!

– Co masz szukać? Podam ci adres. Masz na czym zapisać?

I jakoś żaden nie chciał zapisać.



Forma z dwoma szablami Tao. Mistrzostwa świata w stylu Hing Gar w Warszawie, 2004 rok. Fot. Krzysztof Łoziński

W „Błyskawicy” poza nami byli jeszcze kulturyści, spośród których major Edward Misztal rekrutował ludzi do Oddziałów Specjalnych Milicji. Między innymi podwładnych kapitana Jerzego D. Kulturyści do specjalnych akcji i „antyterroryzmu” się kompletnie nie nadawali, ale świetnie się sprawdzali do bicia na przesłuchaniach i generalnie bicia. Oczywiście nie wszyscy kulturyści brali w tym udział. Większość po prostu ćwiczyła i z działalnością majora i kapitana nie miała nic wspólnego.

Jednym z wyczynów podwładnych majora Misztala był napad na Prymasowski Komitet Pomocy Internowanym w Kościele Św. Marcina na Pivnej, wywiezienie tych ludzi do lasu i pobicie.

„Do najbardziej drastycznej formy przeciwdziałania aktywności Komitetu doszło 3 maja 1983, kiedy to nieumundurowani funkcjonariusze oddziałów specjalnych MSW dokonali najścia na pomieszczenia Komitetu w klasztorze. Zdemolowano lokal, niszcząc zagraniczne leki (trudno dostępne w owym czasie), uprowadzono i pobito sześciu opozycjonistów (m.in. *Łukasza Kądziałę*, *Wojciecha Sawickiego*, *Jacka Sieradzkiego* i *Włodzimierza Żarneckiego*). Ponadto pobito *Barbarę Sadowską* i dlatego na pogrzebie swojego syna *Grzegorza Przemyska* miała rękę na temblaku. Z dokumentów *Śłużby Bezpieczeństwa* wynika, że akcją oddziału antyterrorystycznego ZOMO kierowali *Edward Misztal* i *Janusz Smuga*.” (Wikipedia).

Mniej więcej po dwóch latach odbyła się wielka uroczystość, ileś tam lecie „Błyskawicy”. Zrobiliśmy z tej okazji pokaz naszych umiejętności. Po pokazie major Misztal zaproponował mi, bym szkolił jego ludzi. Odmówiłem.



Set sparring – forma wykonywana przez dwie osoby, taka układana walka. Mistrzostwa świata w stylu Hung Gar w Warszawie, 2004 rok. Fot. Krzysztof Łoziński

– Pieniądze nie grają roli – powiedział na to Misztal.

– Nie chodzi o pieniądze, ale o to, że milicja do robotników strzela – odparłem. Miałem jeszcze świeżo w pamięci śmierć górników z Kopalni „Wujek”.

– No, z tym strzelaniem to nie tak było.

– Było tak, że ludzie byli żywi, a są martwi.

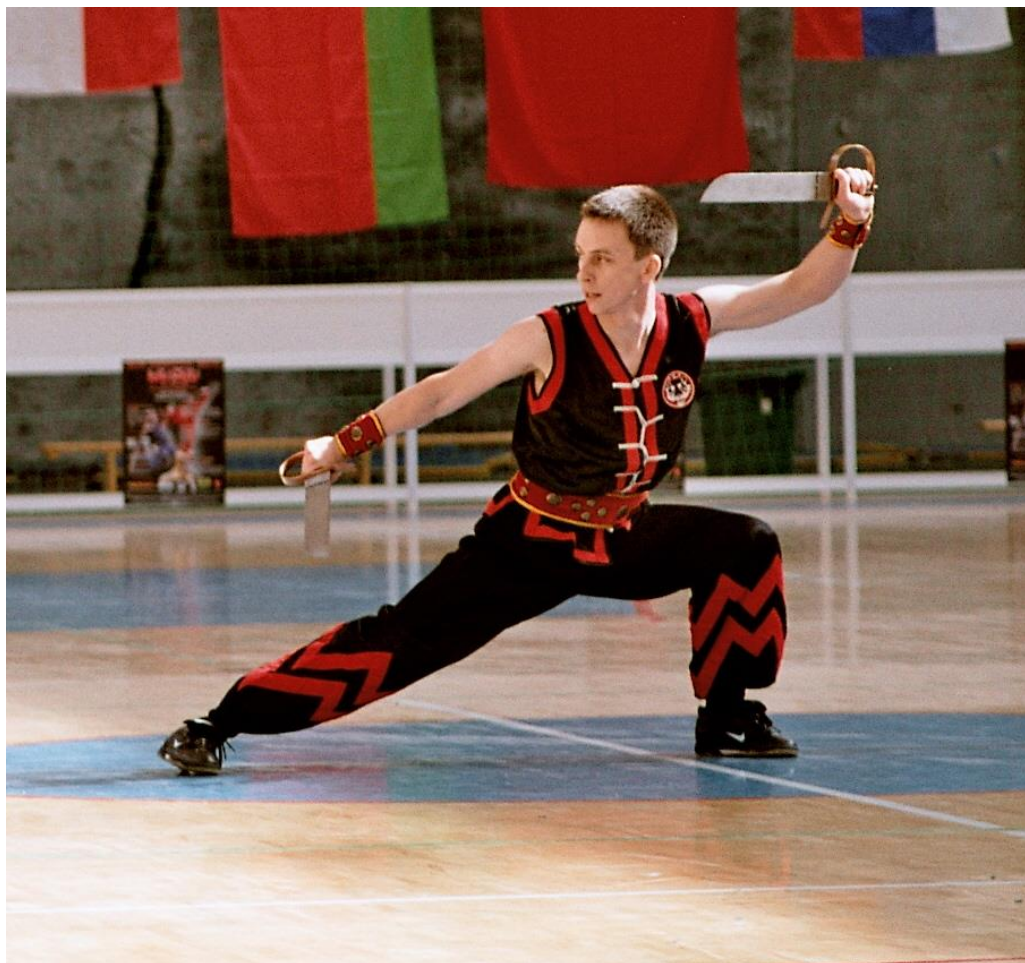
Po pewnym czasie, jeden z naszych dał się skusić. Wyrzuciłem go z klubu. Później wycofał się z tej działalności i przeproszał. Przyjąłem go z powrotem. Historycznie kung fu ćwiczone było w tajnych stowarzyszeniach. Stąd wywodzi się zasada: nie szkolimy wojska i policji. A ja jeszcze miałem dodatkową motywację. To chyba oczywiste.

W 1987 roku pokierowałem wyprawą w Himalaje Nepalu i zdobyłem kolejny szczyt. W następnych latach 1987-89 spędziłem sporo czasu w Indiach, Singapurze, Chinach itp. Ale to odrębna historia.

Powrót do normalności

Z tej całej „wojny polsko-jaruzelskiej” powoli wychodziło powietrze. Życie normalniało. Pojawiły się kolejne ośrodki kung fu (Poznań, Trójmiasto) i tacy mistrzowie jak Darek Muraszko, Sławek Pawłowski, Roland Józefowicz, Janusz Szymankiewicz i inni. W tworzenie stylu Ving Shun zaangażowali się Janusz Szymankiewicz i Marek Stefaniak, który był jednym z twórców polskiego karate. Pojawiła się szkoła Andrzeja Braksala, który wcześniej nie trenował kung fu. Po prostu ukończył AWF i zabrał się za prowadzenie zajęć. Środowisko zaczynało się integrować. Nawiązaliśmy kontakty z Krakowiakami od Grzegorza Ciembroniewicza i z ludźmi z Pszczyny (Jan i Józef Brudni, Józef Sosna). Wybaczcie, że nie wymieniam wszystkich, ale piszę tak, jak pamiętam. W końcu to moje opowiadanie, a nie wykład z historii.

W końcu spotkaliśmy się po raz pierwszy wszyscy, w Warszawie. Zaczęliśmy tworzyć podstawy własnego związku. Trzeba tu jeszcze wspomnieć o Wietnamczykach. Nie jest prawdą, że Wietnamczycy założyli kung fu w Polsce, ale jeden z nich odegrał istotną rolę. Był nim Nam. Dokładnie nazywa się Bui Ngoc Nam i prowadzi obecnie jedną z poważniejszych szkół walki, znaną jako „Szkoła Nama”. Nam przez pewien czas, w latach 70-tych, prowadził część treningów w moim klubie. Ukrywał się przed wietnamską bezpieką, która chciała go wysłać do sadzenia ryżu, a mógł zarabiać tylko ucząc kung fu. Na prośbę kolegów umożliwiałem mu prowadzenie odpłatnych zajęć z zakresu Tai Chi. Sam uczestniczyłem w tych zajęciach, bo na sali musiał być ktoś z uprawnieniami instruktorskimi, a Nam miał tylko nieważny już wietnamski paszport. Później, już po przemianach w Polsce, koledzy zdołali załatwić mu polskie obywatelstwo. Ostatecznie wietnamska komuna do sadzenia ryżu go nie wysłała.



Forma z dwoma nożami motylkowymi. Mistrzostwa świata w stylu Hung Gar w Warszawie, 2004 rok. Fot. Krzysztof Łoziński

Po 1989 roku dosyć szybko założyliśmy własny Polski Związek Kung Fu – Wu Shu. Związek parę razy zmieniał nazwę. Obecnie od 2002 roku nazywa się Polski Związek Wushu. Ale ja już w te ramy organizacyjne się nie angażowałem.

W 1991 roku napisałem jeszcze z Jackiem Świątkowskim i Piotrem Osuchem książkę: „Hung Gar Kung Fu – Potęga Południowej Pięści”. Jest to podręcznik techniczny stylu Hung Gar.

Po raz pierwszy uzyskaliśmy możliwości większego otwarcia się na kontakty zagraniczne. Moi uczniowie zaczęli uczestniczyć w międzynarodowych zawodach. I okazało się, że reprezentujemy całkiem niezły poziom. Piotr Osuch zdobył złoty medal w Turnieju Klasztoru Shaolin, zawodach wprawdzie nie będących mistrzostwami świata, ale będących w randze mistrzostw świata. A później już poszło. Stopniowo pięciu zawodników wywodzących się z mojego klubu zdobyło złote medale na mistrzostwach

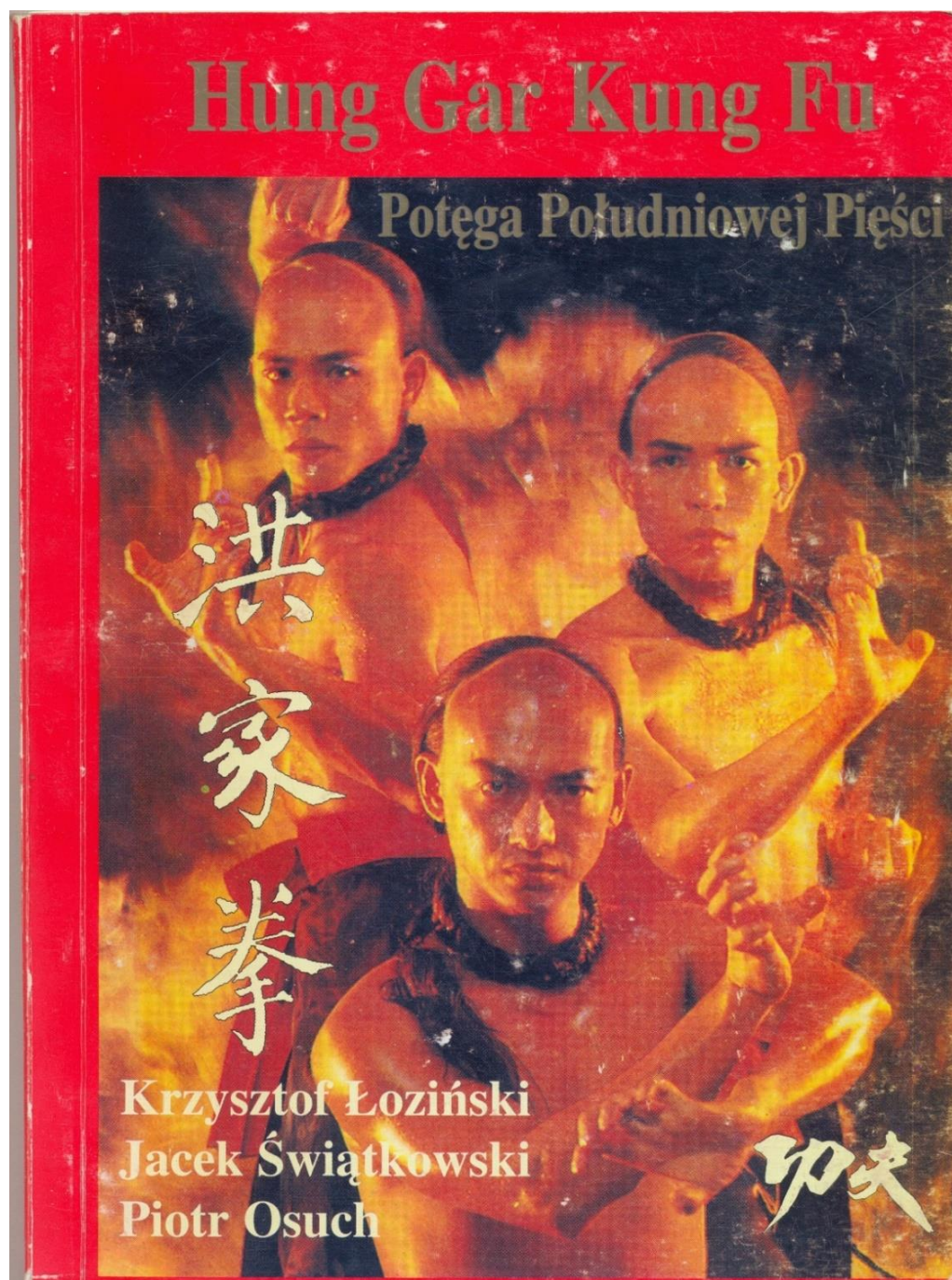
świata. Byli to Piotr Osuch, Jacek Świątkowski, Ernest Szybowski, Piotr Leszczyński i Tomasz Rybotycki. Srebrny medal zdobył też Leszek Kózka.



Pierwsze spotkanie klubów kung fu z całej Polski w Warszawie. Siedzę drugi z prawej w drugim rzędzie. W trzecim rzędzie klęczą od prawej: Jacek Świątkowski, Leszek Gago, Piotr Osuch. Za Leskiem Gago Leszek Kózka. Konia z rzędem temu, kto rozpozna wszystkich

Ja wycofałem się już z prowadzenia zajęć, z powodu wieku i nadmiaru innych życiowych atrakcji. Ale jeszcze dobre parę lat trenowałem.

W pewnym momencie powstał problem formalny. Nie miałem żadnego dokumentu potwierdzającego mój stopień mistrzowski, bo prywatny list mistrza Naoki trudno uznać za dokument. Początkowo zarząd Polskiego Związku Kung Fu – Wu Shu wystawił mi zaświadczenie, pod którym podpisało się czterech mistrzów świata, zarazem moich uczniów. Powstała sytuacja absurda. Ja, pierwszy Polak, który miał czarny pas w kung fu, przez którego treningi przewinęło się parę tysięcy ludzi, musiałem udowadniać, że mam stopień mistrzowski. W końcu mój uczeń, Jacek Świątkowski, wystawił mi oficjalny certyfikat mistrzowski. Joanna Cieśla w „Polityce” napisała, że uczeń nadał mistrzowi stopień. Brzmiało to komicznie, ale to nieprawda. Jacek nie nadał mi stopnia, tylko wystawił mi potwierdzający stopień dokument.



Okladka naszej książki, podręcznika technicznego stylu Hun Gar



Piotr Osuch z żoną i polsko–chińskimi dziećmi odwiedził mnie po latach u nas na Mazurach. Fot. Krzysztof Łoziński

No cóż, nastały czasy normalne. Moi uczniowie prowadzą własne szkoły walki i mieszkają w różnych miejscach, Jacek w Polsce, Piotr w Pekinie i w Polsce, Staszek Filipowski w Kanadzie. Dzisiejsze młode pokolenie o mnie nie pamięta. Działalność w czasach normalnych to już nie dla mnie.

Pojawiły się nowe zjawiska, MMA, Krav Maga, czyli mordobicia podwórkowe, bez żadnej techniki i bez sensu. To nie mój świat. Dla mnie sztuka walki była w pierwszej kolejności SZTUKĄ, a dopiero w dalszej, walką. Sztuką, czyli pięknem ruchu, precyzją i sprawnością. Bliżej gimnastyki niż bijatyki.

Jednym z ostatnich moich bojowych występów było obezwładnienie nożownika, który zaatakował mojego kolegę. Jeden z kolegów, Piotr Kosiński, zdołał gościa przytrzymać, ja złapałem go za rękę z nożem i rzuciłem na tai otoshi. Oddaliśmy faceta policji. Jeden z moich kolegów mawiał: pomóż komuś, będziesz miał wroga, uratuj mu życie, będziesz miał wroga śmiertelnego. I tak się stało. Gdy sprawę opisała Gazeta Wyborcza, spadła na mnie fala hejtu. Najbardziej znienawidził mnie ten, którego uratowałem. Facet uderzył go nożem w szyję, ale nie trafił w tętnicę. Nie poprawił, bo złapałem go za rękę.

Papierosy

W moim pokoleniu niemal wszyscy palili papierosy. Wielu sportowców też. Świadomość szkodliwości palenia istniała głównie teoretyczne. Ja zacząłem palić dość

późno, dopiero w wojsku. W szkole byłem jednym z niewielu niepalących, ale jako główny podpadzioch byłem też głównym podejrzanym o palenie. W wojsku było inaczej. W czasie zajęć, była przerwa na papierosa, a kto nie palił, to zaraz dostawał „rejonik”, to znaczy jakąś pracę. Opłacało się palić. Przez dłuższy czas paliłem nie zaciągając się. Znajomy lekarz sportowy pytał, czy palę. Mówiłem: palę, ale się nie zaciągam. A on na to: a ja nie palę i się zaciągam. Myślałem, że to żart, ale uświadomił mi, że on, chcąc nie chcąc, zaciąga się moim dymem.

Zacząłem, jak wówczas wszyscy, od „Sportów”, później przeszedłem na „Extra Mocne” bez filtra. Paliłem coraz więcej, aż doszedłem do czterech paczek (80 papierosów) dziennie. Odpalałem jednego, od drugiego. Paliłem w czasie wspinaczki, odpalając jednego papierosa od drugiego. Koledzy żartowali, że niosę święty ogień przez drogę. Paliłem w Tatrach i w Alpach. W górach wysokich nie paliłem od bazy w górę i w bazie. Ale w karawanie, to czemu nie?

W mieście nie paliłem podczas treningów, ale przychodziłem na trening paląc po drodze i zapalałem papierosa zaraz po wyjściu. Moim nieszczęściem była moja, chyba wrodzona, duża odporność fizyczna. Miałem albo morderczy trening, codziennie 4-6 godzin, albo góry i też duży wysiłek. Nie miałem kiedy osłabnąć. Uważałem, że papierosy mi nie szkodzą. Gdy przekroczyłem już czterdziestkę i trenowałem mniej, poszedłem na badania przed wyprawą, takie rutynowe badania w przychodni sportowej. Miałem jakoś nieco gorszą spirometrię, ale jeszcze się nie przejąłem.

Podjąłem próbę solowego wejścia na Cho Oyu od strony tybetańskiej. Chciałem mieć jakiś ośmiotysięcznik, bo wprawdzie miałem już sporą kolekcję dużych gór, ale ani jednego ośmiotysięcznika. No i góra mnie pokonała. Doszedłem do 7780 m i zawróciłem. Syn spytał mnie niedawno, czemu zawróciłem tak blisko szczytu. Temu, że zawsze trzeba pamiętać, by zachować siły na zejście, bo zejście bywa większym wysiłkiem, niż wejście. Dalsze parcie w górę, gdy się słabnie, może się skończyć pozostaniem w lodzie na zawsze. 350 metrów na Mazurach, to blisko. Tyle mam po przekątnej mojego ogrodu. Ale w okolicy ośmiu tysięcy, to cholernie daleko.

To było kolejne ostrzeżenie: słabniesz chłopie!

Za jakiś czas poszedłem na kolejne badania. Dmucham w spirometr i mówię: zaciął się! A lekarz: nie zaciął się. Nagle zobaczyłem, że zmalała mi pojemność płuc. Od tej pory nie zapaliłem ani jednego papierosa. Myślałem, że problem mam z głowy.

Jakieś dziesięć lat temu zauważyłem, że przy szybkim marszu tracę oddech. Zatyka mnie. Poszedłem na porządne badania. Rozpoznanie POChP – Przewlekła Obturacyjna Choroba Płuc. Choroba postępująca i nieuleczalna. W tej chwili mam już Przewlekłą Zaporową Chorobę Płuc. Dołożyło się ciężkie zapalenie płuc 5 lat temu i COVID-19 dwa lata temu. W tej chwili mam tylko ok. 30% pierwotnej wydolności płuc.

Nie zostałem pokonany w górach, na ringu, na macie. Pokonały mnie papierosy. Ale nie martwcie się. Jeszcze trochę pożyję, jeszcze coś narozrabiam.



W Tatrach z papierosem. Lata 70-te. Fot. Jadwiga "Miśka" Łozińska



Forma z mieczem. Mistrzostwa świata w stylu Hung Gar w Warszawie, 2004 rok. Fot. Krzysztof Łoziński

Post scriptum. Trudno jest opisać krótko ponad 40 lat życia. Proszę nie gniewać się, jeśli kogoś pominąłem, o kimś nie wspomniałem. To nie jest wartościujące. To jest opowiadanie, a nie praca historyczna. Nie grzebałem w archiwach, piszę tak, jak pamiętam.

Ciężkie boje w Dolinie Ciężkiej



Widok na Dolinę Ciężką i Ciężki Staw z progu Doliny Spadowej. Fot. Krzysztof Łoziński

Ciężkie boje w Dolinie Ciężkiej

Od trzech dni tkwimy w kolebie w Dolinie Ciężkiej. Pada deszcz. A, żeby tylko padał. Leje.

Tkwimy we trzech w ciasnej kolebie pod kamieniem, Janek Hobrzański, Andrzej Widmański i ja. Z nudów wymyślamy przysłowia o laniu.

„Lejesz z wozu koniom lżej”;

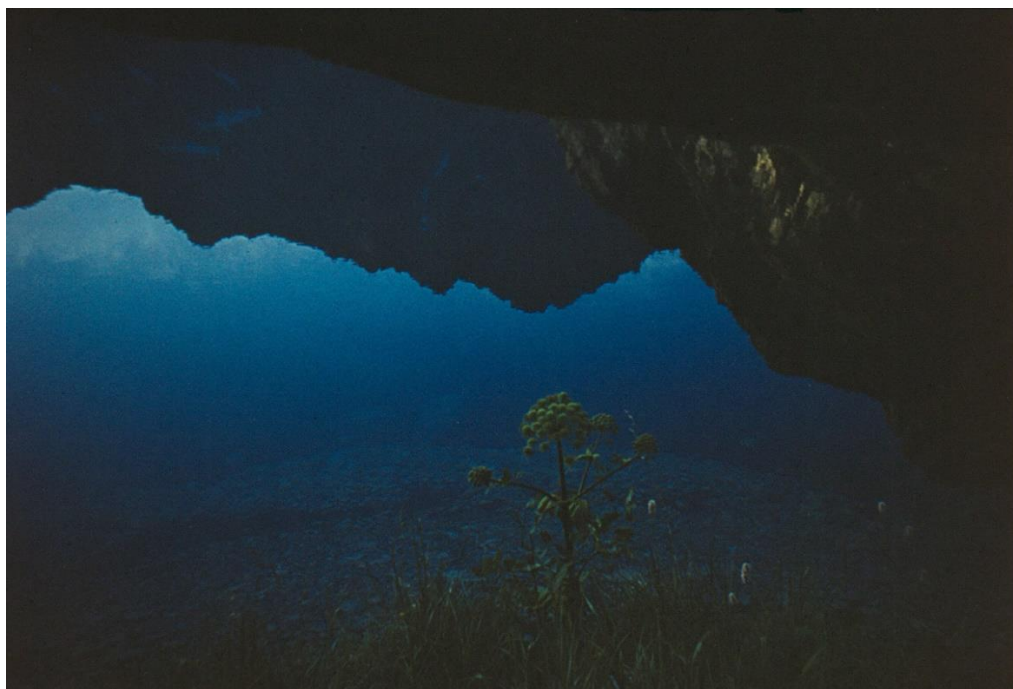
„Baba leje koniom lżej”;

„Darowanemu koniowi w zęby nie lejesz”;

„Kto leje nie grzeszy” ...

A deszcz leje. Mieliśmy ambitne plany, a mamy mokry kibel. Wreszcie odpuszczamy, pakujemy graty i wracamy na Łysą Polanę. Nawet nie obejrzelśmy dobrze gór.

Jakoś nie mam ochoty odpuścić. Koleba jest pod ścianą Młynarzowych Wideł. Z dołu ściana wygląda niepozornie. To złudzenie. Każdy kto trochę chodził po górach wie, że gdy stoimy pod ścianą i patrzymy w górę, mamy wrażenie, że wszystko jest dużo mniej strome niż w rzeczywistości. Co więcej, wydaje się mniejsze. Mówi się, że „ściana się kładzie”.



Arcydzięgiel litwor nad Ciężkim Stawem. Fot. Krzysztof Łoziński

Ściana Młynarzowych wideł interesuje mnie dlatego, że według przewodnika Witolda H. Paryskiego jest w niej tylko jedna droga, zespołu Plšek-Harnicek, opisana jako „Środkiem ściany, skrajnie trudno, techniką hakową”. Skrajnie trudno to według

Ciężkie boje w Dolinie Ciężkiej

starej skali tatrzańskiej VI. Problem polega na tym, że jest tylko słowny opis, z którego trudno się zorientować, gdzie ta droga jest.



Profil 400 metrowej wschodniej ściany Młynarzowych Widet widziany z progu Dolinki Spadowej. W górnej części widać ogromną strefę przewieszoną. Fot. Krzysztof Łoziński

Jednocześnie jest to ściana ciekawa, bo w jej górnej części znajduje się ogromna strefa przewieszona, wychylająca się ponad pion dolnej części na dobre dwadzieścia lub więcej metrów. Zagadka polega na tym, czy ta tajemna droga Plška prowadzi przez tę strefę, czy ją omija. Bo jeśli omija, to jest o co walczyć.

W 1971 roku Janek Hobrzański zaraził mnie robieniem nowych dróg. W tamtym czasie panował w środowisku taternickim dość dziwny pogląd, że „liczą się” tylko

powtórzenia, a robienie nowych dróg to dziwactwo. Byłem świeżo po wojsku, po trzyletniej „przerwie w życiorysie”. Wszystko, co robiłem w górach przed wojskiem, to były głównie drogi łatwe, na skałkach regłowych, w otoczeniu Hali Gąsienicowej. Byłem na przykład strasznie dumny z przejścia drogi Dziędzielewicza na zachodniej Kościelca, drogi, umówmy się, takiej sobie. We wrześniu 1971 roku, za namową Janka Hobrzańskiego, zrobiłem z nim swoją pierwszą nową drogę na wschodniej ścianie Mniszka. Nazwalismy ją „Śmigło” i wyceniliśmy na VI A3. Przypomnę, że mówimy o początku lat 70. Najwyższym przechodzonym w Tatrach stopniem trudności było VI, w skali tatrzańskiej „skrajnie trudno”, a w skali trudności hakowych A3. Dopiero później powstała „Kurtykówka” wyceniona na VI+. I dopiero później Reinhold Messner napisał książkę „Siódmy stopień trudności” (dziś przechodzi się trudności wyceniane na X+).

„Śmigło” było naprawdę trudne i wzbudziło we mnie ciekawość eksploracji, odkrywania. Rok później robimy drugą wspólną drogę, „Czarne Zacięcie” na Czołówce Mięgusza. To już było z naszej strony świętokradztwo. Zrobiliśmy drogę w ścianie, po której „się nie chodzi”. Dlaczego się nie chodzi? Bo nie. Ale ja już byłem tym „dziwactwem” kompletnie zarażony. Uważałem, że to jest dopiero ciekawe – wytyczać nowe szlaki, a nie dreptać po starych. No i zrobić coś, czego dotąd nikt nie zrobił. A jak coś wydawało się niemożliwe, no to dopiero jest warte zrobienia.

Wyszło na to, że zacząłem zupełnie inaczej rozglądać się po górach. Wręcz obsesyjnie wypatrywałem takich obszarów skały, po których nikt nie łąził. Życzliwi koledzy wnet ukuli teorię, że wspinałem się „na wykaz”. Wspinanie „na wykaz” miało polegać na tym, że złośliwie i podstępnie robiłem jak najtrudniejsze drogi po to, by zostać wymienionym w wykazie najlepszych przejść sezonu. Koledzy, nie zniżając się do mojego poziomu, robili drogi łatwiejsze.

Ale zostawmy żarty. Rok później znów jestem w Ciężkiej, tym razem z „Miśką”, która jeszcze nie była moją żoną, Jankiem Oficjałskim i Mietkiem „Bimonem” Prószyńskim. Doszliśmy do wniosku, że skoro nie wiadomo na podstawie słownego opisu, jak droga Plśka przebiega, to trzeba ją przejść i sprawę wyjaśnić. Przecież jedną rzecz z tego słownego opisu wiadomo: gdzie się zaczyna.

Muszę tu wyjaśnić, na czym ten kłopot polegał. Schemat drogi to jest rysunek. Patrząc na schemat i ścianę można dość dokładnie zobaczyć przebieg drogi. Z opisem słownym jest inaczej. Czytamy: wejście w ścianę tu i tu, dalej dziesięć metrów prosto w górę, później na lewo od charakterystycznego bloku, przez przewieszkę w górę i do skośnej rynny... I tak dalej. Spod ściany trudno zgadnąć, który blok jest „charakterystyczny”, a która rynna „skośna”. Łatwo rozpoznajemy wedle opisu początek drogi, ale dalej zaczynamy się w ścianie o skomplikowanej budowie po prostu gubić. W dodatku Witold H. Paryski miał takie swoje ulubione zwroty, jak „popod nastyrmanymi blokami” lub „czym prędzej w lewo”. Konia z rzędem temu, kto wie jakie bloki są „nastyrmane” i co to w skalnej ścianie znaczy „popod” i „czym prędzej”.



„Miśka” przed kolebką w Dolinie Ciężkiej. Fot. Krzysztof Łoziński

W dolnej partii ściany Młynarzowych Wideł znajduje się taki trawiasty kociołek, do którego łatwo się dostać po niezbyt stromych ściankach. Wszedłem z Jankiem Oficjałskim i „Bimonem” do tego kociołka i czytamy opis Paryskiego: „Z prawego końca półki w kształcie litery L”. Gapimy się po skałach i za cholerę nie widzimy takiej półki. Znacznie później okazało się, że Paryski nazywał „półką w kształcie litery L” ten właśnie kociołek.

No więc gapimy się w ścianę i szukamy tej mitycznej półki, nie wiedząc, że właśnie na niej stoimy. W końcu wypatrzyliśmy coś, co od biedy można by uznać za taką półkę. Wiążemy się liną i do roboty. Kompletnie nic nam nie pasuje do opisu, więc wspinamy się „jak puszcza”. Jest zadziwiająco łatwo, najwyżej V-. Coś tu kurde nie gra. W końcu po kilku wyciągach wypycha nas na lewy filar ściany i dalej na trawę. Koniec tej dziwnej drogi.

Przeszliśmy „coś”, ale na pewno nie Plśka. To „coś” jest stanowczo za łatwe i kończy się w łatwym terenie za nisko. Po prostu wyrzuciło nas w bok ze ściany. Ta cała ogromna strefa okapów jest wyżej. Zrobiliśmy nową drogę, ale krótką i łatwą (później w przewodniku Cywińskiego została całkiem pominięta). Pakujemy graty i wracamy przez Dolinkę Spadową do naszej kolebki.

Ciężkie boje w Dolinie Ciężkiej



„Bimon”, Mieczysław Prószyński, we wschodniej ścianie Młynarzowych Widel. Fot. Krzysztof Łoziński

Zostało nam parę dni do końca przepustki, a coś trzeba robić. Ja wymyśliłem sobie prawy filar Ciężkiej Turni, wówczas jeszcze nie przechodzony. Próbuję namówić na to „Miśkę”, ale ona nie ma przekonania. Podchodzimy pod ścianę popatrzeć z bliska. Wygląda to zupełnie łatwo. I nagle „Miśka” strzela mi argumentem typowym dla morskocząnych konsumentów wysokogórskiego piwa Beskid:

– Bo ty chcesz iść na nową drogę, bo chcesz być sławny.



„Miśka”, Jadwiga Łozińska, na Żabim Szczycie Niżnym. Fot. Krzysztof Łoziński

Szlag mnie trafia. Jak takie bzdury plotą w schronisku taternicy nie praktykujący, to kit z nimi, ale żeby coś takiego palnęła moja dziewczyna? Zaczynam tłumaczyć jak chłop krowie na rowie, że w d... mam sławę ze zrobienia łatwej drogi, a zresztą sława to żadna. Interesuje mnie eksploracja, przechodzenie miejsc, w których nikt dotąd nie był, nawet nie dlatego, że nie mógł, tylko nawet dlatego, że nikt nie wpadł na ten pomysł.

„Miśka” jest zła i w zejściu zadziera nos do góry. Zawsze tak robiła. Jak jej się coś nie podobało, to nie patrzyła pod nogi, tylko w niebo lub w sufit. Ale niepatrzenie pod nogi na piargach kończy się skręceniem nogi w kostce.

No i po problemie. Nigdzie nie idziemy. Kilka lat później filar Ciężkiej Turni przechodzą Zakopiańczycy.

Tkwimy w naszej kolebie, a Janek Oficjalski i „Bimon” poszli na drogę Birkenmajera na Nawiesistej Turni. Wracają wściekli.

– Podejście pod ścianę przez las, stromy las. Pnie się wałą, bździaągwy latają, próchno się sypie. Doszliśmy do skały. Stromo, krucho i trawiasto. Z prawie pionowej ściany, ze szczelin wyrasta kosowa. Czytamy opis: „Przez kruchą rynnę i kruche przewieszki do trawiastej rynny. Dalej o kruchych stopniach do skośnego zachodu (walka z kosówką), przez kruche ścianki na trawiste półki. Stad czym prędzej do lasu!” A szlag by to trafił. Zakładamy zjazd i idziemy do domu.

Czasem dobrze jest przeczytać opis przed wyjściem ze śpiwora.

Trzeba wracać, kończą się nam przepustki.

Tu mała dygresja o przepustkach i rozwiązaniach alternatywnych.

Rządzący w Polsce i Czechosłowacji komuniści mieli jakiegoś hopla na punkcie granicy. Oba kraje były protektoratami Moskwy i utrzymywanie między nimi szczelnej granicy nie miało żadnego sensu. Najstarszy incydent z mojego życia związany z granicą pamiętam z wczesnych lat 50-tych. Miałem może 5 czy 6 lat.

Byliśmy, ja, moja siostra Magda i siostra cioteczna Ala, na wakacjach w Wito-
wie z naszymi mamami, siostrami Danutą i Sabą. Ja byłem najstarszy z dzieci. Poszliśmy polami do takiej kępy krzaków, gdzie rosły maliny. Nieopatrznie w kierunku granicy, ale brakowało do niej jeszcze jakieś 300 metrów, a może nawet więcej. W pewnym momencie usłyszałem koło głowy jakiś dziwny gwizd. Nasze mamy były bardzo zdenerwowane i wracaliśmy prawie biegiem. Dopiero po latach skojarzyłem, że to był gwizd karabinowej kuli. Jakiś pojeb, polski lub słowacki, strzelał do kobiet z małymi dziećmi.

Pamiętam też z podobnego okresu budkę wartowniczą pomalowaną w białe i czerwone paski na grani Kasprowego, oraz żołnierza z karabinem, który pilnował, by ktoś siadając na grani nie spuścił nóg na słowacką stronę. Ja byłem jeszcze za mały, by chodzić po prawdziwych górach, ale wiem, że do 1956 roku nie wolno było wspinać się na szczyty graniczne.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych można było już swobodnie poruszać się po granicznych szczytach i graniach. Tolerowano nawet omijanie przeszkód, na przykład trudniejszych odcinków grani, po stronie słowackiej. Od dobrych paru lat można było uzyskać przepustki do tak zwanej strefy konwencji turystycznej obejmującej nie tylko Tatry, ale nawet podtatrzańskie miejscowości, takie jak Smokowiec, a nawet Poprad. Szkopuł polegał jednak na tym, że przysługiwały dwie tygodniowe przepustki rocznie. I oczywiście trzeba było przekraczać granicę na przejściu na Łysej Polanie. My, taternicy, szybko wypracowaliśmy pojęcie „Tatr Polskich rozszerzonych”, czyli mówiąc jaśniej, przekraczania granicy na lewo do pobliskich dolin, takich jak Koprowa, Piarży-
sta, Mięguszowiecka, czy Dolina Białej Wody i jej mniejsze dolinki, w tym Dolina Ciężka. Z czasem Tatry Polskie rozszerzone rozszerzały się coraz bardziej, tak że nawet

byłem przez zieloną granicę w Dolinie Kieżmarskiej, tak daleko od granicy, że nawet nikt tam już przepustek nie sprawdzał.



„Bimon”, Mieczysław Prószyński i Ewa Klara Tryjarska, gdy jeszcze nie byli małżeństwem. Mam nadzieję, że „Bimon” nie pogniewa się za to prywatne zdjęcie, ale chcę pokazać, jak wówczas wyglądał, skoro o nim piszę. A poza tym, zdjęcie jest bardzo ładne. Fot. Krzysztof Łoziński

Powodowało to oczywiście swoistą grę ze strażą graniczną polską i słowacką. No i powodowało różne kłopoty. Pierwsza moja przygoda z przepustkami miała miejsce w 1964 roku. Byłem na obozie Stołecznego Klubu Tatrzańskiego w dolinie Kieżmarskiej. Po tygodniu pobytu trzeba było pojechać na Łysą Polanę by podbić przepustki na drugi tydzień. Jako najmłodszy zostałem wysłany z tą misją w imieniu całej grupy. Poszedłem w dół doliny do szosy z Tatrzańskiej Łomnicy, na przystanek Bela Woda i czekam na autobus. Przyjeżdża autobus z tablicą Łysa Polana, wsiadam, a kierowca mówi: „Ne jedem, do Ždiaru jedem”. Kolejny autobus, to samo. I kolejny. I kolejny... Szlag by to trafił, „ne jedem, do Ždiaru jedem”. Panowie po prostu skracali sobie trasę, bo na Łysą Polanę był tylko jeden pasażer, czyli ja. Jasne, koniec września, po sezonie. W końcu któryś się zlitował, ale zrobiło się już dosyć późno.

Załatwiłem sprawy z przepustkami i chcę wracać. W rozkładzie jazdy są autobusy co pół godziny, ale jednego nie ma, drugiego nie ma, trzeciego nie ma... No jasne, „ne jedem, do Ždiaru jedem”. W końcu słowacki pogranicznik się nade mną zlitował,

gdzieś zadzwonił i autobus przyjechał. Tylko zrobiło się już całkiem późno. Wsiadam na przystanku Bela Woda i jest już ciemno. Autobus odjechał i konstatuję, że nic nie widzę. Jest pochmurna pogoda, las, a ja nie mam latarki. Myślę sobie, że droga do Bryncalowej Chaty jest dosyć szeroka, więc nawet po ciemku jakoś się dowlokę. Byle tylko niedźwiedzie się nie czepiały. Wydaje mi się, że widzę jakby jaśniejszą smugę drogi i idę.

Na początku, jakoś się wlokę, potykając się na wybojach i nagle: Łup! Przydzwoniłem głową w drzewo. Cholera, chcę je ominąć po prawej, a tu drugie drzewo. Po lewej, też drzewo. A z tyłu, a jakże... drzewo! Kurna Indianie, jestem w lesie, w zupełnych ciemnościach. Nie widzę nic.

Przesiedziałem w lesie do rana zaledwie jakieś dziesięć metrów od drogi. To była dla mnie nauczka, by zawsze wychodząc gdziekolwiek w górach brać latarkę. Rok później, razem z ratownikiem Tadeuszem Figusem, sprowadzałem ze Świnicy parę młodych ludzi, którzy poszli oglądać romantyczny zachód słońca i, podobnie jak ja rok wcześniej, nie skojarzyli, że w górach nie ma latarni i po ciemku jest ciemno.

O innych przygodach innym razem, ale o przygodzie, jaką miał w Dolinie Ciężkiej Janusz Hierzyk opowiedzieć trzeba. Spał sobie smacznie w śpiworoku, w tej samej kolebie, w której i my pomieszkivaliśmy. Był sam. Nagle budzi go słowacki „Bespah”, czyli funkcjonariusz Bespiecenstva Statnih Hranic. Też jest sam. Natychmiast orientuje się, że Janusz jest tu nielegalnie. Odbywa się taka rozmowa:

- Pudete ze mną.
- Ne pude.
- Bude strelat! – i wyciąga pistolet.
- A strzelaj, kto ci uwierzy, że ci w śpiworze uciekałem.

No i Słowak odpuścił. Strzelać nie może, sam go nie zanieśie, a jak pójdzie po pomoc, to Janusz się zmyje. Wypalili po papierosku i każdy poszedł w swoją stronę.

Ale wracajmy do naszej opowieści. Wróciliśmy do Morskiego Oka, limit przepustek na ten rok wyczerpaliśmy. Ale „problem” kusił nas nadal.

Miesiąc później idziemy, ja i Janek Hobrzański, do Doliny Cichej. Tym razem przez zieloną granicę. Z ciężkimi plecakami pełnymi sprzętu do hakówki (po co najmniej 15 kilo na łba) pniemy się ścieżką na Żabią Przełęcz Wyżnią. Dalej na Żabi Szczyt Wyżni i kruchymi turniczkami graniamy w kierunku Rysów, aż do miejsca, w którym można zejść do Dolinki Spadowej. To jedno z najrzadziej odwiedzanych przez ludzi miejsc w Tatrach. Jeśli ktoś nie przekracza tędy granicy, to nie ma żadnego interesu, by to miejsce odwiedzać. Nie ma tu żadnego szlaku turystycznego, a i taternicy nie mają tu czego szukać. Pełno tu nor świstaków, dosłownie co kilka metrów. Niektóre świstaki stoją w słupka i obserwują nas z odległości kilkudziesięciu metrów.

Ciężkie boje w Dolinie Ciężkiej



16-letni Krzysztof Łoziński pod ścianą Jastrzębiej Turni. Ze mną są Stanisław Gryniewicz i Aleksander Kiwerski. Wrzesień 1964. Fot. Bożena Jesionkiewicz

Z progu dolinki zjeżdżamy na linie, tuż koło ściany Młynarzowych Wideł. To stałe rozwiązanie. Na bloku zjazdowym jest już kilka starych pętli zostawionych przez poprzedników. Z tego progu oczywiście można zejść, ale zjechać łatwiej i szybciej.

Wchodzimy na żywca do tego kociołka w dole ściany Młynarzowych Wideł. Mamy ambitny plan zrobienia drogi przez to potężne przewieszenie, ale najpierw trzeba do niego dojść, a nie jest to proste. Ta ściana jest trudna już od początku, a weszliśmy w nią dosyć późno. Normalnie zaczyna się duże wspinaczki o bladym świetle, ale zanim dodreptaliśmy tu z Morskiego Oka minęło parę godzin. Jest koło południa.

Pierwszy wyciąg jest w miarę łatwy, ale na tym limit łatwego terenu został wyczerpany. Janek prowadzi wznoszący się trawers w zupełnie pionowej ścianie i przewija się za żeberko. Kolej na mnie. Spora pionowa płyta z wymyciami typowymi dla skały na Młynarzach. To taka pofalowana skała, kompletnie bez szczelin. Trudności są „jak cię mogę”, ale trudno coś wbić. Trochę z niepokojem patrzę, że mam 10, 15, 20 metrów od ostatniego haka. Jakby co, to 40 metrów lotu. Nareszcie szczelina. Nie najlepsza, ale osadziłem małego simonda. Lepsze to niż nic. Janek dochodzi do mnie i prowadzi następny wyciąg. Idziemy jeden, lub dwa wyciągi taką skośną ni to załupą, ni to kominem. Robi się późno.

Nie ma wątpliwości, że noc spędzimy w ścianie. Wypatruję wąską, ale wygodną półkę i trawersuję do niej w prawo. I to był błąd, ale o tym przekonamy się dopiero rano.

Włazimy na tę półeczkę. I, jak to w tamtych czasach, siadamy na d..., zawijamy się w anoraki i siedzimy do rana. Nie jest specjalnie wygodnie, więc spanie kiepsko nam wychodzi. Rozmawiamy, palimy papierosy. Zimno (jesień), czyste niebo, piękne gwiazdy. Na wprost nosa charakterystyczny Orion.

Rano jest piękna pogoda i szybko rozgrzewa nas słońce. To w końcu wschodnia ściana. I tu objawia się błąd. Wieczorem trawersując na tę półkę przeszedłem przez pierwszą półeczkę (a mogłem na tym poprzestać) i wdrapałem się na drugą, trochę wyżej. Rzecz w tym, że skała między nimi była zupełnie gładka, ale złapałem za trawę z wyższej półki i wlażłem. Janek wszedł tak samo, ale w ostatniej chwili niechcący stracił nogą część tych trawek. No i rano okazało się, że do naszego kominka nie mamy jak wrócić. Trzeba by zejść zaledwie dwa metry, ale skała jest gładka, jakby kto otynkował. Ani jednego chwytu, ani jednej szczeliny. Nawet zjechać tam nie ma z czego.

Jesteśmy, tak na oko, w jednej trzeciej ściany. Zepchnęło nas w prawo. Do łatwej drogi prawym filarem mamy blisko, jakieś 40 metrów. Postanawiamy wycofać się na filar, skończyć nim drogę i za kilka dni wrócić. Może to w nienajlepszym stylu, ale jesteśmy nie tu, gdzie chcieliśmy, jesteśmy zmarznięci i zmęczeni. Noc prawie nie przespana.

Zaczynam trawersować w prawo do filara. W pewnym momencie zawisam na obu rękach trzymając się sporego wystającego bloku. I nagle ten blok dosłownie się rozpada na drobne kawałki. Lecę jakieś 15 metrów. Właściwie nic mi się nie stało. Trochę tylko stłukłem tyłek o stromą płytę.

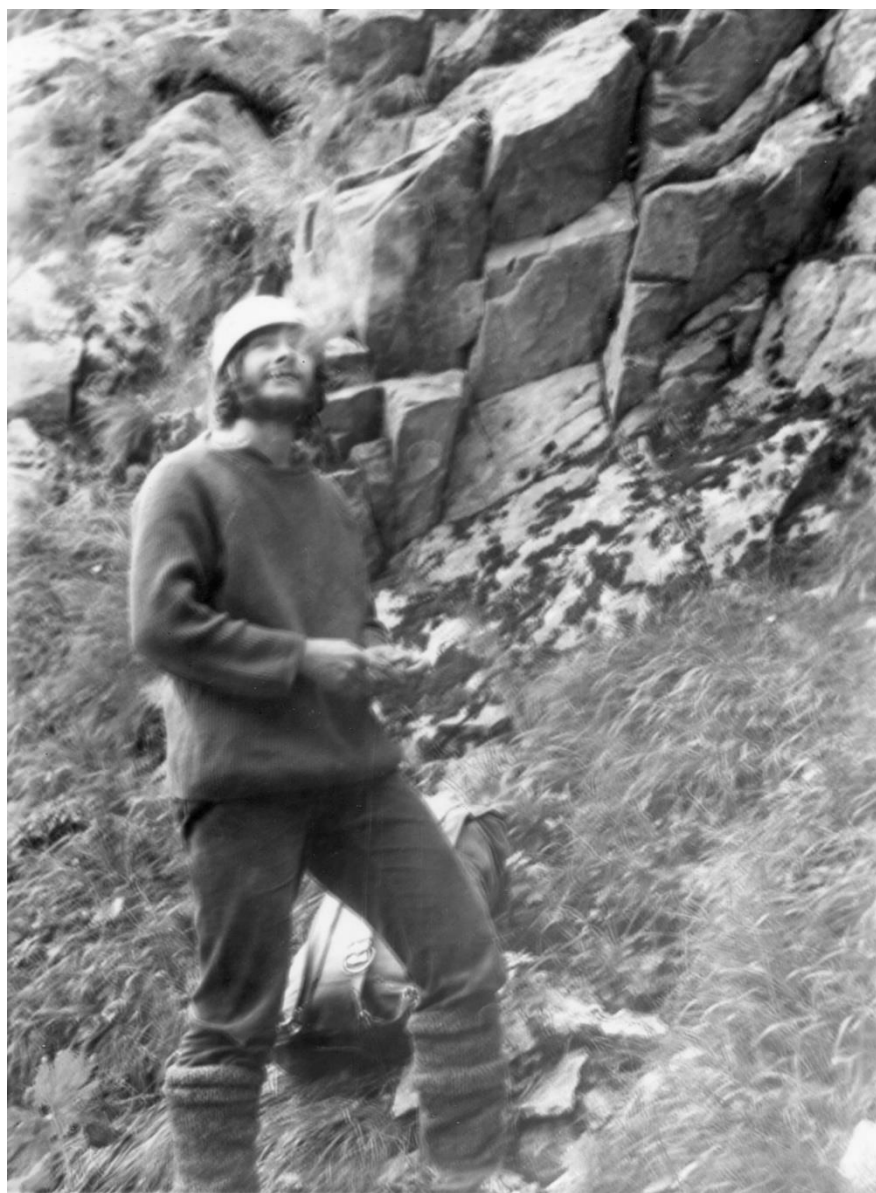
Ciężkie boje w Dolinie Ciężkiej

Janek opuszcza mnie na półkę poniżej i sam do mnie zjeżdża na linie. Wycofuje się do żlebu na prawo od ściany. Wypalamy papieroska, pakujemy graty i idziemy do domu. Tak samo, jak przyszliśmy, przez Dolinkę Spadową i Żabi Wyżni.



Janek Hobrzański na jednym z pierwszych wyciągów naszej drogi. Fot. Krzysztof Łoziński

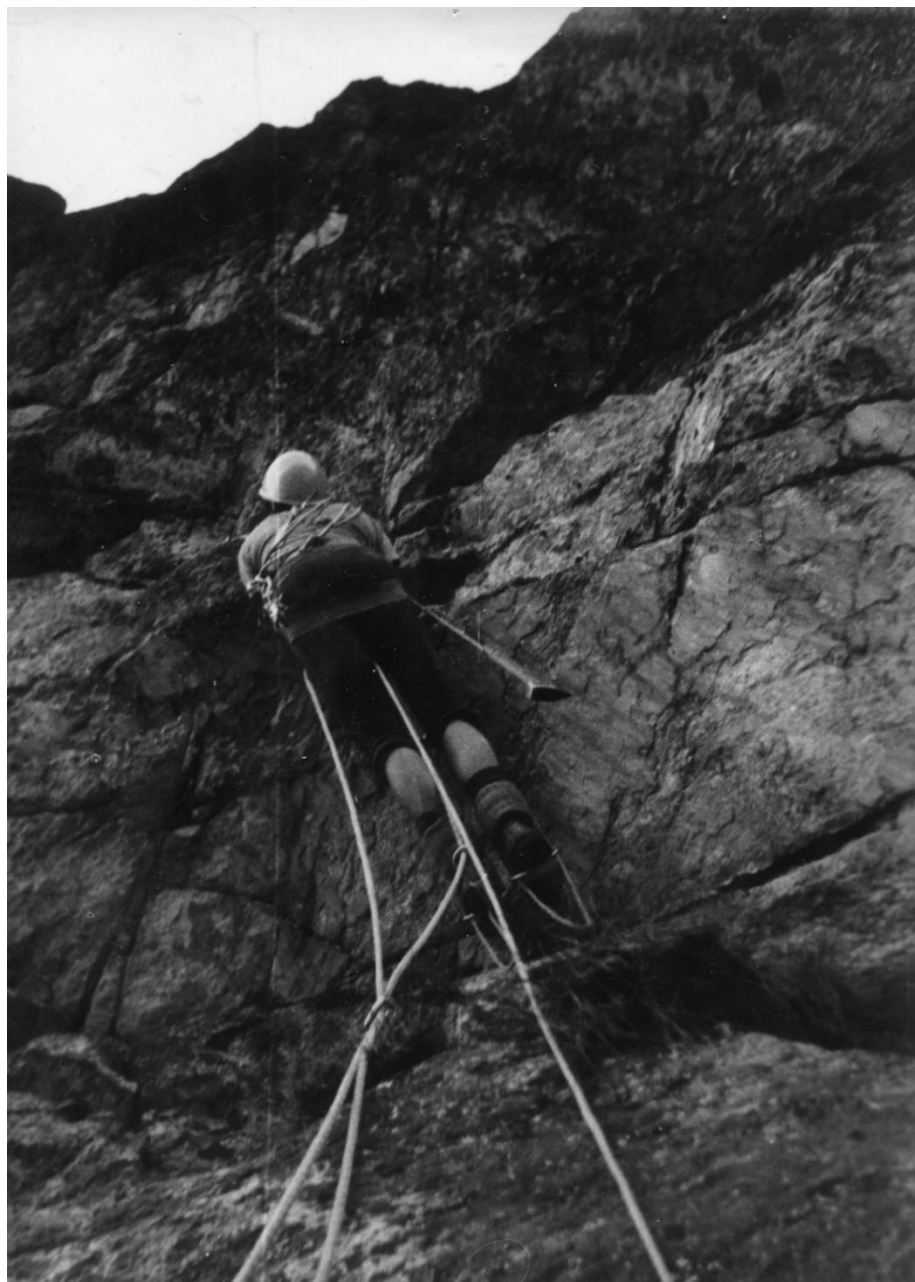
Wracamy po kilku dniach. Oczywiście tą samą drogą przez zieloną granicę. Podchodzimy prawym filarem do miejsca naszego wycofu i trawersujemy na naszą nieszczęsną półkę. Tuż nad nią znajduje się kilka poziomych okapików o wysięgu około metra i oddzielonych od siebie metrowymi odstępami. Takie schody do góry nogami. Janek prowadzi wyciąg przez to stadko okapów. Dalej idzie przewieszonym żeberkiem. Repsznur, który za sobą ciągnie wisi coraz dalej od ściany. Teren zaczyna być potężnie przewieszony.



Ja w żlebie, po wycofaniu się ze ściany. Papierosek dla odreagowania 15-metrowego lotu. Fot. Jan Hobrański

Ciężkie boje w Dolinie Ciężkiej

Kończy mu się lina i mówi, abym podszedł, bo nie ma gdzie założyć stanowiska. Wychodzę ponad te okapiki, te schody do góry nogami, i znajduję dość duży stopień w dolnej części przewieszzonego żeberka. Nie mam z niego dużego pożytku, bo skała nad nim jest przewieszona i wypycha. Chcąc nie chcąc opieram na nim nogi, ale i tak wiszę na hakach w uprzęży.



Seria okapów nad naszą półką. „Schody do góry nogami”. Fot. Krzysztof Łoziński

Ciężkie boje w Dolinie Ciężkiej

Janek idzie cały czas techniką hakową. Dochodzi do lewej części sporego okapu. I zaczyna tuż nad jego krawędzią trawers w prawo. Ten trawers jest dość osobliwy. Janek wbija haki ponad krawędzią okapu, ale wisi w ławeczkach pod nim w powietrzu, daleko od skały. Znow kończy mu się lina, a na stanowisko w takim miejscu nie ma ochoty. Wcale mu się nie dziwię.

Znowu podchodzę i teraz mam już zupełnie wiszące stanowisko. Nawet nogami nie sięgam do skały. Gdy w końcu docieramy do prawego filara, robi się już ciemno. Dzisiejszą turę czujemy w kościach. Prawie sto metrów ciągłego przewieszenia. Gdy wisiałem na stanowisku asekurując Janka, z nudów liczyłem okapy w tej wielkiej strefie przewieszanej. Wyszło mi 36. Oczywiście wszystkich, z prawej, z lewej, wyżej i niżej. Oczywiście żadna, nawet najbardziej ambitna droga, nie będzie wiodła przez wszystkie.

Jest jasna noc, księżyc. Wspinamy się na szczyt nie używając latarek. Teren na filarze jest dużo łatwiejszy. Nie pamiętam o której godzinie byliśmy na szczycie. Wracamy do Morskiego Oka.



Janek Hobrański na przewieszonym zeberku. Na prawo od niego, na tle nieba krawędź okapu, po której wytrawersowaliśmy w prawo. Wyżej nad nim strefa przewieszona, przez którą poprowadziłem kilka lat później wariant prostujący. Fot. Krzysztof Łoziński

Po powrocie do Warszawy wysyłam opis do „Taternika” (publikujemy go także we „Wspinku”).

Ku mojemu zdziwieniu w „Taterniku”, w ocenie sezonu ukazuje się dość osobliwa notatka napisana przez „Barona”, Andrzeja Skłodowskiego. „Baron” pisze:

„Kilka dróg – to rozwiązywanie problemów tak szczytkowych, że odnotować je należało wyłącznie z kronikarskiego obowiązku. Zaliczyłbym do nich nie tylko nieistotne warianty na ścianie czołowej filara Mięguszwieckiego Szczytu (T. 4/73 s. 179), ale także [...] nowe warianty na drodze prawym filarem wschodniej ściany Młynarzowych Wideł. [...]”

Oślupiałem. Nasza cholernie trudna droga 400 metrową przewieszoną ścianą, prowadząca w dużej części terenem mocno przewieszonym, z trudną hakówką, której na prawdę nie każdy by podołał, to „warianty” do znacznie krótszej i nie porównanie łatwiejszej drogi prawym filarem. To fakt, łączy się z prawym filarem, ale na ostatnich 50–60 metrach od wierzchołka. Na dodatek te „nieistotne warianty” na Czołówce Mięgusza, to nie mniej, ni więcej, tylko „Czarne Zacięcie”, także moja droga, którą do dziś może przejść nie każdy i nie zaraz. W 1982 roku, Ryszard Malczyk i Zbigniew Czyżewski (absolutne gwiazdy) wycenili jej trudności na pierwsze w Tatrach VIII (osiem!). Jednym słowem, cholernie trudne drogi są „wariantami” do dróg dużo, dużo, łatwiejszych. To tak, jakby w Warszawie nazwać Marszałkowską „nieistotną przecznicą” do ul. Wilczej albo Wisłę nazwać dopływem Dunajca.

[ja wyceniłem naszą drogę na VI A3-, Janek na V+ A2, ale on zawsze miał skłonność do zaniżania trudności. Wysokość ściany jako jedyny zmierzył z użyciem GPS Włodzimierz Cywiński na 395 m, pozostałe oceny są „na oko”]

Nie wiem, co się „Baronowi” stało, bo przecież był człowiekiem rozsądnym i taternikiem doświadczonym, ale chyba miał jakąś przerwę w myśleniu. Zresztą później przez wiele lat się przyjaźniliśmy.

Napisałem list do redaktora „Taternika”, Józefa Nyki, który był dla mnie autorytetem. No i zaczęło być śmiesznie.

„Baron” umówił się ze mną na rozmowę. Gdy do niego przyjechałem, na kanapie, oprócz „Barona”, siedział nieznany mi facet, taki bardzo duży mięśniak atleta. Rozśmieszyło mnie to.

Nie wiem, dlaczego wielu ludzi myśli, że jak ktoś trenuje sporty walki, to będzie ich bił. Ja oczywiście miałem już umiejętności (10 lat treningu i czarny pas), by nawet największego mięśniaka w ciągu kilku sekund pozbawić przytomności, ale nigdy nie byłem agresywny. Nigdy w dyskusjach czy sporach, nie używałem argumentu siły. Przez całe życie nikogo nie zaatakowałem, nikogo pierwszy nie uderzyłem (poza ringiem oczywiście). Przez całe życie, poza ringiem i treningiem, użyłem pięści trzy razy: uderzyłem napastnika, który wcześniej uderzył mnie w twarz kastetem; uderzyłem gościa, który grożąc nożem chciał mi ukraść samochód i uderzyłem oraz rzuciłem na tai otoshi nożownika, który dźgnął (niecelnie) mojego kolegę nożem w szyję. Każdego z tych panów przekazałem policji (dwóch pierwszych po ocuceniu).

Drugiego raz miałem podobną sytuację, gdy znajoma dziewczyna, z którą miałem rozliczenia finansowe, przyszła też z takim mięśniakiem, a ja oddałem jej kasę, która

byłem jej winien, zaś mięśniaka poczęstowałem kawą. Bez mięśniaka też bym jej oddał, a gości traktuję grzecznie. Z mięśniakiem „Barona” też się przywitałem i podałem mu rękę.

Pokazałem „Baronowi” schemat drogi i zdjęcia, a także zdjęcie ściany z wryśowaną drogą. Pokazałem mu też mapę Tatr z poziomcami, z której wprawdzie nie można było dokładnie określić wysokości ściany, ale na pewno można było stwierdzić, że ma ponad 300 metrów, a nie 150, jak on twierdził. Zaprosiłem go także na letnią wycieczkę pod Czołówkę, by zobaczył, co to jest „Czarne Zacięcie”.

Rozstaliśmy się w zgodzie, a w kolejnym numerze taternika ukazało się sprostowanie jego autorstwa. To jest najlepszy przykład, że łatwiej spór rozstrzygnąć kulturalnie, a nie awanturując się.

Po naszym przejściu czułem pewien niedosyt, że w ostatniej części uciekliśmy w prawo, zamiast pociągnąć dalej w górę. Niestety w 1974 roku ostro pokłóciłem się z Jankiem, do tego stopnia, że dalsza współpraca stała się niemożliwa. To osobny temat, więc go teraz pomiję, ale jeśli chciałem drogę dokończyć, to już musiałem to zrobić z kim innym.

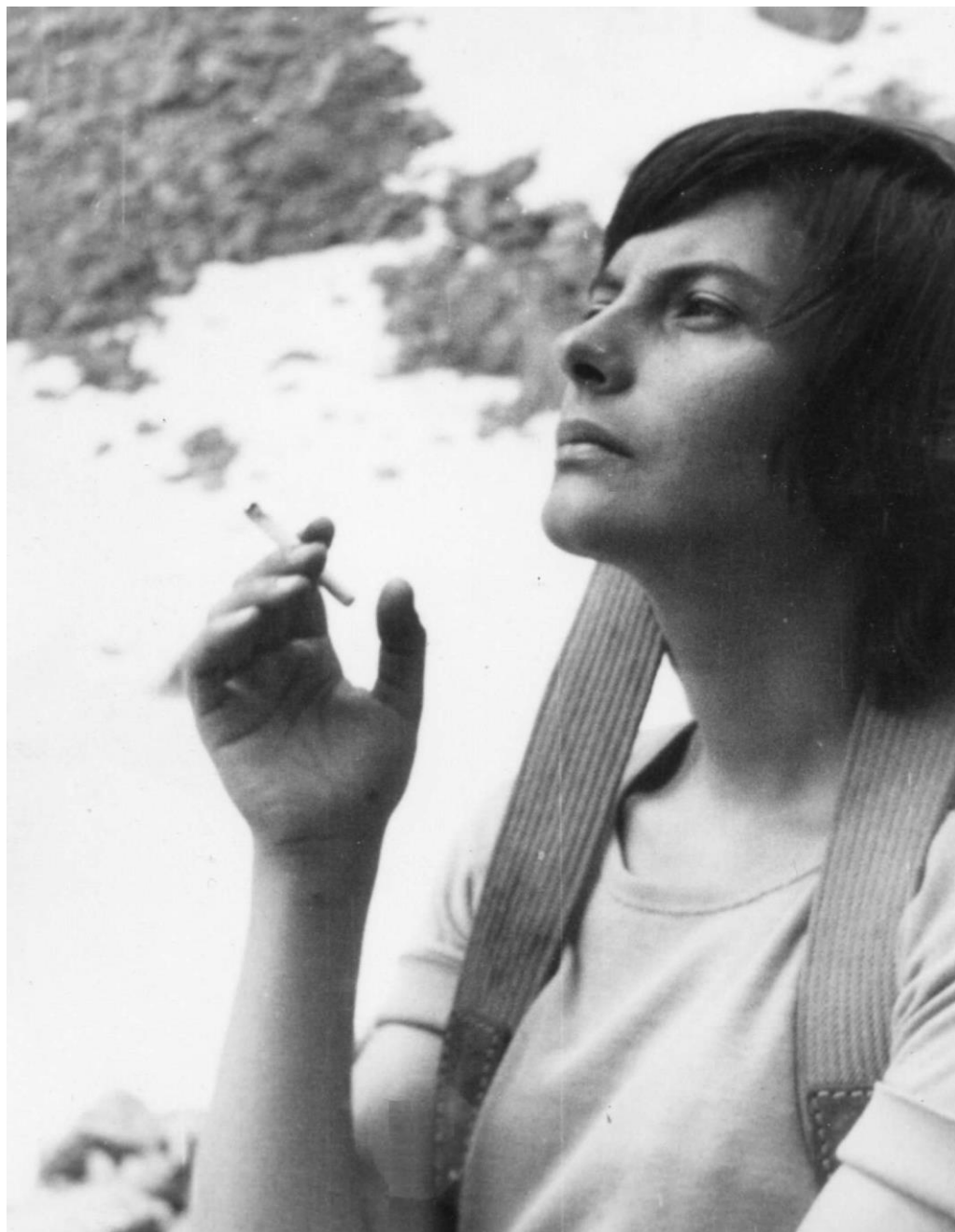
Padło na „Miškę”, ale wybraliśmy się tam dopiero w 1976 roku. Moi znajomi pamiętają ją jako straszłą panią, mocno schorowaną, ale wówczas, rok po naszym ślubie, była 31-letnią szczupłą dziewczyną i całkiem niezłą taterniczką. Miała już za sobą na przykład nasze wspólne przejście Direttissimy Kazalnicy i parę krótszych, ale równie trudnych dróg.

Poszliśmy do Cichej tym razem legalnie, przez Łysą Polanę. Jedyną metodą dostania się do miejsca, w którym w 1973 roku wytrawersowaliśmy do prawego filara, było podejście tym właśnie filarem. To kilka dodatkowych, ale niezbyt trudnych wyciągów. Tym razem nie groziło nam zbyt późne wejście w ścianę, bo mogliśmy spokojnie przenocować w kolebie i wyruszyć rano.

Budzimy się jeszcze przed świtem, jemy śniadanie. Plecaki spakowaliśmy jeszcze wieczorem. O szóstej rano zaczynamy się wspinać. Nieco po dziewiątej dochodzimy do miejsca, w którym kończył się trawers. Wcześniej umówiliśmy się, że ja będę prowadził trudniejsze wyciągi. To racjonalne. Jestem silniejszy i bardziej doświadczony, będę w razie kłopotów mógł jej pomóc dociągając liną z góry.

Przechodzę w drugą stronę trawers nad okapem i docieram do miejsca, w którym trzy lata temu dotarliśmy najwyżej. Miejsce nie jest zbyt dobre na stanowisko. Podchodzę więc kilka metrów w górę, cały czas hakowo. Tu jest krótki odcinek, na którym skała nie jest przewieszona. Zakładam stanowisko dla „Miški”. Celowo nie pod samymi okapami, bo wtedy byśmy się nie słyszeli, gdy wyjdę nad okap.

Ciężkie boje w Dolinie Ciężkiej



„Miśka” rano ogląda ścianę sprzed koleby. Fot. Krzysztof Łoziński



Powiększony fragment zdjęcia z pierwszego przejścia drogi. Janek Hobrzański znajduje się w miejscu, w którym zaczyna się mój i „Miśki” wariant prostujący, prosto w górę przez okapy nad nim. Widać, że nie jest to jeden okap, tylko trzy kolejne. I, że łatwo nie puści

„Miśka” dochodzi do mnie i zaczyna asekurować. Ruszam w górę. Pierwszy okap ma dość skomplikowaną budowę. Z dołu wygląda, jakby tkwiły w nim wielkie ruchome bloki, ale wcześniej obejrzałem to z pewnego dystansu i wiem, że to złudzenie. Przechodzę go sośnie w lewo i tu rozczarowanie. To, co z dołu wydawało się odcinkiem pionowym między okapami, też jest przewieszone. Idę teraz skośnie w prawo, taką szeroką rysą pod przewieszoną trójkątną płytą. Wyprowadza mnie w pionowy teren pod kolejnymi okapami. Zakładam stanowisko i ściągam „Miškę”.

Miejsce jest niesamowite. Luft jak w samolocie. Lina, którą używamy jako repsznur, wisi ponad 10 metrów od ściany. Atakuję kolejny okap. Chciałem iść prosto w górę lub nieco w prawo. Z obserwacji ściany wiem, że tam jest strome pionowe zacięcie. Może nawet nie jest pionowe. Ale teren spycha mnie w lewo na płytę zakończoną kolejnym okapem. Dochodzę pod ten okap i zakładam stanowisko. W pewnym momencie hak wypada mi z ręki i leci w dół. Leci i leci. Uderza dopiero w płyty w dolnej części ściany, dobre 250 metrów niżej.



Wychodzę z okapu. Fot. Jadwiga Łozińska „Miśka”

Wybór jest prosty: w górę jak puszcza. Ostatni okap jest spory, ale nad nim już niebo. I nie więcej jak 60 metrów do szczytu, już bez przewieszenia. Stajemy na szczycie o zachodzie słońca. Byłoby piękne barwne zdjęcie, ale mamy czarno-biały film.

Tak się prosto mówi: przechodzę okap. Tylko to nie jest proste. Człowiek wisi w ławeczkach pod sufitem nie mając żadnego punktu oparcia. Trzeba się w uprzęży i ławeczkach położyć niemal poziomo, by jak najdalej sięgnąć i wbić kolejny hak w szczelinę. A i to wbijanie czegoś w sufit nie jest proste. Zużywa się dużo więcej siły niż w

terenie pionowym. A i przejście na kolejny hak to niezły cyrk. Wtedy jeszcze nie znaliśmy gielgaczki, bo wymyśliłem ją kilka lat później. A więc trzeba przepiąć jedną ławeczkę do kolejnego haka i przepiąć tam linę. Następnie odpinam się od haka, na którym wiszę. Zawisam na ugiętej lewej ręce, łapę się następnego haka prawą i stawiam prawą nogę w drugiej ławeczce. Przechodzę na nowy hak praktycznie wisząc na jednej ręce. Przepinam drugą ławeczkę i muszę, w dużym stopniu na rękach, unieść się i wpiąć do haka uprzęży. Na rysunku z podręcznika to ładnie wygląda, ale pot się leje i „buły” puchną z wysiłku.

Schodzimy do Dolinki Spadowej już po ciemku. Ten krótki w sumie odcinek zajął nam prawie cały dzień. Nie muszę chyba tłumaczyć, że wiszenie w powietrzu pod okapami w nawet najwygodniejszej uprzęży biodrowej przez parę godzin, nie jest nawet zbliżone do komfortu. A my mieliśmy jeszcze wtedy uprzęże samoroby z taśmy na samochodowe pasy bezpieczeństwa. W 1976 roku zachodni sprzęt był dla nas nieosiągalny.

Wspomniałem o wynalezieniu gielgaczki, więc wypada wyjaśnić co to jest. Przed tym przechodzenie z jednego haka na drugi wymagało używania dużej siły, bo trzeba było dociągnąć się jedną ręką i karabinkiem przy uprzęży wpiąć się do haka. Wpadłem więc na pomysł, że można by mieć linkę o regulowanej długości z karabinkiem na końcu i wpinać się tą linką na luzie, a następnie unosząc się na nogach ją skracać. Trzeba było jednak wymyślić prosty i niewielki patencik do skracania linki. Udało mi się wymyślić przyrząd nie większy jak 3x4 cm i niezawierający żadnej ruchomej części. Dziś wszyscy używają gielgaczek, a nikt już nie pamięta, kto to wymyślił. A patent ten zmniejsza wysiłek o 90%.

Dziś wzmiankę o gielgaczce znajdziecie nawet w Wikipedii: pl.wikipedia.org/wiki/Hakówka.

Ale nie ma tam wzmianki, kto ją wynalazł. Dodam jeszcze, że nazwę „gielgaczka” wymyśliła „Wilma”, Irena Dębowska. Dziś przyrząd ten produkuje wiele firm, pod różnymi nazwami i jak zwykle jedynym, kto nie zarabia na wynalazku, jest jego autor.

Wysłałem opis naszego wariantu do „Taternika”, ale się nie ukazał. Redaktor Józef Nyka wyjaśnił mi, że w zasadzie nie publikuje opisów krótkich wariantów. Tak więc, publikuję informację o tym przejściu po raz pierwszy, po 47 latach.

Dlaczego nie opublikowałem w innych pismach alpinistycznych. Bo w 1976 roku praktycznie ich w Polsce nie było. A poza tym bardzo dużo w moim życiu zaczęło się dziać. Pojechałem na wyprawę w Hindukusz, na której omal nie straciłem życia. Kierownikiem tej fatalnej wyprawy był dziwny człowiek, który był uczestnikiem i nawet kierownikiem wielu wypraw z PZA i PKG, a nie wszedł nigdzie i nie miał też żadnego dorobku tatrzańskiego. Ale to już osobna historia, którą opisałem w książce „Ślady na śniegu”.

Post scriptum:

Zwracam uwagę, że to jest wspomnienie, a nie sprawozdanie. Opisuję rzeczy tak, jak pamiętam (po 47 latach). Opis naszego wariantu jest literacki, a nie techniczny. Jedyne opisy techniczne mogą być gdzieś w archiwum „Taternika”, o ile takie istnieje.

W relacji Jana Hobrzańskiego, Mieczysław Prószyński i Jan Oficjański byli ze mną w Dolinie Ciężkiej w 1974, a nie 1973, co ma wynikać z notatek Mieczysława Prószyńskiego. Z moich notatek wynika coś innego. Zapewne nigdy nie będzie to rozstrzygnięte, bo pozostali uczestnicy tej wycieczki, Janek Oficjański i „Miśka”, już nie żyją. Na szczęście okoliczność ta nie ma większego znaczenia.

Z tego co wiem, problem direttissimi Młynarzowych Wideł, przez strefę największego przewieszenia, nadal jest nierozwiązany.

Jedzie się!



Fot. Krzysztof Łoziński

Idę z Tolkiem (Anatolem Lawiną) ulicą Ciszewskiego na Ursynowie i rozmawiamy o tym, co ma być dalej. Jest już po rozmowach okrągłego stołu, ale jeszcze przed wyborami czerwcowymi. Komuna teoretycznie jeszcze jest, „Solidarność” teoretycznie jeszcze nie jest legalna, ale już funkcjonuje jawnie. Taki stan przejściowy i niepewny.

– No to co ma być dalej – pytam.

– Jak to, co ma być – mówi Tolek – gospodarka rynkowa, kapitalizm...

Dociera do mnie coś, o czym teoretycznie powinienem zawsze wiedzieć. Nadchodzi czas ogromnej przemiany państwa, gospodarki, społeczeństwa, wszystkiego. I dociera do mnie świadomość, że nie obejdzie się od potężnych kosztów osobistych w życiu wielu ludzi, niemal wszystkich. Kraj jest w ruinie, dosłownie, nie w przenośni.

Gospodarka leży, Polska jako kraj jest bankrutem. Na rynku nie ma niemal niczego. Wiele towarów jest „na kartki”, ale brakuje ich nawet na te kartki.

– Okres przejściowy to będzie koszmar – mówię.

– Taniec wariatów na ruchomych piaskach – dodaje Tolek.

Wróciłem niedawno z dłuższego pobytu za granicą. Trochę mnie nie było i patrzę na rzeczywistość jakby z zewnątrz, z perspektywy bogatego Singapuru, który w porównaniu z polską rzeczywistością był jak inna planeta. Przede mną jeszcze krótki wyjazd do Pekinu, mam wracać czwartego czerwca, akurat na wybory i o czym jeszcze nie wiem, akurat na masakrę ludności Pekinu na Tianamen.

Ale zostawmy zagranicę. Trzeba się zająć urządzeniem życia w Polsce. Pieniądzy mi nie brakuje. Za granicą sporo zarobiłem, ale nie mam pracy i pomysłu na pracę. Zaczyna wychodzić Gazeta Wyborcza i zaczynam pisać dla działu publicystyki, który redagują Piotr Pacewicz, Wojtek Mazowiecki i Tomek Burski. Mój pierwszy artykuł ukazuje się w piątym numerze gazety. Trybuna Ludu nazywa nas „gazetką”. I właściwie, to mieli rację. Nasze pierwsze numery to była jeszcze kompletna amatorszczyzna (i moje artykuły też), ale uczyliśmy się bardzo szybko a „Trybunka” marniała, aż upadła całkiem.

Wychodzi ustawa Wilczka i nagle dokonuje się cud. Ustawa Wilczka pozwala na coś, co za komuny było niemożliwe: każdy może założyć działalność gospodarczą. W ciągu dosłownie dni powstają tysiące firm. Małych, najczęściej jednoosobowych. Głównie „handel obwoźny”. Na ulicach zaczyna się handel z łóżek polowych, albo nawet z koca na chodniku. I oto nagle, w bardzo krótkim czasie, puste dotąd sklepy wypełniają się towarami.

Pamiętam, jak pierwszy raz dowiedziałem się o kartkach na cukier. Wracałem z Hindukuszu. Przyjechałem do Kabulu i spotkałem znajomego Amerykanina, też alpinistę, a on mi mówi: w Polsce wprowadzono kartki na cukier. Ochrzaniłem go w tą i w tamtą, że to propagandowa bzdura Zachodu, bo przecież Polska jest drugim producentem cukru na świecie (tak było). Idę do ambasady i słyszę: wie pan, wprowadzili kartki na cukier. W drodze powrotnej zbierałem z pociągu Termez-Moskwa torebeczki z cukrem i w Warszawie dałem żonie, jako prezent z zagranicy. To był rok 1976.

Kolejne kartki powstały na skutek żądań strajków Solidarności. Chodziło o to, by zapewnić ludziom minimum wyżywienia, bo komunistyczne rządy wyprzedawały żywność za granicę. Całe RWPG rozpaczliwie potrzebowało dewiz, a nasze waluty były niewymienne. Jedyne produkty, jakie mogli sprzedać na Zachód, to była żywność, bo reszta wyrobów była tak zacofana technologicznie, że nikt jej nie chciał.

Przecież strajkowaliśmy w 1980 roku, bo otwarcie mówiąc nie było co zjeść. A jak było, to było koszmarnie drogie. Pamiętam, jak odebrałem wypłatę z Teatru Wielkiego, gdzie pracowałem, równe dwa tysiące złotych (20 dolarów amerykańskich) i wracając do domu kupiłem jabłka, jajka i szczypiorek. Wydałem prawie 500 złotych.

W PRL krążyły dowcipy, czym się różni sklep mięsny teraz od tego sprzed wojny? Tym, że przed wojną było napisane „Rzeźnik”, a w środku było mięso – teraz jest napisane „Mięso” a w środku jest rzeźnik. Albo: jak jest sklep mięsny po japońsku? – nagie haki. A RWPG po francusku? – marné szansé. I teraz nagle, po ustawie Wilczka, można było kupić mięso w dowolnych ilościach nawet na straganie (inna sprawa, że w koszmarnych warunkach higienicznych).

Firma

I w tej atmosferze wpadłem na głupi pomysł – założyć własną firmę. Pomysł był o tyle głupi, że jak się szybko okazało, ja się nie nadaję na biznesmena. Do tego trzeba mieć zupełnie inny charakter.

Dlaczego chciałem mieć własną firmę? To był wynik wcześniejszych doświadczeń. Zarówno ja, jak i moi bliscy, a także koledzy, spotykaliśmy się wielokrotnie z sytuacjami jak z filmu Piwowskiego „Rejs”. Wiersz Poety nie spodobał się Kaowcowi, więc orzekł: – Tego pana przeniesiemy do sekcji gimnastycznej.

Tak samo było ze mną. Założyłem pierwszy w Warszawie klub kung fu. Po dwóch latach działalności, jakiś kierownik z TKKF orzekł: zmieniamy profil, będziemy ćwiczyć aerobik. Moja mama, będąc ordynatorem neonatologii w Szpitalu Bielańskim, założyła pierwszy w Polsce ośrodek leczenia choroby hemolitycznej u noworodków. Po kilku latach nastał nowy dyrektor i ośrodek zlikwidował. Mój ojciec, architekt, miał bardzo mało realizacji. Pracował w biurze projektowym. Zlecano mu projekty, które robił, a gdy dochodziło do etapu realizacji, słyszał: – Spadło z planu panie inżynierze. Mój kolega, jeszcze ze szkoły, Janek Fiszer, był wybitnie zdolnym architektem. Wygrywał zagraniczne konkursy, ale w Polsce nie miał ani jednej realizacji, bo zawsze „spadło z planu”.

Chyba teraz rozumiecie, dlaczego chciałem mieć firmę, w której sam będę decydował, w której nie będę miał nad sobą żadnego „Nacz. Dyr. Dups-a” (postać ze sztuki Majakowskiego – Naczelnny Dyrektor do Spraw Specjalnych). Chciałem, aby nikt mnie nie mógł przenieść do sekcji gimnastycznej.

Temat tej ogromnej przemiany społecznej, ustrojowej i gospodarczej początku lat 90 jest tak rozległy, że ograniczę się tylko do jednego wycinka – transportu samochodowego. Moja przygoda z transportem zaczęła się od potrzeb własnej firmy. Było to wydawnictwo, hurtownia księgarska i częściowo poligrafia. Właściwa drukarnia była piętro niżej i nie należała do nas, ale razem tworzyliśmy pewien kombinat. Koledzy zajmowali się drukiem, my mieliśmy przygotowalnię i skład komputerowy tekstów. Przygotowalnia to proces od fotografii reprodukcyjnej po tak zwane „blachy” czyli matryce offsetowe. I tu zrobiłem pierwszy błąd. Trzeba było zainwestować komputery, a nie w kamerę, która miała 4 metry długości i ważyła 700 kg. Ale to były czasy, gdy jeszcze mało kto w Polsce miał komputer. Ja miałem pierwszego laptopa świata, Toshiba z pamięcią 42 MB dysku i 1 MB RAM, z monochromatycznym monitorem (karta Herkules). Na te czasy było to чудо, ale bardzo szybko już tylko zabawka.

Ale wracajmy do tematu. Firma potrzebowała transportu, na początku na małą skalę, ale ta skala ciągle rosła. Najpierw trzeba było wozić książki ze Składnicy Księgarskiej na ul. Kolejowej do nas, na Ursynów. Później rozwozić je po księgarniach i własnych stolikach na ulicach.

I tu objawiła się moja ciągle PRL-owska mentalność. Choć miałem wystarczające fundusze, by kupić nowego mercedesa, kupiłem od Andrzeja Rosnera siedmioletniego „Malucha”, Fiata 126 p. Po prostu nie przyszło mi do głowy, że ja mogę mieć lepszy samochód. Mimo całego mojego krytycyzmu do PRL, mentalnie w nim tkwiłem. Tak samo jak z tą kamerą. Ja ciągle tkwiłem głową w podziemnej poligrafii – Romayor, klisze i blachy. Trzeba było kupić ciężarówkę a ja zainwestowałem w „Malucha” z przyczepką.

Fiat 126 p, Maluch

Z „Maluchem” od razu zaczęły być problemy. Od razu był znacznie przeładowywany. Gdy na Kolejowej wypełniłem go książkami po sufit, zaraz zawiesiłem się na kamieniu. Na Kolejowej był bruk, kocie łby. Wjechałem na bardziej wystający kamień i przeładowany „Maluch” się zawiesił. Musiałem wysiąść, wyładować część paczek z książkami, przejechać dwa metry i załadować z powrotem.

Innym razem jechałem z pracownikiem. Załadowaliśmy do „Malucha” do wnętrza, na bagażnik dachowy i do przyczepy 120 paczek książek (ok. 1200 kg). Na Komarowa (obecnie Wołoska) bagażnik dachowy się urwał. No cóż, wzięliśmy część jego zawartości na kolana, a resztę na przyczepkę. Miałem na kolanach, między mną a kierownicą pięć paczek z książkami. Już przy wjeździe na Ursynów poczułem, że coś nie gra. „Maluch” jedzie dziwnie. Dojechaliśmy na Herbsta pod firmę i widzę, że samochód niemal szoruje podłogą po ziemi. Rozładowujemy, a on nadal siedzi, nie podnosi się. Oglądam, co się dzieje. Oba amortyzatory tylnych kół przebiły blachę pod siedzeniem pasażerów i wbiły się do środka. W dodatku pękły (na szczęście nie do końca) tylne wahacze. Teoretycznie do „Malucha” można było załadować 500 kg, na przyczepę 300, w tym waga kierowcy i pasażera. Przeładowaliśmy „Malucha” o ponad 400 kg. Aż dziw, że nie rozleciał się całkiem.

Wiem, że to wszystko brzmi jak wariactwo, ale wówczas wszystko robiło się na wariata. Na wariata zakładano firmy bez żadnego kapitału, na wariata prowadziło się samochody po drogach dla wariatów. Taki czas, taka karma.

Miałem takich dwóch zaprzyjaźnionych mechaników, którzy naprawiali moje samochody w plenerze, pod chmurką. „Maluch” naprawiany był raz na dwa tygodnie, ale jechał. A stan jego blacharki zaczynał być taki, że moi mechanicy od razu, bez pytania, przyjeżdżali ze spawarką.

Wreszcie przyszedł jego koniec. Wsiadam do „Malucha” pod firmę i od razu opadam z siedzeniem 20 cm niżej. Na szczęście samochód jeszcze właściwie nie ruszył. Zarwała się skorodowana podłoga i siedzenie kierowcy legło na asfalcie. Pojazd dostał za darmo pracownik, który nadal chciał go łątać.

Jedzie się!

Przeżyłem jednak z tym pojazdem parę przygód i wspominam go z sentymentem. „Maluch” jednak rozwijał całkiem niezłą prędkość, nawet 120 km/godz. Głównie dzięki podkręceniu obrotów w aparacie zapłonowym. Jednak gdy silnik się rozgrzał, spadała jego kompresja i po zatrzymaniu trzeba było odpalać „na szmatę”. Wyjmowałem filtr powietrza i wlot powietrza zatykałem szmatą. Jak nie pomagało, trzeba było poczekać, aż silnik ostygnie. W samochodzie ciągle zrywały się jakieś linki, a to linka gazu, a to linka ssania, a to od bendiksu. Gdy urwała się ta ostatnia, uruchamiało się silnik „na szczotkę” lub „na kijek”. Trzeba było po prostu otworzyć maskę z tyłu i popchnąć bendiks kijkiem albo szczotką. Szybko nauczyłem się, że trzeba wozić ze sobą kłębek cienkiego drutu do łatania linek.

Były i przygody zabawne. Wracalem z Gdańska do Warszawy mocno przeładowanym „Maluchem”. Byłem zmęczony i nie zareagowałem na ograniczenie prędkości. W tamtym czasie we wsiach obowiązywało ograniczenie do 70 km/godz. Jechałem 120. A tu: stop! Policja!



Fot. Krzysztof Łoziński

- Z jaką to prędkością się jedzie panie kierowco?
- Bezpieczną – mówię.
- Sto dwadzieścia pan jechał – mówi policjant.

W tym momencie coś mi odbiło i mówię:

– „Maluchem”? Panie, ten pojazd osiąga góra osiemdziesiąt, z górki i z wiatrem!

Policjant się zawahał, a ja ciągnę:

– Napraw se pan tę maszynkę, bo fałszuje!

– No dobra, niech pan jedzie – mówi z rezygnacją policjant.

Jak się później dowiedziałem, policyjne radary w tamtym czasie były mocno nieprecyzyjne, pokazywały pomiary „pi razy oko”, w czym mniej było pi, a więcej oka. Dlatego policjant zwątpił.

Policja

Policja, niedawno przemianowana z milicji, była wówczas dość powszechnie skorumpowana. Kierowca zatrzymany za wykroczenie drogowe zaczynał rozmowę od: – A czy nie da się tego jakoś załatwić? „Załatwienie” zwyczajowo kosztowało 50 złotych.

Jeden z kolegów opowiedział mi taką historię: Nie miałem ważnych badań technicznych i jechałem o trzeciej w nocy ulicą Hynka. Stała policja, a że byłem jedynym kierowcą w zasięgu wzroku, musieli mnie zatrzymać. Było ich trzech w radiowozie busie. Podchodzi policjant i zwyczajowo:

– Dowód rejestracyjny, prawo jazdy, proszę.

Podaję dowód rejestracyjny, oczywiście nieważny i zaczyna się rozmowa.

– Muszę ten dowód zatrzymać – mówi policjant.

– Ale po co? Przecież i tak muszę zrobić badania czy pan mi zatrzyma, czy nie?

Wówczas za brak badań nie było mandatu, ale po zatrzymaniu dowodu nie można było jeździć. Coś trzeba było zrobić.

– No dobrze – mówi policjant – ale jakaś kara musi być.

– Ja mam tylko 50 złotych (miałem więcej, ale po co się przyznawać).

Policjant wziął te 50 złotych i za chwilę wraca.

– A dychy jeszcze pan nie ma?

Dostał jeszcze 10 złotych. Sprawa była jasna. 50 złotych im się na trzech nie dzieliło. I nie mówcie, że to stara komunistyczna milicja. To byli zupełnie młodzi ludzie, z komuną nie mieli nic wspólnego.

Inny mój kolega, Miłosz, jeździł z szaloną prędkością po Zakopiance i stale trzymał 50 złotych w dowodzie rejestracyjnym. Gdy zatrzymywał go policjant, najpierw brał te 50 złotych do kieszeni i zaczynał rozmowę:

– Coś za szybko się jeździ panie Miłoszku (ale wziął już 50 złotych).

Jedzie się!

– Ja tak jeżdżę – mówi Miłosz.

– To muszę pana pouczyć, że tak nie można.

I na tym koniec.

Kilka lat później, jadąc już zupełnie innym samochodem, zresztą ciężarowym, zabrałem na stop faceta, który jechał ze Strykowa do Łodzi. Gdy tylko wszedł do kabiny, pomyślałem, że to policjant, bo miał czarne spodnie i czarne buty. Już po chwili sam się przyznał, że jest policjantem i zaczął opowiadać, jak to oni „kroją kierowców”. „Najlepiej kroimy Ruskich, bo u nich wszyscy płacą policji i myślą, że u nas też” – mówił. A później: „Żuk to koło nas żaden nie przejedzie, bo panie, kto widział żuka, w którym wszystko działa?”. I tak przez całą drogę.

Gdy wysiadał w Łodzi, nagle mówi:

– Właściwie to powinienem wlepić panu mandat.

– Za co?

– Za notoryczne przekraczanie prędkości dozwolonej w sposób znaczny.

W tym momencie wyjąłem z kieszeni legitymację prasową Gazety Wyborczej i dyktafon. Legitymacja był już nieważna, a dyktafon wyłączony, ale on o tym nie wiedział. Facet zbłądł. Po chwili wyjął:

– Ale pan nie wie, jak się nazywam.



Fot. Krzysztof Łoziński

Rzeczywiście nie wiedziałem. Facet się zmył. Zdarzenie opisałem w Gazecie Stołecznej, dodatku do Wyborczej. Odezwał się komendant stołecznej drogówki i napisał, że to nieprawda, bo on też jeździ samochodem i jeszcze nigdy nie dostał mandatu. Odpowiedziałem, że widać jeździ radiowozem i w mundurze. Zresztą nawet gdyby nie był w mundurze, to wszyscy policjanci z drogówki go znali.

Volkswagen

Po tym, jak „Maluch” skonał na rdzę, trzeba było kupić kolejny samochód, bo potrzeby transportowe firmy rosły. Wiedziałem, że tym razem musi to być coś większego. Padło na Volkswagen Transporter.

No i właśnie, choć prowadziłem samochody już parę lat, to ciągle znałem się na nich kiepsko. To była znów błędna decyzja. Kupiłem używanego Volkswagena Transportera. Błąd polegał na tym, że był to samochód stary i starej konstrukcji. Prawdopodobnie był starszy niż to wynikało z jego papierów. W tamtym czasie polski rynek zalewały używane samochody sprowadzane z zagranicy. Wbrew legendzie nie tyle kradzione, choć były i takie, ale wyciągane ze szrotów i podrasowywane.

Sam pewnego razu widziałem, jak w zakładzie blacharskim składano jednego fordą z dwóch fordów, z których po wypadkach z jednego został przód, a z drugiego tył. Spawanie, klepanie, szpachla i nowy lakier. Papiery były później od tego z przodu, bo tam były wszystkie fabryczne numery i nie trzeba było ich przebijać.

Innym razem, w innym warsztacie, proponowano mi zakup Forda Newady za 13 tys. złotych (przed wymianą – odpowiednik dzisiejszych 130 zł). Powiedziałem temu panu, że są tylko dwie możliwości. Albo ten samochód jest tak gorący, że trzeba go zepchnąć przed przybyciem policji, albo jest takim trupem, że można go tylko odholować na złom.

Na kupienie różnych podrasowanych trupów nadziało się wielu ludzi, nie tylko ja. Na początku lat 90. polskie drogi pełne były samochodowych zombie, czyli ciężarówek w fatalnym stanie technicznym. Badania techniczne często „załatwiało się” za łapówkę, bo bez tego nie było szans, by je uzyskać. Na drogach widywałem nawet traki stojące na poboczu z podniesioną kabiną, a pod nią kierowcę, który coś tam dłubał. Kierowcy nieraz wręcz podjeżdżali do patrolu policji z prośbą: Panie, niech mi pan zatrzyma dowód, bo boję się tym trupem jechać. Na drugi dzień szef kierowcy przychodził z podbitymi za kasę badaniami i pojazd wracał na drogę. Opisałem nawet ten proceder w Gazecie Wyborczej, w artykule pod tytułem „Jedzie się”, tak jak tytuł tego wspomnienia.

Ale wracając do volkswagena, to był straszny grat. Facet, który go sprzedał, po prostu mnie oszukał. Samochód był w rzeczywistości starszy, niż wynikało to z dokumentów. W tym roku, z którego rzekomo miał pochodzić, tej wersji już nie produkowano. Był to pojazd ciężarowy z silnikiem benzynowym boxer, z tyłu, chłodzonym powietrzem.

Tu trzeba wrócić do historii Volkswagena Transportera. Powstał on dosyć dawno na bazie popularnego „Garbusa”, konstrukcji z lat 30 XX wieku. Po prostu, w 1950 roku,

na nieco wydłużone podwozie „Garbusa” nałożono większą budę i w ten sposób powstała mini ciężarówka. Na swój czas była całkiem dobra. W tamtym czasie drogi nie pozwalały na jazdę z dużą prędkością przez dłużej niż kilkanaście minut. Nawet jak kierowca przez chwilę pojechał stową, to zaraz musiał zwolnić. W takich warunkach silnik boxer chłodzony powietrzem nie miał czasu się przegrzać. Ale w latach 90 w Polsce były już odcinki dróg, takich jak „Gierkówka”, gdzie można było na godzinę położyć cegłę na pedale gazu. I wtedy zaczynał się problem. Miałem się wkrótce boleśnie o tym przekonać.

Wersja, którą kupilem, powstała teoretycznie w 1979 roku i początkowo zmieniona była tylko karoseria, a reszta ciągle była z konstrukcji poprzedniej, czyli z 1967 roku. Takiej wersji (buda 1979, reszta 1967) nie produkowano już w Niemczech, ale produkowano w Brazylii i część takich Transporterów trafiało też do Niemiec sprowadzanych prywatnie, bo były sporo tańsze. Jednym słowem, kupilem model, który miał być, sądząc po karoserii z 1979 roku, a był z 1967. Oczywiście nie było on aż tak stary, ale był konstrukcją sprzed 25 lat i nie nadawał się do jazdy po drogach szybkiego ruchu.

Jednym słowem kupilem grata, ale nie od razu się o tym przekonałem. Od razu był pewien incydent, który powinien mnie zastanowić, ale jak to człowiek zafascynowany nowym autem zakłamywałem przed sobą rzeczywistość. Otóż już po kilku dniach złamała się dźwignia zmiany biegów. To był w tym samochodzie długi na jakieś 80 cm drążek i złamał się u podstawy. Tłumaczyłam sobie, że przez długość dźwigni musi tam być spora siła. Pospawaliśmy i na razie był spokój.

Przez parę miesięcy jeździłem po Polsce bez większych incydentów. Ale jeździłem głównie po Warszawie i do Gdańska, gdzie mieliśmy filię firmy. A to w tamtym czasie była naprawdę kiepska droga. Do Głinojecka było „jak cię mogę”, ale dalej zaczynało się wąsko. Najgorszy odcinek był za Miłomłynem. Na odcinku ok. 3 kilometrów droga miała jakieś najwyżej 4-5 metrów szerokości. Gdy z przeciwka jechał inny samochód, ktoś musiał zjechać na pobocze, byśmy się minęli.

Wszystko było dobrze, gdy jeździłem drogami, na których nie można było szybko jechać dłużej niż dwadzieścia minut. Kłopoty zaczęły się, gdy rozpoczęliśmy jazdę Gierkówką, czyli drogą dwupasmową Warszawa-Katowice. Chciałem pojechać z synami w skałki. Wyruszyliśmy wieczorem i w okolicach Rawy Mazowieckiej nagle zapaliła się lampka oleju. Zatrzymałem się i zajrzałem do silnika. Olej lał się jak z kranu. Zatarł się silnik. Zjechałem na stację benzynową i śpimy do rana, bo co innego można zrobić. Chłopcy zawiedzeni, zwłaszcza dziesięcioletni wówczas Romek.

Rano przyjechali moi mechanicy i wzięli nas na hol. No i zaczął się cyrk. Odstawiłem samochód do serwisu volkswagena w Łomiankach. Po kilku dniach właściciel warsztatu orzekł, że jeszcze kilka dni, bo zrobili jazdę próbną i silnik znowu się zatarł. I tak kilka razy. W końcu zabrałem nienaprawiony samochód i moi mechanicy zrobili remont silnika na podwórku, pod chmurką. Skuteczny.

Ale radość była krótka. Pojechałem po książki do Piotrkowa Trybunalskiego (też Gierkówka) i w drodze powrotnej silnik zaczął się nadmiernie grzać i traciłem olej.

Przyjechali moi panowie, już w Warszawie, bo dojechałem, i orzekli, że urwał się jeden zawór. Dlaczego? A czort go wie.

Po roku powtarzających się incydentów z silnikiem, postanowiłem zmienić samochód, w dodatku na większy.

Mercedes

Pojechaliśmy na giełdę do Słomczyna i tym razem kupiłem naprawdę dobry ciężarowy pojazd: Mercedesa 310 D o ładowności 1600 kg. W praktyce można go było przeładować do 2,5 tony, ale lepiej było tego nie robić.

Giełda samochodowa w Słomczynie to było wydarzenie samo w sobie. Sprzedawano tu nie tylko samochody, także kradzione, ale i części. Widywałem na przykład radia samochodowe wyrwane przez złodziei na chłama, tak że nawet sterczały z nich urwane kable. Publiczną tajemnicą było, że części pochodzą z kradzionych i rozebranych pojazdów. Gdy pewnego dnia policja zrobiła obławę, po zakończeniu giełdy na placu zostało kilkadziesiąt aut bez właścicieli. Sprzedający złodzieje zmyli się porzucając samochody.

Oczywiście nie wszystkie samochody na giełdzie były kradzione. Były samochody normalnie sprzedawane przez właścicieli oraz używane sprowadzane z zagranicy. Polskie społeczeństwo jeszcze nie odbiło się na dobre z biedy lat 80 i 90, więc chodziły najczęściej pojazdy tanie i niestety w nienajlepszym stanie technicznym. Połączenie wiejskich pojazdów na wiejskich drogach z dużą liczbą zupełnie nowych kierowców, z prawem jazdy od 2-3 lat, albo i krócej, skutkowało sporą liczbą wypadków.

Mercedes był świetnym samochodem. Był prawie bezawaryjny, wygodny, przyjazny dla kierowcy. Oczywiście samochodów całkiem bezawaryjnych nie ma i nigdy nie będzie, ale jak na 450 tys. kilometrów, jakie nim przejechałem, awarii było niewiele. Miał niezwykle prostą budowę i to była jego zaleta. Nie trzeba było wjeżdżać na kanał by wymienić żarówkę, jak wiele lat później w Megance. Podnosiło się maskę i do wszystkiego niemal był dostęp. Różne naprawy można było zrobić samemu wręcz na podwórku. Przez kilka lat eksploatacji sam wymieniłem pompę wodną, klocki i tarcze hamulcowe, chłodnicę. Miał taką cechę, że nie było awarii typu: łup i stoję. Najpierw coś zaczynało stukać, lub szumieć i było wiadomo, że jeszcze dwa tysiące kilometrów i trzeba będzie się tym zająć.

Muszę tu wyjaśnić, że ciężarówki mają wiele większe przebiegi, niż samochody osobowe. Ciężarówka pracująca w transporcie niemal codziennie przejeżdża kilkaset, lub nawet tysiąc kilometrów. Bardzo szybko nauczyłem się, że należy jak najmniej stać. Wbrew obiegowej opinii, każdy postój przedłuża czas w pracy. Odpoczynek na kawie w jakimś barze jest pozorny. Kierowca w krajowej trasie nie może po prostu godzinę się przespać. Załadowany bus to niemal prezent dla złodzieja: wartościowy towar na kołach. A kabina busa nie nadaje się do spania. Jest za ciasno, za wąsko, wystają różne części. Lepiej jest jechać jak najdłużej bez zatrzymania.



Fot. Krzysztof Łoziński

W tamtych czasach nie było tachografów i przepisów ograniczających czas jazdy, a zleceniodawca oczekiwał dostawy „na wczoraj”. Gdy miałem np. kurs z Warszawy do Szczecina (ok. 550 km) jadłem śniadanie, tankowałem do pełna i ruszałem. Kolejny postój w Szczecinie, przy rozładunku, obiad, załadunek powrotny, tankowanie i jazda. Na rano w domu. Doba za kierownicą dla zawodowego kierowcy nie była niczym wyjątkowym. 16-20 godzin jazdy bez przerwy to była prawie norma.

Po kilku latach moja firma zbankrutowała (przez kolejne 10 lat spłacałem długi). Została mi ciężarówka, więc zacząłem robić usługi transportowe. Tu zresztą na początku był problem. W domu nie miałem telefonu, a telefony komórkowe dopiero się zaczynały i były koszmarnie drogie. Dawałem ogłoszenia w gazecie i czekałem na Miodowej w mieszkaniu rodziców na telefony. Dziś trudno to sobie nawet przypomnieć, jak zacofana technologicznie była Polska. Cała duża dzielnica Warszawy, Ursynów, nie miała telefonów. Były wprawdzie automaty na monety, ale z nich można było dzwonić w jedną stronę: ja do klienta, a klient do mnie nie.

Na szczęście już po roku moich usług transportowych pojawiły się pierwsze telefony komórkowe. Początkowo strasznie drogie, ale już po kolejnym roku były pierwsze Nokie z klawiszami.

Policja i złodzieje

Wróć jeszcze na chwilę do etapu agonii finansowej mojej firmy. Dużą częścią naszej działalności był handel książkami. Zaopatrywaliśmy księgarnie i mieliśmy takie

stoliki z książkami na ulicach. Obsługiwali te stoliki młodzi ludzie pracujący na umowy zlecenia. Co pewien czas jakaś ekipa znikła z towarem i pieniędzmi. Gdy takich znikających ekip zebrano się już kilkanaście, zgłosiłem to na policję. A policja na to: to jest sprawa cywilna, bo chodzi o pieniądze. Dla mnie była to kradzież.

Cóż miałem robić. Udałem się wyżej, do komendy dzielnicowej. Policjant popatrzył na dane i adresy sprawców i orzekł:

– Goławicka, tam są wielopokoleniowe rodziny przestępcze, wie pan, Praga... Tam by trzeba posłać pluton z bronią ostrą.

A więc znów odmowa. Policja „nie nie może”. No to musiałem móc bez policji. Ja wprawdzie miałem bardzo duże umiejętności w sztuce walki, ale nie miałem odpowiedniej prezencji (168 wzrostu). Zatrudniłem więc kolegę, Pana Rysia. Pan Rysio miał dwie zalety: Pierwsza, zawodnik judo waga ciężka, dwa metry wzrostu i, jak to się mówi, dwa metry sześcienne chłopa. Zaleta druga, ważniejsza, morda takiego zbira, że ludzie na ulicy pieniądze mu chcieli oddawać, choć nie prosił.

Objechaliśmy adresy bez plutonu policji i broni ostrej (ani tępej), zebraliśmy pieniądze i towar. Ale minął czas jakiś i złodziejstwo się powtórzyło, choć cwaniaczków było już mniej. Pan Rysio wrócił już do pracy najemnika na jakiejś wojnie, bodajże w Libanie, więc musiałem sprawę załatwić sam.

Pojechałem do pierwszego cwaniaczka, na Trocką, a ten wyskoczył do mnie z pięściami. Oczywiście ani razu nie trafił, bo wszystko zablokowałem, po czym chwyciłem go mocno za ramiona i wstawiłem do mieszkania razem z drzwiami. Pokaz siły był skuteczny, wszystko oddał. Jadę do kolejnego, na Szwedzką. A ten od wejścia cały się trząsł i mówi: kolega już dzwonił... I tak, bez plutonu z bronią ostrą (i tępą) odebrałem wszystko.

Byłby koniec, ale zacząłem dostawać anonimowe telefony do sąsiedniej firmy (która miała już telefon), że mi firmę podpalą. Idę znów na policję i kierują mnie do porucznika „specjalisty od podpalen”, a on na to:

– To trudna sprawa, bo ogień niszczy ślady... Najlepiej nich pan weźmie ochronę.

I podsuwa numer telefonu. W magazynie firmy był towar ogromnej wartości i maszyny, też nie tanie. Chcąc nie chcąc zatrudniłem firmę ochroniarską. Jakoś tak po tygodniu, wracam w nocy z Gdańska, wchodzę do firmy i widzę „ochroniarza”. Wygląda bardzo młodo, więc pytam:

– Ile masz lat?

– Siedemnaście.

– I ty jesteś agent ochrony? Masz jakąś broń?

Pokazuje mi pistolet startowy, straszak.

– Chłopcze – mówię – Gdyby tu przyszli Zenek i Bronek z ulicy Brzeskiej, to by cię śmiechem zabili.

Zwolniłem tę „ochronę” i nic się nie stało. Nikt nas nie podpalił, a firma zbankrutowała i tak. Z wielu innych powodów. Ale to osobny temat.

No to jazda... z bandytami

W tamtym czasie, w połowie lat 90, pojawiły się już z telefony komórkowe, ale my kierowcy, jadąc z wartościowym towarem, mieliśmy zakaz ich używania bez potrzeby. Podobno bandyci mieli swoich ludzi u operatorów komórkowych i lokalizowali nas po logowaniu telefonu. Nie wiem, czy to prawda, ale napady rzeczywiście były. Załadowana ciężarówka to wspinała okazja dla złodzieja – dużo towaru na kołach.

Jeździłem dla kilku firm, np. Panasonica i odbierałem ładunki z magazynów FM Logistics w Mszczonowie, a później w Błoniach. Na początku tworzone konwoje kilku ciężarówek wyruszających w podobnym kierunku. Pierwsze sto kilometrów towarzyszyła nam uzbrojona obstawa, a później już każdy jechał swoją stroną. Nie wolno nam było zatrzymywać się, samochód musiał być przed wyjazdem zatankowany do pełna. Nie wolno było nawet zatrzymywać się do policyjnej kontroli, bo było sporo przebiezańców. Zamiast zatrzymać się, należało zadzwonić z komórki na policję i powiedzieć: Nie zatrzymałem się, bo mam wartościowy towar i obawiam się napadu.

Mało kto dziś pamięta, że te napady były całkiem realne i były prawdziwą plagą. Pamiętam sprawę „zaginionego TIR-a” gdzieś w Polsce. Po kilku dniach znalazła go policja. Był zaparkowany zwyczajnie przy drodze, Naczepa była pusta, a kierowca martwy, zastrzelony. Był przypadek naszego kolegi kierowcy Scanii, który w długiej trasie był tak zmęczony, że postanowił zatrzymać się na parkingu przy stacji benzynowej i trochę się przespać. Spał godzinę i rusza. Widzi, że rusza dziwnie łatwo z załadowaną do 30 ton naczepą. Spojrzał w lusterko i widzi, że nie ma naczepy!

Teoretycznie nie da się zdjąć naczepy bez wyjechania spod niej ciągnikiem. Policja szybko tajemnicę rozwikłała. Złodzieje ukradli najpierw koparkoładownicę CAT, nią unieśli i obrócili naczepę, po czym zabrali ją drugim ciągnikiem, też kradzionym. Kierowca tego drugiego ciągnika (jechał bez naczepy) został wywabiony z kabiny przez tirówkę.

Kierowcy opowiadali wiele takich historii. „Wziąłem tirówkę, stała na pustkowiu, widziałem, że wokół nikogo nie ma. Ale wiedziała, gdzie wysiąść. Poprosiła, bym pomógł jej wysiąść ‘bo wysoko’. Otworzyłem swoje drzwi i zobaczyłem wycelowany pistolet.”

Muszę przypomnieć, że był to czas, gdy w Polsce nie było jeszcze bankomatów i wiele transakcji załatwiano gotówką. Kierowcy często wozili ze sobą spore sumy pieniędzy. Nie tylko musieli mieć pieniądze na tankowanie i jedzenie w całej trasie, także na ewentualne naprawy, ale bywało, że wieźli pieniądze na zakup powrotnego towaru, lub należność za towar od odbiorcy.

Sam miałem taką sytuację. Jechałem nocą do Poznania. Na pustej o tej porze pseudo autostradzie Konin-Poznań zrównała się ze mną czarna toyota i facet kiwał mi policyjnym lizakiem. Jechałem busem, ale miałem cenny towar: 400 radioodbiorników samochodowych Panasonic i inną elektroniczną drobnicę. On mi lizakiem, a ja mu wała. Zajechał mi drogę i zwalnia, a ja gaz do dechy i długie światła. Omal nie wjechałem mu w tyłek. Odskokczył i pojechał do przodu. Bałem się, czy nie wywali mi na drogę kolczatki, ale spokojnie dojechałem do Poznania.

Było to w czasie, gdy policja już nie zatrzymywała ciężarówek nieoznaczonymi radiowozami i w nocy. Podjechałem w Poznaniu na posterunek policji i opowiadałem całe zdarzenie. Policjant spisał zeznanie i mówi: Policja nie ma toyoty i to na pewno nie była policja. A to, że zapisał pan numer rejestracyjny, jest bez znaczenia. Na pewno fałszywy.

Inne zdarzenie miało miejsce, gdy wracałem do Warszawy na pusto. Wyjeżdżałem z Radomia i wziąłem autostopowicza. Robiłem tak nie raz, gdy nie miałem ładunku i uważałem, że nie ma z czego mnie okraść. To był taki chłopak, na oko dwadzieścia parę lat. Nie wyglądał podejrzanie. Zaniepokoiło mnie to, że na podwójnym siedzeniu pasażerów usiadł blisko, mnie, a nie koło okna. Nikt tak nie robił. Kazałem mu zapiąć pas. Ociągał się, ale zapiął. Natomiast ja dyskretnie pas odpiąłem. Wyjechaliśmy za miasto, a on wyciąga nóż i krzyczy: Dawaj kasę!

Nie wiedział pętał na kogo trafił. Dostał dwa szybkie uderzenia techniką, którą w kung fu nazywamy skorpionem. Jedno w nos, drugie w splot słoneczny. Film mu się urwał, ale wiedziałem, że tylko na chwilę. Miałem w kabinie takie taśmy zaciskowe do mocowania ładunku. Jedną skrępowałem mu ręce na plecach, a drugą nogi. Luźnym odcinkiem taśmy (ma toto ze cztery metry) przywiązałem go jeszcze do poręczy siedzenia. Nóż mu wypadł i leżał na podłodze.

Po chwili facet się ocknął i mówi:

– Co się stało?

– To, że trafiłeś na lepszego od siebie – mówię i zawracam w stronę Radomia.

– Ja tylko żartowałem – mówi przerażonym głosem.

– Ale ja nie żartuję.

Podjechałem na posterunek policji i przekazałem gościa oraz nóż. Spędziłem tam parę godzin, bo spisywanie zeznań, czekanie na prokuratora... Do wieczora zeszło. Prokurator przesłuchiwał nas kolejno i zażądał konfrontacji. Facet mówi, że to były żarty, że jest moim kolegą.

– A skąd – pytam.

– Ze szkoły.

– A z której?

Tego jakoś nie mógł sobie przypomnieć, tak samo tego, jak mam na imię. A później mówi:

– To nie mój nóż.

– Ale odciski palców twoje – odparł prokurator.

To był jeden z niewielu przypadków, kiedy (poza sportem, ring, treningi) kogoś uderzyłem.

Minął czas jakiś i dostaje list z prokuratury, mniej więcej takiej treści: sprawę umorzono, ponieważ do napadu ostatecznie nie doszło, bo przeszkodził poszkodowany. To nie było najgłupsze pismo z prokuratury, jakie w życiu widziałem.

No to jazda... z przygodami.

Ludziom, którzy jeżdżą tylko prywatnie samochodami osobowymi, wydają się, że praca kierowcy jest niezbyt ciężka. Ot, siedzi sobie taki i tylko kręci kierownicą. Nic bardziej błędnego. W czasach, które opisuję, nie było jeszcze tachografów i przepisów ograniczających czas pracy kierowcy. Dwadzieścia godzin jazdy non stop, spanie w kabinie pod rampą, wielogodzinne oczekiwania na rozładunek lub załadunek, ręczne przenoszenie ciężkich paczek, to była norma.

Ot taki przykład: Trasa z Warszawy do Poznania, dalej Szczecin, Gorzów Wielkopolski, Wrocław, Gliwice, Warszawa. 1600 kilometrów, 22 godziny samej jazdy, plus załadunki, rozładunki, w sumie półtorej doby za kierownicą. Pod koniec, w Piotrkowie, byłem tak zmęczony, że zapomniałem skrócić w kierunku Warszawy i zaliczyłem jeszcze całkowicie niepotrzebnie Łódź.



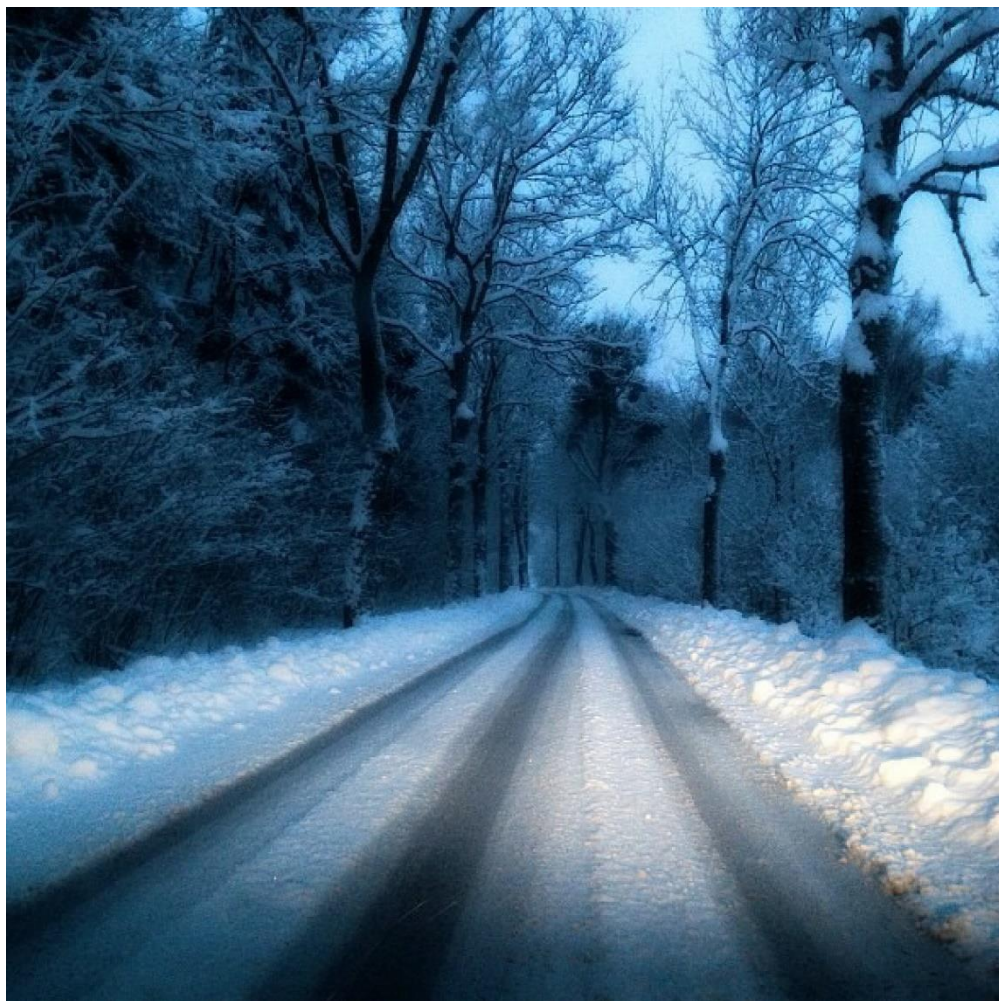
Fot. Krzysztof Łoziński



Fot. Krzysztof Łoziński

Trasa zimowa

Z Warszawy do Lubartowa jadę po skóry z garbarni. Niby prosta sprawa, ale się nieco skomplikowała. Jadę przez Lublin i cofam się do Lubartowa. Załadunek i do domu... I tu nie całkiem wyszło. Przypominam, że wówczas jeszcze nie wynaleziono nawigacji. Spojrzałem na mapę i zobaczyłem, że z Lubartowa do trasy lubelskiej jest skrót, taka lokalna droga. Słusznie, po co się cofać do Lublina? Wjechałem w tę drogę i od razu skojarzyłem, że to błąd. Droga lokalna była nie odśnieżona. Jest tylko głęboki wyjeżdżony przez samochody ślad w ponad półmetrowym śniegu. Nie ma jak zawrócić, bo to właściwie rynna w śniegu i lodzie.



Fot. Zuzanna Glinkowska

No trudno. Jadę do przodu. Mercedes ma wprawdzie napęd na tył, ale jest ciężko załadowany, więc ma przyczepność. Przejechałem przez jedną wieś, drugą i las. Dotąd wszystko dobrze, ale wyjechałem z lasu w pola. I tu szok – nie ma drogi! Wiatr zawiał drogę na równo. Przejechałem jakieś sto metrów i zakopałem się. Prawdopodobnie zahaczyłem o rów. Jestem w zwykłych miejskich spodniach i półbutach. Miałem przecież kierować busem, a nie kopać się w śniegu.

Wyciągam łopatę i do roboty. Co z jednej strony odkopię, to z drugiej wiatr śnieg nanosi i zakopuje. Robota beznadziejna. Po jakiejś godzinie nadciąga zbawienie. Nadjeżdża kamaz. Jest tak duży i ciężki, że 70 cm śniegu go nie rusza. No i jest miejscowy. Wie, gdzie jest droga, której nie widać. Kamaz wyciąga mnie, a później jadę za nim. Gdy dojechałem do szosy lubelskiej, to miałem ochotę ziemię ucałować. Ale nawet tu

nie jest lekko. Zerwał się silny wiatr i nawiewa zaspy na drogę. Nie da się szybko jechać. Wlokę się do rana.

Rozładowuję skóry w Milanówku i wracam do domu. A tu wiadomość radosna. Jest kurs do Krakowa z towarem do marketu HIT. Wymusiłem na kliencie, że godzinę się prześpię.

Tu muszę wyjaśnić, dlaczego nie odmówiłem. Odmowa kursu na ogół oznacza stałą utratę klienta. Jak znajdzie nowy transport, to najczęściej już do mnie nie zadzwoni. A więc nie ma przebaczyć. Trzeba jechać.

W nocy spadła temperatura i drogi pokryły się lodem. Droga przez pierwsze 50 km od Warszawy jest dwupasmowa, ale później się zwęża. Jadę wolno po czystym lodzie, ale na tym zwężeniu muszę lekko skrócić. I tu mnie obróciło o 360 stopni. Samochód z przeciwka, ucieka przed zderzeniem i wpada do rowu. Nic im się nie stało, ale po dżentelmeńsku muszę ich wyciągnąć. Straciłem godzinę, podaliśmy sobie ręce i jadę dalej.

Docieram do celu po 16-tej. Sklep owszem czynny, ale magazyn już nie.

– Zapraszamy jutro – mówi cieć.

Nie mam wyboru. Wyciągam śpiwór i śpię do rana. Przynajmniej jestem na strzeżonym zamkniętym parkingu pod rampą.

Po południu jestem w domu.

– Dzwonił jakiś facet, ale zadzwoni później.

O kurde, niech nie dzwoni, niech nie dzwoni... Nie zadzwonił. Co za ulga.

Też zima, Gołdap

Klient z Łomży zamówił kurs z Gołdapi do Warszawy. Mam przywieźć wykładziny „takie na podłogę”. Spytałem, czy to wejdzie na busa 1600 kg. Wejdzie, wejdzie – zapewnia klient. Klienci z Łomży i okolic, nazywani „Kurpsiami”, nie mieli najlepszej prasy wśród kierowców. Ja też miałem z nimi niedobre doświadczenia. Jakoś niemal zawsze taki klient próbował mnie orżnąć przy rozliczeniu albo wręcz nie zapłacić. Ale oczywiście nie wszyscy.

Jadę z Warszawy do Gołdapi. Kawał drogi. Jest spory mróz, ale mercedes ma dobrze ogrzewaną kabinę. Odbieramy z granicy towar. Ja i klient siedzimy w kantorku i pijemy herbatę, a jego pracownicy ładują. Idę do samochodu i widzę, że jest bardzo obciążony. Osiadł na resorach tak, że ledwo ma jakąś przestrzeń pod sobą. Otwieram tylne drzwi i widzę całe bele... linoleum! Ja myślałem, że chodzi o wykładziny dywanowe, ale linoleum jest ciężkie jak cholera.

– Panie szanowny, ile to waży?

– Jakies dwie tony – mówi.

Zrobiłem błąd, a właściwie dwa. Pierwszy, że mu uwierzyłem, a drugi, że zgodziłem się jechać. Myślałem, że samochód przeładowany o 400 kilogramów, to jakoś ujdzie. W końcu, czy 1600, czy 2000 niewielka różnica. Tym czasem facet mnie zwyczajnie oszukał. Jak później policzyłem na podstawie faktur, ładunek ważył 2800 kg, o 1200 kg za dużo.

Klient wsiadł w swoją osobówkę i odjechał, a ja ruszam w trasę. Wychodząc z przejścia granicznego spojrzałem na termometr: -22 °C. To nie były takie drogi jak dziś. Jadę słabo odśnieżoną drogą wśród metrowych zasp. Wokół las i nie ma żadnego ruchu. I nagle trach! Coś pękło, silnik pracuje, ale nie ciągnie. Szybko orientuję się, co się stało. Pękł wał napędowy.



Fot. Zuzanna Glinkowska

Jestem na pustkowiu, zapada zmrok i cholera wie co robić. Wówczas jeszcze nie miałem telefonu komórkowego, komórki dopiero się zaczynały. Trzeba zadzwonić po pomoc, ale skąd. Idę do przodu drogą przy latarce. Po jakimś kilometrze widzę wydeptaną w głębokim śniegu ścieżkę w bok i światła jakiejś wsi. Fajnie się mówi – idę. Ale ja mam półbuty i cienkie spodnie. Miałem jechać samochodem, a nie łązić po zaspach.

Doczłapałem się do wsi i znalazłem sołtysa. Sołtys jako jedyny we wsi miał telefon. Dzwonię do mojej partnerki, a tu zajęte i zajęte. No tak, gada przez telefon, a ona tak może nawet godzinę. Sołtys się niecierpliwi. W końcu wpadłem na pomysł, by zadzwonić do sąsiadki z tego samego bloku.

– Powiedz jej, żeby odłożyła słuchawkę, bo nie mogę się dodzwonić.

Zadziałało. Teraz dziewczyna musi kupić wał na szrocie i znaleźć inną firmę transportową, która przywiezie mi wał do wymiany i zabierze część ładunku. Wracam do samochodu i czekam. Nad ranem przybywa podobny bus z wałem. Przeładowujemy rękami (wózka widłowego tu nie ma) ciężkie bele. Kolega odjeżdża, a ja kładę się w śnieg pod samochód i wymieniam wał. Jestem zmęczony zmarznięty, wał ciężki jak cholera, skóra mi przymarza do kluczy. Ale zrobione.

Odpalam silnik i jadę. Odpalam to sukces. Diesel po kilku godzinach na takim mrozie może nie zapalić. Wreszcie ciepło w kabinie. Po dziesiątej rano jestem w Warszawie. Rozładunek i do domu.

Dzwonię do klienta i mówię, że mnie oszukał co do wielkości ładunku, że musiałem wezwać drugi samochód i muszę za to zapłacić. O on na to:

– Ta nie moja wina, że panu się samochód popsuł.

No tak, Kurpsie. Wszystko się zgadza. Później opowiadam o tym innym kierowcom. Mieliśmy taką nieformalną giełdę informacji o nieuczciwych klientach.

Meganka za Bełchatowem

Jadę nocą do Wrocławia. Wyjechałem z nowej bazy FM Logistic w Błoniach późnym wieczorem. Mam towar do rozwiezienia po kilkunastu sklepach we Wrocławiu. Konwój odprowadził mnie sto kilometrów i zawrócił. Jadę sam. Mam mnóstwo czasu, bo sklepy otworzą dopiero rano, więc jadę dosyć wolno, tak 60-70 km/godz. Za Bełchatowem zaczyna się droga przez kolejne wsie. W jednej z nich wyłazi na drogę pijany facet. Ostro hamuję i mijam go.

Od pewnego czasu jedzie za mną jakiś samochód. W nocy widać w lusterkach tylko światła. Nie wiesz nawet czy to osobówka, czy ciężarówka. Gdy przyhamowałem samochód za mną wyprzedza. Renault Megane wyprzedza mnie i nagle złośliwie mocno hamuje. Muszę zwolnić. Napad, czy co? Ale nie, meganka przyspiesza i hamuje znowu. Ot taka złośliwa zabawa. Odsuwam się od głupka na pięćdziesiąt metrów i wtedy z bocznej drogi wyjeżdża Tatra. Ciężka wielka wywrotka. Facet z meganki hamuje znowu, a zaskoczony kierowca Tatry wjeżdża mu w tyłek. Ten kierowca nie spodziewał się takiego zagrania, a ten z meganki nie zauważył, że to nie ja już za nim jadę.

Tatra to bryła żelaza, żadnej strefy zgniotu. Wjechał w megankę prawie do połowy, aż prawie do siedzenia kierowcy. Kierowca meganki wyskakuje z rozbitego samochodu wściekły. Ma telefon komórkowy i dzwoni na policję. A ja stanąłem i czekam. W końcu jestem świadkiem wypadku.

Przyjechała policja, facet się awanturuje, kierowca Tatry tłumaczy, że on mu nagle zahamował przed nosem. Ten z meganki wykrzykuje o bezpiecznej odległości od poprzedzającego samochodu. Przychodzi kolej na moje zeznanie. Mówię, że ten człowiek kilka razy hamował mi złośliwie przed nosem.

– Bo pan pierwszy zahamował!

– Ja przyhamowałem, aby nie rozjechać pijanego przechodnia, a on hamował na złość – mówię i dodaję:

– Ten chłopak z Tatry się niczego nie spodziewał, bo włączył się do ruchu przed chwilą.

Gość z meganki znowu o bezpiecznej odległości, o ostrożności...

– Bezpieczna odległość to jest wtedy, jak pan normalnie jedzie, a nie sztuki wy-czynia – mówi policjant – To jest celowe spowodowanie wypadku z pana strony.

Policjant spisuje protokół: celowe spowodowanie wypadku. Dobrze ci tak pa-jacu – myślę. Samochód skasowany, żadne ubezpieczenie nie działa. To się nazywa prze-pływ mądrości przez dupę do głowy. Policja nie wystawiła mandatu, skierowała sprawę do prokuratury. Po kilku miesiącach składałem zeznania w prokuraturze w Warszawie. Jak się sprawa skończyła nie wiem.

To wydarzenie powinno być przestrogą dla wszystkich drogowych dowcipni-siów. Gdyby prędkość Tatry była tylko trochę większa, facet by tego nie przeżył.

Glińojek w tę i z powrotem

Jadę wieczorem do Gdańska. Po drodze, w Glińojeku, jest cukrownia. Chłopi przywożą tu traktorami buraki. Cukrownia jest dobrze oświetlona, więc zmieniam świa-tła na krótkie. Po chwili wjeżdżam w mrok. Włączam długie i nagle widzę blisko przed sobą zawracający przez całą szerokość drogi nieoświetlony traktor z przyczepą. Hamuję z piskiem opon. Omal na niego nie wpadłem. Facet nie ma dokładnie żadnego światelka.

Wyskakuję do niego wkurzony do czerwoności.

– Dlaczego pan jedzie bez świateł?

– A bo jak odpaliłem, to syn mi akumulator zabrał (rzeczywiście, silnik diesla nie potrzebuje prądu do pracy).

– Człowieku, ja bym się przez ciebie zabił!

– Ale ja tu tylko kawałek, do cukrowni.

W tamtym czasie na drogach krajowych było wszystko: psy, kury, dzieci, ro-wery, furmanki, traktory... Właściwie za porządną budowę dróg wziął się dopiero pierw-szy rząd PO-PSL. Wcześniej budowano drogi dosyć niemrawo, zwłaszcza jeszcze w la-tach 90. Nieoświetlone traktory były plagą. Swoistym wynalazkiem był traktor ciągnący przyczepę z sianem. Siano zwisało i zasłaniało światła. Taki pojazd był prawie niewi-doczny.

Następnej nocy wracam z Gdańska. Znowu okolica Glińojeka. Jedzie jakiś sa-mochód z przeciwnika. Obaj zmieniamy światła na krótkie i nagle widzę, że on wali w coś niewidocznego w ciemności. Uderzenie jest potężne. Jakieś kawałki samochodu lecą w bok przed moją maską. Hamuję i zjeżdżam na pobocze. Po chwili jest policja, która

jechała jakieś dwieście metrów za mną. Za chwilę karetka, straż pożarna, ale nie mają co robić. Nie ma żywych do ratowania.

Kompletnie rozbity samochód wbity w tył nieoświetlonego traktora. Cztery trupy, czterech mężczyzn. Kierowca traktora żywy, nic mu nie jest, tylko wypadł do rowu. Policjant sprawdza światła traktora. Nie działają, choć nie są zniszczone.

Składałem zeznania. Jestem wstrząśnięty tym, co widziałem. Mówię, że zabierałbym prawa jazdy tym, co jadą bez świateł.

– Ale on w ogóle nie ma prawa jazdy – mówi policjant – Tak jest na wsi. Jest ciągnik, jeden ma prawo jazdy, a jedzie kto wsiądzie, nawet dzieciaki. Albo nawet nikt nie ma prawa jazdy, a wszyscy jeżdżą.

Przez jednego głupka zginęło czterech ludzi. A tego głupka czeka solidny wyrok.

Kraków po nocy

Przez kilka miesięcy jeździłem nocą do Krakowa i z powrotem. Wozilem do Warszawy krakowskie bajgle (do dziś nie rozumiem, czemu nie mogli ich piec w Warszawie). Bajgle to takie duże obwarzanki, specjal krakowski. Wieczorem zabierałem puste kosze, jechałem do Krakowa przez Radom, Kielce i kieleckie góry, zabierałem w drogę powrotną pełne kosze bajgli.

Z Warszawy mogłem wyruszyć dopiero po dwudziestej, bo czekałem na kasę zebraną ze stoisk. Wiozłem ze sobą parę tysięcy złotych, ale nie mogłem się zatrzymać nie z tego powodu. Musiałem być w Krakowie o dwudziestej czwartej. Przy ówczesnej jakości drogi, cztery godziny do Krakowa ciężarówką, 300 kilometrów, oznacza gaz do dechy i żadnych przerw na kawę. Załadunek trwał ok. godzinę, bo bajgle jeszcze wyjeżdżały stopniowo z pieca. Gorące pieczywo na pacy powodowało ciekawy efekt: wszystkie szyby zaparowane. Wyruszałem o pierwszej, co chwila przecierając przednią szybę od środka, a w Warszawie musiałem być o piątej, bo trzeba było rozwieźć towar na stoiska. Oczywiście rozwoziłem też ja. Około ósmej rano fajrant, do ósmej wieczór i następny kurs.

Taki tryb pracy miał dwa aspekty uboczne. Pierwszy to narastające zmęczenie. Gdy pracuje się w nocy, to tylko pozornie wypoczywa się w dzień. Spanie w dzień to zawracanie głowy. Po prostu organizm nie chce się przestawić na taki rytm. To nie sen, to jakieś cherlawe drzemki.

Aspekt drugi to narastające zmęczenie z każdym kolejnym dniem. A to z kolei owocuje zasypianiem za kierownicą. Każdy powrót do Warszawy to walka z zasypianiem. Nic nie daje głośne radio, gadanie, śpiewanie itp. Później nauczyłem się, że pewien skutek dają dwie metody. Pierwsza, trzeba cały czas coś jeść, jakieś miętuski, landrynki itp. Metoda druga to nadmuchiwanie zimnego powietrza na twarz. Ale wszystko to działa do pewnego momentu. Przy naprawdę dużym zmęczeniu nie pomaga nic.

Miałem kilka naprawdę groźnych incydentów, gdy po kilkusekundowym przysnięciu budziłem się prawie w rowie albo prawie w zderzaku poprzedzającego pojazdu.

Jedzie się!

No i w końcu incydent naprawdę groźny. Musiałem przysnąć trochę bardziej, bo budzę się i widzę: po prawej jedna jezdnia, po lewej druga, a ja jadę po pasie zieleni pośrodku. Na liczniku 130 km/godz. Gdyby tam był jakiś słup albo bariera, tobym się zabił.

Każdy policjant powie, jak jesteś zmęczony, to nie jedź. Ale warunkach tamtego czasu, oznaczało to wylecenie z roboty. Rozwiązanie dziś jest – normy pracy kierowcy, których wówczas nie było. Ale firmy transportowe i dziś w tej sprawie oszukują.



Fot. Krzysztof Łoziński

W czasie tych jazd krakowskich miałem jeszcze jeden ciekawy incydent. Wracam z Krakowa po północy. Przed Radomiem jest miejscowość Orońsko. Pada śnieg z deszczem, widoczność fatalna. I nagle w tym Orońsku widzę na środku drogi pijanego gościa siedzącego na asfalcie. Zrobiłem tak gwałtowny manewr, by go ominąć, że mało samochodu nie przewróciłem. Jakiś dwieście metrów dalej stoi policja. Podjechałem do nich i mówię:

– Panowie, tam na środku jezdni siedzi pijany facet, zróbcie coś z nim, bo omal go nie przejechałem.

– A to Józek. Szkoda, że go pan nie przejechał.

Musieli mieć go serdecznie dosyć, ale jednak się nim zajęli.

Mercedes pojawia się i znika

Wstaję rano. Jest niedziela, nigdzie nie jadę. Podchodzę do okna i... Nie ma samochodu! Patrzę na parking. Nie ma. Zaraz, może zaparkowałem gdzie indziej. Ubieram się o obchodzę osiedle. Fakty są nieubłagane. Samochodu nie ma. Ukradli mi samochód.

Jeśli ktoś nie przeżył tego samego, to nie wie, jakie to paskudne uczucie. Mercedes 310 D był moim głównym źródłem utrzymania, moją pracą. Wprawdzie pisuję artykuły do paru gazet, ale z takiego okazjonalnego pisania przeżyć się nie da. To taka gra do jednej bramki. Wysyłam artykuł do redakcji i czekam. Opublikują, czy nie, bo jak nie, to tylko się narobiłem, zmarnowany czas i wysiłek. Honoraria za artykuły i zdjęcia mogą być dodatkiem do stałego dochodu, ale go nie zastąpią.

Jak mi kiedyś zdradził Piotr Stasiński, jest wśród autorów zewnętrznych spora konkurencja. Redakcja Gazety dostaje często kilka artykułów na ten sam temat. Sam widziałem w redakcji dwa niemal identyczne teksty. Janka Widackiego i mój. Poszedł artykuł Widackiego, bo to profesor prawa, a ja zwykły publicysta.

Dzwonię na policję i zgłaszam kradzież samochodu. Musze jeszcze podjechać na posterunek by złożyć zeznania. Mam poważny problem. Zostałem bez środków do życia. Pomoc przychodzi z redakcji Wyborczej. Juliusz Rawicz pożycza mi pięć tysięcy złotych. Mój dobry znajomy, Zbyszek Mianowski, współwłaściciel serwisu Mercedesa na Grochowie, mówi, że jest do kupienia samochód, „grat, ale jeździ”. Zbyszek to mój dawny uczeń. Najpierw uczyłem go fizyki w liceum, później uczyłem go kung fu i judo przez dobre kilka lat, a w końcu naprawiał moje samochody. Jego ojciec i brat wściekali się, że nie bierze ode mnie pieniędzy, a Zbyszek mówił: Ja u niego pięć lat trenowałem za darmo, to mu naprawiam za darmo.

Kupiłem Citroena C 35 w koszmarnym stanie technicznym, ale jaką ciężarówkę można było kupić za pięć tysięcy? Przecież nie nową. Spędzam u Zbyszka cały dzień i razem z jego pracownikami spawamy w gracie co się da. Na drugi dzień wszyscy mamy zapalenie spojówek od światła spawarki.

Ale wróćmy jeszcze do ukradzionego mercedesa. Po sześciu miesiącach policja zawiadamia mnie, że mercedes się znalazł. Jest na parkingu depozytowym w Ursusie. Odbieram go i dowiaduję się, że policja znalazła go tej samej nocy, której go ukradziono. Ponoć to typowy przypadek. Złodzieje mieli dużo kradzionego towaru do przewiezienia, więc ukradli busa i go porzucili. Ale dlaczego policja zawiadamia mnie po pół roku? Wściekły opisuję to w Gazecie Wyborczej. Jest odpowiedź policji na mój artykuł. Policja „niezwłocznie” odwozła samochód na parking depozytowy, „niezwłocznie” wszczęła postępowanie, „niezwłocznie” powiadomiła Komendę Stołeczną, ta „niezwłocznie” powiadomiła Komendę Dzielnicową, a ta „niezwłocznie” powiadomiła mnie. Czyli pięć „niezwłoczni” trwało pół roku.

Ale nie ze mną te numery Brunner. Wziąłem się do dziennikarskiej roboty i doszedłem o co chodzi. W Policji działa fundacja promująca sport w policji. W jej zarządzie zasiadają oficerowie policji. Ta fundacja prowadzi parkingi depozytowe i dochody

z nich idą na sport w policji oraz pensje zarządu. Parkingi są na terenie należącym do policji i pilnuje ich policja, a fundacja kasuje po kilka złotych dziennie od każdego samochodu. Płaci za to Skarb Państwa. Na tym parkingu w Ursusie jest ponad tysiąc samochodów. Niezła kasa dla fundacji.

Zaczynam docierać do innych ludzi, których samochody dotknęła „niezwłoczność”. Jeden pan był na imprezie i trochę wypił. Zszedł do samochodu zaparkowanego pod domem po dokumenty i akurat napatoczył się patrol policji. Stwierdzili, że jest „pod wpływem” i zgarnęli go na dołek za jazdę popijanemu. Facet nie jechał, tylko siedział w samochodzie, silnik nie był uruchomiony, blokada skrzyni biegów nie była zdjęta. Nie szkodzi, dołek, postępowanie, samochód (prawidłowo zaparkowany) na parking depozytowy. Sąd w końcu człowieka uniewinnił, samochód po kilku dniach odzyskał.

Inny pan budzi się rano i widzi, że nie ma samochodu. Zgłasza kradzież. Zaczyna działać „niezwłoczność” i po dość długim czasie samochód się znajduje, na parkingu policji, a jakże. Okazuje się, że wcale nie był kradziony. Złodziej wybili szybę i ukradli radio. Jechał patrol policji, zobaczył samochód z wybitą szybą i zarządził odholowanie na parking depozytowy, a właściciela zawiadomiono, jak mnie – „niezwłocznie”.

Citroen

Citroen C 35 to dość osobliwa konstrukcja. Mawiałem, że trzeba być jednym Francuzem, by skonstruować taki samochód, a drugim, by nim jeździć.

Zacznijmy od silnika. Diesel, 3 litry pojemności, spora moc, ale silnik kręci się w przeciwną stronę niż wszystkie inne silniki samochodowe. Po co? A czort go zna. Ponieważ kręci się na opak, to za silnikiem jest zwolnica, by zmienić obroty na właściwe. Firma Citroen bardzo lubi bawić się w hydraulikę, więc w samochodzie jest dużo hydraulicznych rurek, które lubią pękać.

Zwariowany jest układ hamulcowy. Nie ma serwa i pompy, jak w innych samochodach, tylko jest pompa na skrzyni biegów, która cały czas pompuje płyn hamulcowy. Gdy wciska się hamulec, to tylko otwiera się zawór, a płyn cały czas jest pod ciśnieniem. Ma to kilka wad. Po pierwsze, wciśnięcie sprzęgła powoduje odłączenie skrzyni biegów, a więc i pompy. Gdy wciśnie się sprzęgło, samochód w pierwszej chwili jeszcze hamuje, bo jeszcze ma ciśnienie, ale po paru sekundach hamowania ciśnienie spada i hamulców nie ma. Wada druga: przy wyłączonym silniku hamulców hydraulicznych niebma. Nie są słabsze, jak bez wspomagania, tylko nie ma wcale. Gdy stoi się na pochyłości, trzeba zaczepiać się skreconym kołem o krawężnik, bo szkopał jest taki: Odpalam silnik na wciśniętym sprzęgle (inaczej się nie da), skrzynia biegów jest odłączona, więc hamulców nie ma. Samochód sam zaczyna jechać, z góry do przodu, a pod górę do tyłu. Hamulce pojawiają się dopiero, gdy wrzucam bieg i puszczam sprzęgło.

Zaraz, zaraz, powie ktoś, ale przecież jest ręczny. A nie. To kolejny francuski wynalazek. Hamulec ręczny nie jest na kołach, tylko na niewielkim kółku zamachowym za skrzynią biegów i jest bardzo słaby. Gdy wciskam sprzęgło odłączam ręczny.

A zresztą hamulec ręczny przy samochodzie ważącym trzy i pół tony to niemal fikcja. I kolejny dowcip. W każdym samochodzie zdarza się pęknięcie gumowego przewodu hamulcowego. Ale w innych samochodach hamulce jeszcze chwilę pracują. W citroenie C 35 pompa natychmiast wywala cały płyn hamulcowy na drogę. Traci się hamulce w ciągu sekundy. I na koniec, płyn hamulcowy jest zupełnie inny, niż w innych samochodach.

No i jeszcze resory. Zamiast normalnych resorów, drążki skrętne. Dobre to w lekkiej osobówce, ale nie w ciężarówce o takiej wadze. Te drążki bardzo lubią pękać, nawet na postoju. Kiedyś czekałem na rozładunek w Płocku i nagle: łup! Pękł drążek. Przedni most oparł się bezpośrednio na ramie. Gdy wracałem do Warszawy policzyłem własnym kręgosłupem wszystkie ryski na asfalcie, bo resorowania nie było wcale.

Gdy policja w końcu zwróciła mi mercedesa, już pół roku jeździłem citroenem. Miałem nagle dwa samochody i musiałem wybrać, który sprzedać, a który zatrzymać. Zrobiłem kolejny życiowy błąd. Wybrałem citroena, bo miał większą ładowność.

Sorkwity i z powrotem

Jadę z ładunkiem mebli. Małżeństwo znajomych mojej partnerki z wydawnictwa „Edipress” kupiło dom na Mazurach i się przeprowadza. Jadą razem ze mną swoim samochodem. Po około stu kilometrach zapala się czerwona lampka hamulców. Nie ma płynu hamulcowego. Pękł przewód gumowy i płyn wyleciał w ciągu sekund. Jest prosta droga, nikogo przede mną, hamulców nie mam, ale wrzucam na luz i samochód sam staje. Jest piątek po południu. Wszystkie warsztaty i sklepy z częściami już zamknięte. Zostawiamy citroena i jedziemy osobówką na stację benzynową, by coś wykombinować. Przewodów gumowych nie mają, ale mają takie „smoczki”, które zakłada się na świece w silnikach benzynowych. Kupujemy nowy płyn hamulcowy i próbuję tymi „smoczkami” oraz taśmą izolacyjną załatać. Starcza na drugie sto kilometrów.

Powtarzamy zabieg i znowu na trochę działa. W Olsztynie, w mieście, znowu wylatuje płyn. Zjeżdżam na chodnik na niewielkim mostku i dłubię w tym mechanizmie. Podjeżdża policja.

– Panie kierowco, nie wolno parkować na moście.

– A jechać bez hamulców wolno?

Tłumaczę, że straciłem hamulce i muszę stanąć. Dają spokój i jadą dalej. Znowu trochę załatałem i po kolejnych kilometrach historia się powtarza. Wreszcie docieramy do Sorkwit i skręcam na ich działkę. Jeszcze raz coś tam łątam i zaczynam wracać. Ostatnia łątanina przed Olsztynkiem, a później robi się ciemno i nie już nie wykombinuję. Wracam do Warszawy bez hamulców. Wolniutko i ręczny. W ostateczności jedynka i gaszę silnik. W domu jestem dopiero rano. Przejechałem 300 kilometrów bez hamulców.

Rano dzwonię do Zbyszka i mówię, że jadę do warsztatu, ale 10 na godzinę, bo nie mam hamulców.

– Nigdzie nie jedziesz – mówi Zbyszek – przyjedzie mój pracownik z przewodem hamulcowym. Wymieni ci na miejscu.

Czasem dobrze mieć kolegów.

Wypadek

Jest zima, jadę do Mszczonowa do magazynów FM Logistics. Jestem na Puławskiej między Ursynowem a Piasecznem. Zbliżam się do skrzyżowania. Zapala się czerwone światło i samochody przede mną hamują. A mnie się zapala czerwona lamka hamulców.

Straciłem hamulce, ale na gwałt muszę się zatrzymać, bo przede mną są samochody pełne ludzi. Zaciągam ręczny, ale skutek jest żaden. Skręcam na chodnik, ale rozpędzony samochód bez hamulców gna dalej. Obok na skwerku jest głęboki śnieg. Może on mnie zatrzyma, ale nic z tego. Pędzę prosto na przystanek pełen ludzi. W ostatniej chwili widzę masywny betonowy słup i celowo walę w niego czołowo. Samochód obraca o 180 stopni. Cały przód rozbity. Nic mi nie jest, ale jestem roztrzęsiony z emocji. Celowo spowodowałem wypadek, by nie uderzyć w ludzi.

Co się stało? Oczywiście pękł gumowy przewód hamulcowy i pompa wywaliła w sekundę cały płyn. Koledzy mnie później pytali, czemu nie hamowałem silnikiem. Nie miałem na to czasu. To wszystko trwało krócej, niż się to czyta.

Przyjeżdża policja, którą ktoś wezwał. Pytają, czy ktoś jest poszkodowany. Mówię, że nie. Odjeżdżają. Dzwonię do Zbyszka. Przysyła mi lawetę, za którą niestety muszę zapłacić, bo nie jest jego. Ściągamy grata do warsztatu. Na szczęście zniszczona jest tylko blacharka, da się pospawać.

Dwa dni później dzwoni Zbyszek.

– Przyjedź do warsztatu, bo musisz coś zobaczyć.

Pokazuje mi felerny przewód hamulcowy. Sam nie pękł, jest jednoznacznie nadcięty nożem. Oraz jeszcze cybant mocujący przewód.

– Pierwszy raz widzę zardzewiały cybant, który sam się poluzował – mówi Zbyszek.

Ktoś mi „pomógł” ulec wypadkowi. Sprawa jest oczywista. Ale kto? Samochód był zaparkowany na dworze. Każdy miał do niego dostęp. W tamtym czasie opublikowałem książkę „Piekło Środka – Chiny a prawa człowieka”. Było w Polsce środowisko bardzo z tego niezadowolone. Ale, cóż, dowodów nie mam. Syn zapytał mnie:

–Tato, czy ty zawsze musisz wsadzać palce między drzwi?

Citroen umiera na rdzę.

Jestem w Mszczonowie. Pracownicy magazynu ładują mi towar Panasonica. Cała paletę baterii. I jeszcze drugą i trzecią. Baterie są ciężkie jak cholera. I nagle trach! Rama samochodu złamała się pod ciężarem tuż za kabiną. No fakt, nowa to ona nie była.

J e d z i e s i ę !

Tego się już naprawić nie da. Citroen umarł na rdzę, jak kiedyś Maluch.

Skończyło się moje szoferowanie, a Polska znormalniała. Dostałem normalną pracę jako dziennikarz, ale to już inna opowieść.

To wszystko może dziś wydawać się jakąś paranoją. Samochody graty, jazdy bez hamulców, napady na drogach, na drogach krajowych, wąskich jak lokalne, psy, kury i rowery. Ale to był taki czas. Tak jak powiedział Tolek Lawina: taniec wariatów na ruchomych piaskach.

Filar



Kongderi z Namche Bazaar. Po lewej Kongderi Shar (niższy wierzchołek 6093 m), dalej Kongderi Lho (główny wierzchołek, 6187 m), i Teng Kang Poche (6500 m). Fot. Krzysztof Łoziński

Lukla

Pilot Ang Nima Sherpa wygląda bardzo młodo, ale mówi, że ma 35 lat. Upycha mój plecak na tylnych siedzeniach Cesny. Małej, czteroosobowej Cesny. Ten lot to fart. Wszystkie normalne loty do Lukli są dawno wysprzedane, dla mnie miejsca nie ma, ale właśnie zjawił się Ang Nima, który leci do Lukli po chorego, ale bogatego gościa i ma wolne miejsce.

Targujemy się o cenę. Wiem, że ten gość ma zapłacone loty w tę i z powrotem i to dla niego ekstra zarobek, a ja muszę oszczędzać. Wydałem już 120 dolarów na lot z Delhi do Katmandu i miałem dalej iść „dołem”, czyli autobusem do Jiri i z Jiri przez góry z jednym tragarzem, albo i bez, ale nie dało się. Maoistowska partyzantka trochę

się rozbuchała. Ang Dawa, zaprzyjaźniony z Polakami agent w Katmandu odradza. Od dużych grup zbierają tylko „bilety na rewolucję”. Co głupszy turyści nawet się takimi biletami chwala. Ale samotnego wędrowca mogą zabić i obrabować. Lecę więc do Lukli samolotem. Ang Nima Sherpa trochę odpuszcza z ceny i lecimy.

Po starcie z Katmandu widzę, że jest sporo chmur, ale pilot zupełnie się tym nie przejmuję. Lecimy wzdłuż doliny nad Lamosangu i Cherikot. W okolicy Jiri zaczynamy mocno się wznosić. Trzeba przeskoczyć nad Lamjura Pas, przełęcz na wysokości 3600 m. Wlatujemy w chmurę. Białe mleko, nic nie widać. Samoloty latają na przyrządy bez widoczności, ale nie w górach!



Rolwaling Himal z lotu do Lukli. Fot. Krzysztof Łoziński

– Are you sure? Are don't a fear? We are flying between the montains! (Jesteś pewien? Nie boisz się? Lecimy między górami!).

– I know where its are. (Wiem, gdzie one są).

I jego i mój angielski dalekie są od perfekcji, ale w Nepalu nikt się tym nie przejmuję. Ja chyba mam pietra, ale udaję, że nie. Ten pilot to niezły wariat, myślę, ale co ja zrobię, przecież nie wysiądę.

Facet jest maksymalnie skupiony i nagle mówi:

– Now! (Teraz!)

I ostro skręca. Wylatujemy z chmur. Czuję, że się nieco spościłem. Ale jest już normalnie.

Podchodzimy do lądowania w Lukli. Robimy obniżający się krąg pod Takkamirgo (taki sobie pięciotysięcznik) i schodzimy w dolinę nieco poniżej początku pasa. Teraz w górę wytracamy prędkość i na granicy przeciągnięcia dotykamy pasa. Rzecz polega na tym, że na tej wysokości (2850 m) samolot musi podchodzić do lądowania z dużą prędkością, by utrzymać się w rozrzedzonym powietrzu. Ciśnienie powietrza na tej wysokości jest o ok. 30 procent mniejsze od normalnego (połowa ciśnienia jest na 4650 m).

A pas jest dramatycznie krótki i w dodatku pod górę.



Podejście do lądowania w Lukli widziane z samolotu. Fot. Piotr Juszcak

Lotnisko w Lukli jest uważane za najniebezpieczniejsze lotnisko świata. Leży na wielkiej pochyłej półce, kilkaset metrów powyżej dna głębokiej doliny, między pięciotysięcznikiem (ok. 5500 m) Takkamirgo a sześciotysięcznikiem Kusum Kang. Samolot musi zmieścić się w ciasnej dolinie ze wszystkimi manewrami i wylądować na niepełna 400 metrowym pasie, w dodatku pochyłym.

Gdy byłem tu w 1987 roku, pas był trawiasty i gdy nic nie lądowało pasły się na nim jaki. Po bokach leżały wraki rozbitych samolotów, a na dnie doliny kolejne.

Lotnisko w Lukli jest już lepsze niż wtedy, gdy tu byłem ostatnio. Pas jest asfaltowy, jaki się na nim nie pasą, ale pas nadal jest krótki i pod górę. Ostro hamujemy i stajemy jakieś 20 metrów od końca. Pas kończy się pod skalną ścianą sześciotysięcznika Kusum Kang.



Pas startowy w Lukli. Fot. Piotr Juszcak

Nocuję w Lukli. Niby nie muszę, ale w krótkim czasie przeskoczyłem z 1400 m (Katmandu) na 2850 (Lukla). Rano wyruszam do Namche, na 3440 m. Idę wolno, prawie powłóczę nogami. Wprawdzie bywałem w życiu na paru siedmiotysięcznikach, ale i tak ten nagły skok wysokościowy odczuwam.

I na tej trasie są nowości. Nad kanionem przed Namche Bazaar jest nowy wiśzący most. Długi i bardzo wysoko. Nie trzeba już dymać prawie 500 metrów w górę ścieżką zygzakującą po niemal pionowym zboczu. To duża oszczędność sił.

Zamiar

Co ja tu robię, po co tu jestem? Życie mi się zresetowało. Rozstałem się z partnerką, z którą żyłem 15 lat. Nie byliśmy małżeństwem, więc rozwodzić się nie trzeba. Wyszedłem z tym co miałem na sobie i w kieszeniach. Zostawiłem jej wszystko. Później rozpadł się kolejny, zaledwie dwuletni związek. Zostałem sam, bez żadnego praktycznie majątku, w dodatku bez pracy, bo rozstałem się także z redakcją „Wprost”. Miałem z panami Janeckim i Gabrielem konflikt podstawowy. Nie chciałem pisać „po wprostowemu”, czyli sensacyjnie, efektownie, a niekoniecznie zgodnie z prawdą.

Jednym słowem, w wieku ponad 50 lat byłem znów na starcie.

Co ma zrobić mężczyzna, gdy straci kobietę, a nawet dwie, straci pracę, mieszkanie? Oczywiście można sięść i płakać, ale można się odbić. Na początek psychicznie. Czyli zdobyć górę! Może wydawać się to dziwne, ale to jest coś, co stawia na nogi.



Most wiszący nad kanionem przed Namche Bazaar. Fot. Piotr Juszcak

Himalaje mają taką cechę, że wszystko tu wydaje się małe. Nie tylko inne góry, ale i odległe o siedem tysięcy kilometrów polskie życie. Tu jest śnieg, słońce i góry. Nie ma rodzinnych kłótni i redaktora Janeckiego. Oczywiście, trzeba trochę być wariatem by zainwestować w to wszystkie pieniądze zarobione na okazjonalnej pracy wysokościowej, ale ile warte by było życie bez odrobiny szaleństwa?

Siedzę dwa dni w Namche Bazaar, oswajam się z wysokością i oglądam góry. Naprzeciw wspaniała panorama Tamserku i Kantengi, a w drugą stronę mój cel: Kongderi i jego wschodni filar.

Jedną z pierwszych gór, jakie się widzi przybywając do Namche Bazaar, jest Kongderi (6187 m), z którego opada na wschód wielki, wyraźny, filar.

Zwyczajowo (słyszałem to już kilka razy) nazywany jest Filarem Japońskim, ale nie znalazłem w literaturze żadnej wzmianki, by jacykolwiek Japończycy mieli z nim cokolwiek wspólnego. W ogóle nie znalazłem żadnej wzmianki, by był kiedykolwiek przechodzony. Ale kogo z alpinistów w Namche bym nie spytał, to niemal każdy powie: „Filar Japoński, V+ na sześciu tysiącach”. Ale w literaturze znaleźć można tylko idącą w pobliżu i ścianą drogę niemiecką. Poważną, trudną drogę. Jest też wzmianka w „Taterniku” o polskiej wyprawie mającej zamiar poprowadzić nową trudną drogę północną ścianą, ale nie ma informacji, czym ten zamiar się skończył. I że wie coś o tym Bogdan Stefko. Są też znacznie łatwiejsze drogi, ale z drugiej strony, od strony Rollwalingu.

Mam jednak pewną teorię, dlaczego wśród polskich alpinistów wciąż krąży ta nazwa „Filar Japoński”. Gdy wpisałem w wyszukiwarkę Google hasło: Kongderi filar japoński, pojawił się taki tekst:



Namche Bazaar. W tle Kogderi i Teng Kang Poche. Fot. Piotr Juszcak

„Taternik: PDF była Kwangde (Kongde Ri 6187 m). Trudności ... piękny południowo-wschodni filar. Już pier ... ces japoński: trawersowanie dwumilowej gra.” (cytat z Google).

No pięknie, tylko gdy wczytałem się w tekst, to jest tam w omówieniu sezonu w Himalajach najpierw wzmianka, że 17 października 1976 roku Kumar Khandga Bikram na czele nepalskiej wyprawy zdobył szczyt Kwangde, inaczej Kongderi 6187 m. Później długo, długo nic i na innej stronie padają słowa „piękny południowo-wschodni filar”, ale mowa tu o filarze Nanga Parbat, a zaraz po tym „już pierwszy sukces japoński: trawersowanie dwumilowej grani...” tylko jeszcze zupełnie innej góry.

W dodatku z tekstu wynika, że wyprawa Kumara zdobyła niższy wierzchołek, Kongderi Shar, a nie główny.

Można jednak odnieść wrażenie, że Kongderi ma „piękny południowo-wschodni Filar Japoński”. Tylko, że jest to złudzenie wyprodukowane przez Google. No i Filar Kongderi nie jest południowo-wschodni, tylko wschodni. Tak powstają mity. Ale skąd się wziął mit Filara Japońskiego w latach 80-tych, gdy jeszcze nie było Google? A czort jeden wie.

Tu muszę zrobić pewną uwagę. To przejście było prawie 25 lat temu. Internet nie był jeszcze taki jak dziś. Dziś przecież wszystko można „wygooglać”, ale nie wtedy. No i przyznam, nie sprawdzałem w wydanych później przewodnikach (np. Janusz Kurczaba). Mój stan wiedzy wówczas był taki, jaki opisuję. Dzisiaj Internet jest jak bóg, jest wszędzie i wie wszystko. Ale nie wtedy. A więc wymyśliłem sobie, że przejdę ten filar,

a kwestię tego, czy był już przechodzony, pozostawiam otwartą, choć dziwne by było, gdyby tak wybitnej formacji nikt nie próbował.



Od lewej: Pimu, Kongderi (oba wierzchołki 6093 i 6187 m), Teng Kang Poche (6500 m) i Tangi Rangi Tau (6730 m). Fot. z archiwum autora

Dlaczego to? Bo jest to piękna i wybitna formacja. Bo nie wygląda na szalenie trudną. Bo jest na trekkingowej górze (nie trzeba dużo płacić, rejestrować wyprawy i otrzymywać pozwolenia). Oczywiście wiem, że V+ na wysokości 6200 m to nie to samo, co V+ w Tatrach. Oczywiście wiem, że nawet jeśli jest już tam droga, to nie wiem gdzie i muszę sobie wytyczyć trasę sam.

A dlaczego nie coś ambitniejszego? Przecież wokół są ogromne góry i ogromne ściany, z Everestem włącznie? Dlatego, że mam ponad 50 lat i może jestem wariat, ale nie idiota. To, że mam się wspinać solo w stylu „nago i bez snu” jest już wystarczającym wariactwem.

Dobrze przemyślane szaleństwo

Styl „nago i bez snu” polega na tym, że bierze się minimum sprzętu, minimalną ilość żywności, dosłownie „dwie czekolady w kieszeń” i idzie dzień i noc bez przerwy do końca. Pozornie to szaleństwo, wariactwo. Ale to jest dokładnie zaplanowane i przemyślane szaleństwo.

Ten styl nie oznacza do końca wspinaczki bez asekuracji, choć głównie idzie się „na żywca”, czyli bez asekuracji. Mimo to muszę być tak zorganizowany, by w każdej chwili móc się przyasekurować.

W tym wypadku mam na sobie uprząż i nieco sprzętu. Mam też dwie „giełgaczki”, którymi mogę się przypiąć do kostki, frienda lub haka. Mam kask i linę do

zjazdu, tyle że w plecaku. Dzięki tej linie zawsze mam możliwość wycofania się. Całe wyposażenie musi być lekkie, maksymalnie lekkie, zwłaszcza że na dużej wysokości każdy kilogram zamiana się w dwa lub więcej. Nie zamienia się dosłownie, tylko tak się go czuje.

Przygotowanie do takiej drogi to szukanie kompromisu między szybkością i bezpieczeństwem. Jeśli wezmę więcej sprzętu, to będę bezpieczniejszy, ale będę miał większy ciężar, a więc większy wysiłek.

Będę wspinał się wolniej i będę bardziej zmęczony. Wolniej i z większym wysiłkiem to znaczy bardziej niebezpiecznie. Ale szybciej i z mniejszą ilością sprzętu to też niebezpieczne, tylko inaczej. Które niebezpieczeństwo wybrać? Ryzyko wyczerpania sił, czy ryzyko odpadnięcia?

Sprzęt przygotowywałem przed wyjazdem. Miałem z tym poważny kłopot, bo wychodząc od wieloletniej partnerki zostawiłem cały swój sprzęt alpinistyczny. Po roku co nieco odzyskałem, ale nie wszystko. Na przykład do dziś (minęło sporo lat) nie odzyskałem liny. Sporą część musiałem niestety kupić, a to nie są tanie zabawki.

Zaczynam od liny. Muszę przewidywać, że w zejściu będę musiał zjeżdżać na linie. Wprawdzie z Kongderi jest jakieś łatwiejsze zejście na stonę Rollwalingu, ale go nie znam, a schodzenie ze szczytu nieznanym terenem może się bardzo źle skończyć. Można, jak to się mówi, ostro się zdziwić. Na przykład, po zejściu tysiąc metrów okazuje się, że dalej tędy zejść się nie da. No i chciał, nie chciał, musiał, trzeba z powrotem dymać do góry tysiąc metrów i szukać innego zejścia. Na sześciu tysiącach to nie spacerek. A więc lina do zjazdu jest konieczna.

Założyłem od razu, że nie będę się asekurował za pomocą liny. Wystarczy więc zjazdówka, linka 6 mm. Wybrałem linkę kewlarowo-nylonową 5 mm i nie 80, lecz 100 m. Jest dosyć lekka i wystarczająco wytrzymała, choć ta cienizna wygląda dość horrorystycznie. Taki sznurek grubości ołówka. Według atestu ma wytrzymałość ok. 300 kg. Tyle nie ważę, a producenci lin zwykle podają wytrzymałość mniejszą od rzeczywistej, by nie mieć kłopotów.

Zabieram trzy małe kostki, trzy friendly, siedem tytanowych haków i pięć tytanowych śrub lodowych. Tytan jest bardzo lekki i wytrzymały. Cały ten komplet waży mniej niż 2 kg. Jest mi to wszystko potrzebne do dwóch rzeczy. Do asekuracji systemem „rzep” i do zostawiania przy zjazdach.

„Rzep” to jeden ze sposobów asekuracji na solówkach, niewymagający liny. Polega na tym, że stale jestem przypięty do 2 lub 3 punktów. Na przykład: wbijam hak nad sobą i przypinam się do niego „giełgaczką”. Unoszę się o półtora metra wyżej, mocuję następny punkt i odpinam się od dolnego punktu. To mozolna i powolna metoda, ale zamierzam stosować ją w ostateczności, gdybym napotkał wyjątkowo duże trudności. Tak duże, że wspinanie „na żywca” byłoby zbyt ryzykowne. Generalnie zamierzam wspiąć się bez asekuracji, ale muszę być przygotowany na niespodzianki, bo naprawdę nie wiem, co napotkam. Wzmianek napotkanych przypadkowo alpinistów, w stylu „to Filar Japoński, V+ na końcu”, nie mogę poważnie traktować. Wszak już

wiem, że ta „japońskość” tej drogi jest nader wątpliwa, a wycena trudności nie wiadomo skąd pochodzi. Może znikąd. Może ktoś coś takiego palnął ot tak, a inni bezmyślnie powtarzają.

Haki są mi też potrzebne do zjazdów, bo stanowisko zjazdowe z czegoś trzeba założyć. Ostatnie decyzje co do sprzętu mam podjąć pod ścianą.

Aklimatyzacja

Przyjmuje się, że aklimatyzacja do dużych wysokości trwa ok. 6 tygodni. Ale z tym jest różnie. Może w przypadku siedmio- i ośmiotysięczników to prawda, ale aklimatyzacja do wejścia na sześciotysięcznik tyle nie trwa. Niemniej jednak ominąć się jej nie da. Muszę trochę połażyć po okolicy, parę razy wejść wyżej, na pięć tysięcy i więcej.

Wyruszam do Gokyo, na 4750 m. Postanawiam, nieco masochistycznie, iść z całym swoim ładunkiem, z ciężkim plecakiem. Oczywiście mogłem zostawić część rzeczy w Namche, ale tu chodzi nie tylko o aklimatyzację, ale i o kondycję. Oczywiście w czasie aklimatyzacji cały niemal sprzęt alpinistyczny, poza czekaniem i rakami, jest mi niepotrzebny. Trudno, idę z 20 kilogramowym worem. Krew, pot i łzy, ale by odnieść sukces trzeba najpierw dostać w dupę.



Ścieżka nad Namche Bazaar. Fot. Krzysztof Łoziński

Ścieżka z Namche od razu ostro wznosi się w górę. Ciężki oddech, od razu podejście na 3800. Mocno czuje wysokość i ciężar wora. Pierwszy nocleg w Portse Tenga. Troszkę niżej – 3680 m. Na lekko i po aklimatyzacji można tu dojść w jakieś

dwie-trzy godziny. Ale nie tym razem. Z aklimatyzacją tak już jest, że można było wcześniej, w innych latach, być dużo wyżej, no i co z tego. Zawsze trzeba zdobywać przystosowanie do wysokości od nowa.

Gdy kilkanaście lat później poleciałem z Limy (poziom morza, stolica Peru jest portem nad Pacyfikiem) do Cusco, na 3400 (lotnisko) do miasta (od 3500 do 4000 m), to nic mi nie pomogło, że byłem wcześniej na 7780 m. Lazłem jak zdechły karaluch, nogi mi się ugiwały, serce waliło i do względnej formy doszedłem po trzech dniach. A najbardziej mnie wkurzali Indianie, którzy na czterech tysiącach grali w piłkę i nawet im nie przeszkadzało, że boisko było trochę pod górę. Tu jest podobnie. Ja ledwo leżę, a mija mnie Sherpa z ciężkim ładunkiem i pali papierosa.



Portse Tenga. Fot. Krzysztof Łoziński

Rano znów ostro w górę. Maleńka przełączka z czortenem. Jakież 3900? Zaczyna się śnieg. Nie jest go dużo, ale idzie się trudniej. Wieczorem jestem w Dole. Duży Sherpa Lodge, wygodne spanie, choć na zbiorówce, „jak stek (stek z jaka)”, piwo po morderczej cenie (jedna butelka w cenie skrzynki).

Znów rano i mroźna „lampa” (czyli piękna pogoda). Idę śladem wydeptanym w głębokim śniegu. Idzie karawana z naprzeciwka, w dół. Na grzbiecie jaka chłopak w bandażach, ledwo widać twarz. Obok dziewczyna ze smutną twarzą. Wszyscy jacyś zmarnowani, poharatani.

Tak już jest w górach wysokich. Idziesz sobie w góry, jeszcze czysty i wyspany, a spotykasz ludzi wracających i widzisz jak w górach dostali w dupę. Poranieni, pokaleczeni, obszarpani, z twarzami spalonymi słońcem lub odmrożonymi. Za miesiąc będziesz taki sam.



Powracająca karawana między Dole a Machermo. Fot. Krzysztof Łoziński

Kolejny nocleg Machermo, 4410 m. Tu, nieco w głąb doliny, była nasza baza w 1987 roku, na 4440 m. Był zarąbisty mróz, do -42 w bazie. Przełom listopada i grudnia. W lodze jest inny chata. Tamten był wesoły. Opowiadał jak jest w zimie. Mówił: garnek z zupą na ogniu, na dole wrze, na górze zamarza. Nabierasz na łyżkę „soup”, donosisz do ust „ice cream”. I faktycznie tak było. Obok bazy jeszcze ciurkał strumień wśród oblodzonych kamieni (woda, która płynie, długo nie zamarza, nawet przy dużym mrozie). Napełniałem wiadro wodą, przenosiłem pod namioty, jakieś 10 metrów, i już na powierzchni była cieniutka warstewka lodu. Teraz nie ma aż takiego mrozu. Najwyżej kilka stopni i świeci słońce. Nazajutrz jestem w Gokyo. Jestem tu pierwszy raz. Fajne miejsce, to już regularna miejscowość. No i już porządna wysokość 4750 m. Na tej wysokości ciśnienie atmosferyczne stanowi 50% ciśnienia na poziomie morza. To już jest wysokość, którą się czuje, ale w końcu po to tu jestem.

Urządzam sobie jeden dzień odpoczynku. Następnego dnia wypad na Gokyo Peak. Gdyby nie wysokość, to byłby po prostu spacer. Zostawiam plecak i idę na lekko. Różnica wysokości zaledwie 600 metrów, z 4750 na 5357 m. Zupełnie łatwo, ale pierwszy raz w tym roku przekraczam pięć tysięcy metrów. To, że mój wcześniejszy rekord wysokości wynosi 7780 m, nie ma żadnego znaczenia.



Gokyo Peak (5357 m) widziany z góry, ze szczytu Machermo Kang (ok. 6200 m). W tle Gyachung Kang (7922 m). Fot.Krzysztof Łoziński

Aklimatyzacja się nie utrwała, gdy wracamy na niziny, cofa się, znika. Aklimatyzacja polega w największym skrócie na dwóch rzeczach. Gdy organizm ma za mało tlenu, wytwarza więcej krwinek czerwonych, które transportują tlen. Druga sprawa to wyrównanie ciśnień. Każda komórka naszego ciała ma swoje wewnętrzne ciśnienie, a ciśnienie atmosferyczne na zewnątrz zmalało. To grozi różnymi nieprzyjemnymi efektami, z obrzękiem mózgu, a nawet wylewem krwi, włącznie. A więc organizm musi mieć czas na stopniowe przystosowanie.



Widok z Gokyo Peak (5357 m) na lodowiec Ngozungma i jezioro Gokyo. Szczyty Cholatse (6440 m) i Tawatse (6542 m). Z prawej w głębi Kantenga (6799 m). Fot. Zbigniew Kacuga

Następnego dnia wyruszam przez przełęcz Cho La (5420 m) w stronę Tukla w dolinie lodowca Khumbu. Od razu widać, że zaczynam chwytać aklimatyzację. Mimo, że odcinek jest dłuższy od poprzednich i jest nawet o sto metrów wyżej, że idę z solidnym plecakiem (trekerys chodzą z tragarzami), pokonuje trasę w około osiem godzin. I nawet nie jestem specjalnie zmęczony. Nocuję we własnym namiocie. Muszę oszczędzać, bo tu w rejonie Everestu ceny wszystkiego wariują.

W następnych dniach odwiedzam jeszcze Everest Base Camp na 5300 m i Kala Patar (Kala Pather), takie piarżyste wzgórze, które na mapach opisane jest na 5550 m, ale według najnowszych pomiarów (wówczas ich nie znałem) ma 5643 m.

Tu uwaga. To są rozmiary Himalajów. Szczyt o wysokości zbliżonej do Elbrusa w Kaukazie, w Himalajach nazywamy „piarżystym wzgórzem”.



Fot. Piotr Juszcak

W Bazie pod Everestem zastałem tłum ludzi, ale nikogo tu nie znam. Płacę się trochę bez sensu między namiotami. Przez chwilę mam pomysł, by przejść przez Icefall, czyli lodospad Khumbu, i wrócić, ale szybko orientuję się, że to niemożliwe. Tu nawet kamienie pachną dolarami. Za dużo różnych firm i zbyt wielu Szerpów zarabia na turystach, których za uszy i za dupę, a przede wszystkim za olbrzymie pieniądze wciągają na Everest. Oni wszyscy nawet by mnie pobili, gdybym gdzieś łaził nie płacąc. A szkoda, bo miałbym szansę wejść na sześć tysięcy.

Przy okazji upada z góry mój romantyczny (ale mało realny) pomysł, by zakończyć 50 lat uprawiania alpinizmu, przypadające na 2010 rok, solowym wejściem na Everest południową ścianą, drogą Bordmana. Przeszkodą, większą niż wysokość i trudności, są pieniądze. Nie mam dziesiątek tysięcy dolarów na pozwolenie, a cichcem, milczkiem, się nie da. Trudno, zresztą pewnie i tak nie dałbym rady. A swoją drogą to szkoda. Jak bym pięknie zagrał na nosie tym wszystkim zarządom, od klubu po PZA, które przez lata blokowały mi dostęp do wypraw (dałem radę, wyprawy organizowałem sam, bez łaski).

Wracam do Namcze, tym razem najkrótszą drogą, bez bocznych wycieczek, przez Pheriche. Kiedyś miałem takie nierealne marzenie, by mieć dom w Pheriche, bo widok z tego miejsca, ta panorama Himalajów, jest po prostu zajebista (cenzorze nie poprawiaj, to najbardziej adekwatne słowo).



Od lewej: Changtse (7553 m), Everest (inaczej Sagarmatha 8850 m), w głębi Lhotse (8511 m) i Nuptse (7879 m). W dole Everest Base Camp na wysokości ok. 5300 m. fot. Piotr Juszcak

No to do roboty

Wygodny nocleg w Namche Bazaar i dzień odpoczynku. Byłem już trzy razy w okolicach 5500 m. Uważam, że aklimatyzację mam wystarczającą. Najczęściej wyprawy aklimatyzują się na tej górze, którą zdobywają. Zakładają kolejne obozy, coraz to wyżej, nocują w nich i schodzą, aż w końcu robią atak szczytowy, w którym biorą udział dwie czy trzy osoby.

Ale to jest ciężki styl obłędnicy, a mnie chodzi o styl zupełnie inny. To ma być nowoczesne przejście, solo i jednym uderzeniem do końca. Tak sobie wymyśliłem. Stąd osobliwy styl mojej aklimatyzacji.

Idę do Thami i przechodzę przez most na Bhote Cosi. W Thami teoretycznie jest check post i teoretycznie, sprawdzają trekking permit, ale to lipa. Wielu alpinistów przechodzi tędy pod lodospady w kanionie Bhote Cosi. To są trzy wielkie kilkusetmetrowe lodospady opisywane jako „ice climbing in Kongderi”, ale naprawdę są one w ścianie kanionu rzeki, a nie na Kongderi.

Wchodzę na tzw. płaskowyż Kongderi, który jest w rzeczywistości podstawą ściany. Oddalam się nieco od ścieżki i rozbijam namiot w takim miejscu, bym go widział z góry, ale by nie był widoczny z dołu. Wolę, by podczas mojej nieobecności się komuś nie przydał.

Mój filar nie opada z głównego wierzchołka, tylko z niższego, 6093 m, opisywanego jako Kongde Shar, albo Tartikha. Jest on o niecałe sto metrów niższy od wierzchołka głównego Kongde Lho. Kłopot w tym, że przełęcz w grani obniża się o około

200 metrów. Aby wejść na główny wierzchołek, musiałbym ok. 200 metrów zejść, przejść kilkaset metrów granią i wejść 300 metrów na szczyt. Ambitny pomysł, ale niebezpieczny. W zejściu musiałbym podejść z powrotem 200 metrów do góry. Przy bardzo dużym zmęczeniu wszelkie dodatkowe podejścia, nawet zupełnie łatwe, mogą źle się skończyć. Postanawiam, że zdecyduję, jak tam będę, ale trochę nie podoba mi się polska tradycja wycofów 200 metrów od szczytu. No dobra, zobaczymy na miejscu.



Znów stoję przed Kongderi. Jest już więcej śniegu. Fot. Krzysztof Łoziński

Rano przygotowuję sprzęt do wyjścia. Oprócz uprząży, liny, „haczywa” wszelkiego, biorę palnik Husha z najmniejszą butlą, duży blaszany kubek (zamiast menażki), kurtkę puchową, i płachtę NRC. Żarcie to 4 tabliczki czekolady, kostki cukru i dwie zupki jum-jum (w Nepalu nazywają się Rara Sup – dobra zupa). Człowiek może dość długo nie jeść, ale nie może nie pić. W Tatrach bierze się kanisterek z wodą, a w Himalajach palnik. Woda jest ze śniegu. No i oczywiście zapalki. Zastanawiam się, ile wziąć baterii do czołówki. W końcu biorę dwie.

Tu małe wyjaśnienie. Udało mi się kupić w Katmandu czołówkę z ledową żarówką. To nowość. W Polsce jeszcze takich nie było. Były halogenowe, dobrze świecące, ale żrące prąd.

Z załem odkładałam aparat fotograficzny, lustrzaną Canon na klisze. Tak, tak, nie było jeszcze w powszechnym użyciu fotografii cyfrowej. Była już, ale o słabej rozdzielczości i większość fotografików miała do niej nieufne podejście. Ja też jej wtedy jeszcze nie uznawałem. Ten Canon nie był wprawdzie bardzo ciężki, ale ciężki był obiektyw. A dla mnie liczy się każdy gram.

Był też drugi powód rezygnacji z aparatu – czas. Przy tak wielkiej drodze, zatrzymywanie się na robienie zdjęć zżera czas. Nie mogę sobie na to pozwolić. Z bólem, bo jestem pasjonatem fotografii. Jeden z kolegów zapytał mnie później, czemu nie robiłem zdjęć telefonem. Czym? Nokią z klawiszami? Ludzie kochani, wtedy jeszcze nie było smartfonów, a telefonu w ogóle nie miałem, bo po co. Przecież tam nie było żadnego zasięgu, a i w Nepalu nie miałbym do kogo dzwonić.

Tu pewna dygresja, jak bardzo zmienił się świat w ostatnim czasie.

Marcin

Na moich wyprawach, na których byłem i najczęściej nimi kierowałem, nie było żadnych środków łączności. Gdy alpinista wychodził z bazy, to dopóki nie wrócił, nie było wiadomo, co się z nim dzieje. Na wielkich wyprawach, organizowanych przez PZA, były radiotelefony „Klimki”, które wytwarzał inż. Nietyksza, wielkie, ciężkie, ważące 1,5 kilograma. Lepszy sprzęt pojawił się dopiero później. A w 2021 roku już rozmawiałem na Messengerze z człowiekiem znajdującym się w ścianie Lhotse w drodze na Everest.

Marcina znam tylko z Facebooka i Messengera. Nigdy się nie widzieliśmy, zresztą mieszkamy w różnych krajach. Marcin dostał mój numer telefonu od wspólnego znajomego. Zadzwoił do mnie w sierpniu 2021 roku. Rozmawialiśmy prawie godzinę. Marcin wybierał się na płatną wyprawę na Everest drogą Hilarego i Tenzinga. Zapłacił za to gigantyczne pieniądze. Pytałem jakie ma doświadczenie górskie. Pracował na pracach wysokościowych i był na Mont Blanc Czyli na 4808 m. Moim zdaniem to nazywa się brak doświadczenia. Szczyt Mont Blanc jest o 500 metrów niżej niż baza pod Everestem. Udzieliłem mu wszelkich rad, jakie mogłem, ale nie da się kogoś nauczyć alpinizmu przez telefon.

Marcin odezwał się ponownie 14 listopada 2021 r.

– Witam, jestem na Lhotse.

(to znaczy w obozie trzecim, około 7500 m)

– W ścianie Lhotse, nad Western Cown? – pytam.

– Tak.

....

– Zimno jak cholera. (15 listopada)

– Normal. (ja)

– Na razie z namiotu nie wychodzę.

...

– Mam chorobę wysokościową. Szerpowie mówią, żebym zastrzyk wziął na rozcieńczenie krwi.

– To bierz. Oni wiedzą, co mówią. Jak będzie źle, to szybko w dół. (ja)

– Panie Krzysztofie ze mną jest źle.

– To szybko w dół. I tlen.

– Ja nie chcę. (Marcin)

– Jeżeli masz objawy choroby wysokościowej, to na pewno nie możesz iść do góry. Zwłaszcza, że do szczytu masz ponad tysiąc metrów wysokości. Jakie masz objawy choroby wysokościowej? Można zejść do jedyńki i za dwa dni wrócić do trójki, jeżeli objawy ustąpią. Czy macie tam lekarza, z którym możesz skonsultować się przez radio?

– Schodzę, bo to nie ma sensu.

– Słusznie. Życie jest jedno. (ja)

– Tak jest.

Na drugi dzień, 16 listopada.

– Marcin, gdzie jesteś?

– Panie Krzysztofie, jestem w obozie drugim. Odpocznę trochę i będę schodził dalej.

– OK.

18 listopada.

– Witam Panie Krzysztofie, jestem już w obozie bazowym Base Camp.

– Cieszę się. Mam pytanie: czy ktoś ci pomagał w zejściu, ubezpieczał?

– Tak dwóch Szerpów.

– OK.

I wreszcie 20 listopada:

– Witam Panie Krzysztofie, dzisiaj będę szedł z Gorak Shep do Pheriche...

W tym momencie wiedziałem, że jest już bezpieczny. Przygoda Marcina dobrze się skończyła. Stracił pieniądze, ale ocalał życie. Życie jest jedno, a pieniądze rzecz nabyta i nietrwała.

Nie chciałem go nadmiernie straszyć, ale pod szczytem Everestu leży już w lodzie około 300 zamarzniętych ciał. Jest nawet taki punkt orientacyjny: zielone buty. Te buty są na czyichś nogach.

Z jednej strony to niezwykle, rozmawiać z kimś przez komórkę z Everestu. Wtedy, gdy wyruszałem na Kongderi, aby zadzwonić do Polski z Katmandu, trzeba było iść na pocztę.

Ale jest i refleksja. Z górami, zwłaszcza z takimi jak Himalaje, nie ma żartów. To stado żarłocznych na forszę rekinów w Everest Base Camp widzi w klientach tylko ich portfele i wcale ich nie martwi, że co roku zostaje w lodzie kilka nowych trupów.

Wracajmy na Kongderi, dwadzieścia lat wcześniej.

Idę

Moje szaleństwo jest dokładnie przemyślane. Poświęciłem na analizy wiele godzin. Mój filar i cała droga ma 2200 metrów przewyższenia i ponad 3500 metrów długości. To tak, jakby jednym ciągiem przejść trzy razy Filar Mięgusza i to na dużej wysokości. Ja wiem, że Tomo Cesen robił większe rzeczy (Janu, Lhotse), ale ja jestem ja i dla mnie to duże wyzwanie.

Mój filar rozdwa się na wysokości (według mapy) ok. 4800 metrów. Prawa odnoga podcięta jest około 200-metrową stromą ścianą czołową. Lewa w tym miejscu idzie jakby poziomą odnogą i skręca w dół długim niezbyt stromym grzbietem. Wybieram wariant lewy.

Postanawiam wyruszyć wieczorem. A cóż to za nowe wariactwo? Wręcz przeciwnie, racjonalny wybór. Nie ma żadnych szans, bym tak długą drogę przeszedł jednym ciągiem za dnia. Filar zaczyna się łagodnie, a w miarę wysokości robi się coraz stromiej. Skoro i tak będę musiał wspinać się po ciemku, to lepiej po ciemku robić partie łatwiejsze i na niższej wysokości.

Wyruszam około 18-tej. Plecak jest dosyć ciężki, jak na wspinanie, ale plan mam taki, by stopniowo zostawiać część rzeczy, które dalej nie będą już potrzebne.

Jest syпки, niedawno spadły śnieg. Na razie idzie się fatalnie, przez śnieg po kamieniach, ale czym wyżej, tym lepiej. Spada temperatura i śnieg powoli twardnieje. Jest w końcu listopad.

Specyfiką gór wysokich jest to, że z daleka nie widzimy drobnych szczegółów, a mogą być one nawet poważnym problemem. Pamiętam z Hindukuszu taką sytuację, że z dołu było widać taką kreskę w poprzek lodowca na Koh-e Tez. Ta kreska powstała nagle, ale co tam? Kreska to kreska. Niestety przy bliższym poznaniu okazała się potężną szczeliną, której górna krawędź była kilkanaście metrów wyżej, niż dolna. Ot taka pionowa ściana lodu.

Tu też mam jakieś spore głązy, prożki, uskoczki. W skali tak ogromnej formacji z dołu tego nie widać, a to zmusza do lawirowania. Nie jest to marsz po gładkim zboczu, jak w Tatrach Zachodnich. Raczej coś w rodzaju grzędy na Mięguszu, tylko dużo większe.

Znad grani po drugiej stronie doliny wschodzi księżyc prawie w pełni. Tego nie planowałem. Przyroda pomaga mi sama. Mogę oszczędzać latarkę. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że latarka ledowa na jednej baterii R6 może świecić przez wiele godzin.

Dochodzę do końca grzędy i skręcam w prawo do głównego filara. Docieram do niego o drugiej w nocy. Przeszedłem 800 metrów różnicy wysokości i 400 metrów

trawersu w osiem godzin. Całkiem przyzwoity czas. Jestem na 4800 m. Komuś, kto nie chodził po górach, może wydawać się, że przejść półtora kilometra w osiem godzin to strasznie wolno. Owszem, w Warszawie na Marszałkowskiej to by było bardzo wolno, ale nie w górach, z plecakiem blisko 10 kg, nie na blisko pięciu tysiącach, po skałach, piargach, progach, w dodatku pokrytych śniegiem. Teraz ten śnieg jest już twardy, jest i lód. Zatrzymuję się na takim kilkudziesięciometrowym wzniesieniu w filarze.

Wyciągam palnik i gotuję wodę ze śniegu. Zjadam czekoladę, zupkę jum–jum i wypijam dwa kubki wody z cukrem. Zajmuje mi to ponad godzinę. Najwięcej topienie śniegu na wodę. Parę lat później jeden z kolegów zapytał mnie, czemu nie wziąłem butelki z wodą. Bo to bez sensu. Na tej wysokości jest mróz. Może nie duży, ale mróz. Woda by mi zamarzła.

Pakuję graty i ruszam w górę. Jest trzecia trzydziści. Księżyc zaszedł za granią Kongderi. Teren robi się coraz bardziej stromy i jest coraz więcej lodu. O szóstej rano, dwanaście godzin od wyjścia, jestem na jakichś 5200 m. Robi się stromo, to już zaczyna być regularna wspinaczka, a nie tylko podejście. Zakładam uprząż, wpinam do niej haki, friendly, kostki. W rakach i z czekaniem idę od początku. Dochodzi do tego czekanomłotek, na razie w olstrach. Plecak jest już znacznie lżejszy, bo część ciężaru mam wpiętą do uprząży. Ten filar zaczyna się łagodnie, ale czym wyżej, tym stromiej i czym wyżej, tym trudniej. Na razie trudności techniczne są niewielkie, ale nieco zaczynam czuć wysokość.

Jest już jasno, gdy zaczyna się wspinaczka na serio. Łatwa, ale wymagająca kombinowania i wybierania drogi. Tym, którzy nigdy nie byli w Himalajach, wyjaśnię, że na tak wielkiej formacji, jak ponaddwukilometrowej wysokości filar, można iść równie dobrze dwadzieścia metrów w prawo, lub w lewo, i jest się ciągle na tej samej drodze. A wybór trasy ma konsekwencje. Można, jak to się mówi w środowisku taternickim „zapchać się”, to znaczy wleźć w jakieś niespodziewanie trudne miejsce, które można było ominąć. To między innymi dlatego chciałem być tu, gdzie są największe trudności za dnia. Na razie trudności są rzędu II–III, ale wyżej teren staje dęba.

W dobrze widocznym miejscu zostawiam część sprzętu. Znów zagotowałem wodę i wypilem kubek wody z cukrem. No i poszła druga czekolada. Zostawiam kubek, palnik, jedną zupkę i jedną czekoladę. W plecaku mam właściwie tylko kurtkę puchową, NRC-tkę, linę i śruby lodowe (wydaje się, że nie będą potrzebne, ale...). Jest dziesiąta rano. Wspinam się już 16 godzin. Zaczynam być troszeczkę zmęczony, ale jeszcze w normie. Ogólnie dobrze się czuję. Jestem na 5500 m. Mam 600 metrów do szczytu Kongde Shar, takie dwie Świnice ze szczytem na 6093 m.

Jest coraz stromiej i wspinam się coraz wolniej. Jest coraz trudniej i coraz bardziej czuję wysokość. Staram się iść w miarę równym tempem, ale przytrzymują mnie trudniejsze miejsca. Trudności nie są jednak tak duże, bym musiał się asekurować. Nadal idę „na żywca”. Wycena trudności w takich warunkach jest mocno niepewna. Oceniam miejscami na IV–V. w ocenie trudności technicznych nie ma jakiś precyzyjnych reguł. To sprawa odczucia człowieka, a w górach wysokich to bardzo zależy od odczuwania

wysokości i zmęczenia. Poza tym, jak już pisałem, na tak dużej formacji można iść 20 metrów w prawo lub lewo i napotkać trudności zupełnie inne.

Na szycie jestem o 19-tej, 25 godzin od wyjścia. Jestem już potężnie zmęczony. Przez 25 godzin wszedłem na 2100 metrów wyżej, na 6093 m, drogą o długości ok. 3,5 kilometra, i to nie ścieżką w Lesie Kabackim. Jest już ciemno.

Patrzę na główny szczyt Kongderi, 6187 m. Grań jest „jak cię mogę”, ale trzeba na przełęcz zejść i na szczyt wejść. W drodze powrotnej trzeba by podejść pod górę jakieś 200 metrów. To kolejne kilka godzin, kolejne zmęczenie i podejście w drodze powrotnej. Takie podejście w zejściu to perfidna pułapka. Przy dużym zmęczeniu można nie dać rady. Poza tym takie przejście w tę i z powrotem może zająć kolejne 6-7 godzin.

Prawda gór wysokich jest taka, że nie sztuka na górę wejść, sztuka z niej zejść. Zejście może być trudniejsze od wejścia, bo człowiek jest coraz bardziej zmęczony. Przy ogromnym zmęczeniu, wyziębieniu i wysokości można nie móc przejść przez kamień, przez który na Mazurach by się przeskoczyło.

Rezygnuję z wejścia na wierzchołek główny. Na podstawie tego, co się działo później, wiem, że postąpiłem słusznie.

W dół!

Zjadam czekoladę i kilka kostek cukru. Koszmarnie chce mi się pić, ale nie mam palnika, został niżej. No i robi się całkiem ciemno. Jest listopad, w Polsce byłoby całkiem ciemno już dawno, ale na szerokości geograficznej Nepalu różnice długości dnia i nocy, w lecie i zimie, są dużo mniejsze.

Czekam w garść i zaczynam zejście. Daleko nie uszedłem. Dalej trzeba zjeżdżać. Wbijam pierwszy hak i zawieszam linę do zjazdu. Moja lina jest niestety jednokolorowa, nie jest jak lina podciągowa do połowy czerwona, dalej niebieska. Na szczęście pomyślałem zawczasu i oznaczyłem połowę liny. O ile ten sznurek można nazwać liną. Mam też własnej konstrukcji przyrząd do zjazdu, który prowadzi obie żyły liny oddzielnie, tak że się nie skręcają. Nie mogę tracić czasu i sił na rozplątywanie liny.

Zjeżdżam po 50 metrów. Osiem zjazdów. Kolejne cztery to właściwie schodzę z pomocą liny zjazdowej. Wreszcie jest na tyle łagodniej, że można normalnie schodzić, choć łatwo nie jest.

Jest pierwsza w nocy. Docieram do mojego składziku. Jestem koszmarnie zmęczony. Odpalam palnik i gotuję kolejne kubki wody. Później gotuję jum–juma. Zupka, trzy kubki ciepłej wody z cukrem i ostatnia czekolada. Trochę odżyłem, ale dla odmiany chce mi się spać.

Pokusa tego, by trochę się zdrzemnąć jest silna, ale zbyt wiele lat chodzę po górach, bym nie wiedział, że z takiej drzemki można się już nie obudzić. Jest mróz, wysokość rzędu 5,5 tysiąca. Jestem bardzo wycieńczony, niedożywiony. Co innego, gdybym miał namiot, karimatę, śpiwór i jedzenie. Można by spać nawet do jutra. Ale ja jestem wychłodzony, przez półtorej doby zjadłem dwa jum–juma, cztery czekolady i piłem wodę z cukrem. Przy ogromnym wysiłku. A mam tylko kurtkę puchową i NRC,

jest wysokość i spory mróz. Nie wiem, ile jest mrozu, ale mało nie jest. Czuję to przy każdym oddechu. Na wąsach i brodzie mam grudki lodu.

O 2.40 ruszam dalej w dół. Teren jest łatwiejszy, ale to nie ścieżka. Coś jakby schodzić na żywca Filarem Świnicy. Świt wita mnie mgłą. To nowy kłopot. Muszę uważać, by nie minąć rozwidlenia filara. Prawa odnoga, patrząc z góry lewa, jest podcięta pionową ścianą. Nie da się tamtędy zejść.

Zaczynają łąpać mnie skurcze w nogach. Nie ułatwia to zejścia. Plecak wydaje się strasznie ciężki.

I wtedy we mgle go zobaczyłem. Idzie przede mną, macha mi ręką... Kurwa! Nikogo nie ma! Patrzę uważnie, nie ma. To mgła płata figle. ... Ale, znów go widzę. Całkiem wyraźnie. Mam halucynacje.

Swoją drogą ciekawe zjawisko. Człowiek widzi rzeczy, których nie ma i wie, że to są halucynacje, wie, że tego nie ma. Wiele lat temu poszedłem z Miśką, która jeszcze nie była moją żoną, na grań tatr Polskich w zimie. Już prawie byliśmy w ogródku i witaliśmy się z gąską. Zaczęliśmy chodzić ze Starorobociańskiego w stronę Wołowca. Jeszcze 3-4 godziny i Przełęcz Bobrowiecka, i w dół do schroniska. I wtedy zaczął się halny wiatr. Pominę szczegóły, opisałem to w książce „Ślady na śniegu”. W sumie zostaliśmy na trzy dni uwięzieni na grani. Na trzeci dzień oboje, wygłodniali i wyziębieni zaczęliśmy mieć halucynacje. Widzieliśmy nieistniejących ludzi, wołaliśmy do nich. Słyszałem grające radio, piejącego koguta. Widziałem dzieci zjeżdżające na sankach. I tak, jak teraz, miałem świadomość, że to są zwidy, ale były tak cholernie realne.

Dochodzę do rozwidlenia filara i skręcam w trawers. Wiem, że jestem już na dobrej drodze. Zostawiam prawie cały sprzęt. Czort z nim. Mam już tylko czekan, raki i prawie pusty plecak. W nim kurtkę, panik, latarkę i chyba nic więcej. Leżę jak kaleka. Skurcze, zwidy, koszmarna zmęczenie. Rozmawiam z Hanią Brzeską, słyszę muzykę. Hania Brzeska to koleżanka z pierwszego roku fizyki na UW. Nie widziałem jej 30 lat, ale teraz na filarze Kongderi z nią rozmawiam i wiem, że to zwidy. Ten facet też do mnie mówi, ale jest jakiś inny. Kurwa człowieku, to halucynacje, weź się w garść, bo umrzesz!

I jeszcze te skurcze. Nogi jak z drewna. Wychodzę z chmur. Jeszcze jakieś 300 metrów. Widzę charakterystyczny kamień, ale nie widzę pod nim namiotu. No tak, przecież wychodząc sam go zwinąłem i schowałem. No i jestem. Koniec.

Jest wieczór. Wejście i zejście zajęło mi prawie dwie doby.

Wracam do żywych.

Rozbijam namiot i do śpiwiora. Zjadam czekoladę i konserwę. Zasypiam.

Budzę się dopiero rano. Wszytko mnie boli. Swędzi mnie nos i rozmyślam czy mam siłę się podrapać. Przestał swędzieć, to dobrze, nie muszę się ruszać. Koło południa obracam się na boki i eksplozja skurczy. Jaką pozycję bym nie przyjął, to tylko mam skurcz gdzie indziej. Mimo to ruszam się. Gotuję, jem, piję gorące soki (z papierka). Jestem ciągle na czterech tysiącach. Herbata się tu nie parzy. Woda wrze, a piórka z herbaty pływają po wierzchu.

Na drugi dzień zwijam majdan i człapię do Namche. Nareszcie śpię w łóżku, chociaż w spiworze. Nareszcie jem w restauracji, jak człowiek. Kupiłem sobie nawet butelkę piwa, choć jest to najdroższe piwo świata. Trudno się dziwić. Niemal całe zaopatrzenie przychodzi tu na grzbietach jaków i na plecach tragarzy.

Jem obiad i na salę wchodzi Polacy. Nie znam ich. To dużo młodsze pokolenie. Z tego, co słyszę, wnioskuję, że byli na Island Peak. Odzywam się po polsku i zaczynamy rozmawiać. Opowiadam w wielkim skrócie o moim przeżyciu.

- No ale na szczycie nie byłeś.
- Byłem na niższym wierzchołku, to właściwie też góra.
- A ile dni to robiłeś?
- 25 godzin.
- Zapada cisza. A po chwili:
- No wiesz, ale to nie było jednodniowe...



Start samolotu z Lukli, z czasów, gdy pas był jeszcze trawiasty. Fot. Zbigniew Kacuga

Znów Lukla i szaleńczy lot Cesną. Nie dla ludzi o słabych nerwach. Z Katmandu wracam tym razem dołem. Autobus do Sonauli i Gorakpur, pociąg do Delhi i lot do Warszawy.

Wróciłem do Polski. Wysłałem notatkę do Tatarnika. Nie ukazała się.

Do dziś nie wiem, czy zrobiłem pierwsze przejście, czy powtórzenie drogi już pokonanej. Nie wiem nawet, w jaki sposób wyprawa Nepalska Kumara Bikram zdobyła Kongderi Shar. Może właśnie tak? Opisu nigdzie nie znalazłem.

Krótko po powrocie zadzwonił do mnie Piotr Rachtan. Mówi, że zakładamy gazetę internetową dla dziennikarzy, którzy nie mają gdzie publikować. Zostaję jednym z założycieli. Pozostali to Piotr Rachtan, Andrzej Pawluczuk i Stefan Bratkowski. Więc mam już gdzie pisać. Gazeta nazywała się „Kontrateksty”. Zostałem redaktorem naczelnym na 12 lat. Powoli zaczynam odbudowywać normalne życie. Nieco później dostaję emeryturę specjalną od premiera Donalda Tuska. Nie są to kokosy, ale jest stały dochód. Nie jestem już sam, mam gdzie mieszkać. Wyszedłem z życiowego dołka.

A morał jest taki: gdy wdepniesz w dołek to zdobądź górę. Niekoniecznie taką samą. Przecież każdy ma do zdobycia jakąś górę.

Do zilustrowania tekstu użyłem (za ich zgodą) zdjęcia kolegów: Piotra Juszczaka i Zbigniewa Kacugi (lepszego jakości niż moje). No i oczywiście moje własne.